

55

ISSN 2449-5328

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

lipiec – wrzesień 2020



poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Katarzyna Czerniejewska, „Tryptyk jurajski 1”

lipiec – wrzesień 2020

SŁOWO OD REDAKCJIBogdan Knop, *Jesień* 3**WYDARZENIA***Kalendarium: lipiec-wrzesień 2020 r.* 4**POŻEGNANIA**Małgorzata Franc, *Przyjazna i szlachetna.*
Wspomnienie o śp. Pani Hortensji Rakowskiej 6**LAURÓW WIENIEC**Barbara Strzelbicka, *Kultura! – mimo wszystko* 7**CONVERSATIO***O książce, Łotwie i związkach kulturowych z Olgą Wiewiórą*
rozmawia Bogdan Knop 9**POEZJA**Małgorzata Franc, *Rozwinąć skrzydła* 17Janusz Strojec, *Dom Poezji* 18Anna Jędryka, *Przemijanie* 19Tadeusz Luterek, *Mgła – nie miej złudzeń* 20Zdzisław Opałko, *Odloty* 21Wiesława Owczarek, *Gorzki pył* 22Tadeusz Wrona, *Epitafium dla Ewy Demarczyk* 24**WŚRÓD WIERSZY I POETÓW. DIARIUSZ CZĘSTOCHOWSKI**Arkadiusz Frania, *Wojciech Gierymski – poeta, który przestał pisać wiersze* .. 25**PRZEKŁADY – POEZJA BIAŁORUSKA**Michaś Stralcou, *Wiersze* 37Uładzimier Arłou, *Miód* 39Walżyna Mort, *Wiersze* 42Hanna Komar, *Wiersze* 46**PROZA**Bogdan Knop, *Piętro niżej, piętro wyżej* 51Andrzej Piechocki, *Kontrabas* 54Jakub Bartecki, *Międzyczas* 57Paulina Wysocka-Morawiec, *Pomiędzy* 60Aleksander Cieślak, *Oddzielenie ciała od duszy* 66

NA SZTALUGACHIda Jadwiga Łubińska, *Tryptyk jurajski* 73**SKICE, ESEJE, RECENZJE**Janusz Jano Mielczarek, *Nawet kamieni wam nie dam* 75Maciej Rudlicki, *Wola większości* 79Tomasz „Aztenty” Barański, *Bauhaus* 83Roman Wyborski, *„Rozmyślania...”* 86**Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K**Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Poeci* 91**HISTORIA W GALERII**Jarosław Kapsa, *Takie długie pożegnania* 100**NOTY O KSIĄŻKACH**„*Wszystkie ptaki, co we mnie...*” – antologia współczesnej poezji łotewskiej,
przeł. Olga Wiewióra 104Aleksander Wierny, *Częstochowa* 104Grzegorz Słobodnik, *słowo otwarte* 105Aleksander Cieślak, *Między nocą a światem. Opowiadania* 105**ZAPISKI GALERJANA**Jan Ciesielski, *Igła* 107**NOTY O AUTORACH**

Michał Stralcou 38

Uładzimir Arłou 41

Walżyna Mort 45

Hanna Komar 49

Aleksander Cieślak 72

JESIEŃ

Jesienią wspomina się lato i przygotowuje do zimy. Jesienią wychodzi 55. numer CML „Galeria”, choć jego świat dzieje się w lecie minionym. Czas przełomu pór roku bywa też czasem przełomu w sensie dosłownym. Połowa sierpnia to okrążyła rocznica Bitwy Warszawskiej 1920 r., koniec sierpnia zaś to okrążyła rocznica Sierpnia 1980 r. Wrzesień to wspomnienie Wojny Obronnej 1939 r. (z niemiecka nazywanej Kampanią Wrześniową).

Czas wspomnień.

Wspomnienie szczególnie zamieścił Jarosław Kapsa – jedno z tych piór, które stanowią o jakości „Galerii”. Jarek tekstem wspomnieniowym żegna się z redakcją i jednocześnie wraca pamięcią do początków swego pisania, które zwały się z początkami Solidarności i zaangażowaniem Jarka w budowę podstaw niepodległej Rzeczypospolitej. To ważny tekst, refleksyjny, trochę smutny, bo rachujący się z własną młodością, ideałami. Z tego miejsca chciałbym w imieniu redakcji podziękować Jarosławowi Kapsie za to, że piórem wspierał i wzbogacał „Galerię” i że mogliśmy się z nim przyjaźnić. I gdyby nawet pióro Jarkowe nie pracowało już dla nas, to przecież przyjaźń pozostanie.

Czas przełomu.

Dużą część zawartości „Galerii” postanowiliśmy poświęcić Białorusi. Nie mamy zapędów politycznych, ale mamy tam przyjaciół, kiedyś wydaliśmy nawet specjalny – białoruski numer naszego kwartalnika. Teraz w czasie szczególnym dla Białorusinów publikujemy wiersze czwórki poetów w przekładach Bohdana Zadury, który na tę właśnie okazję udośćpnił je nam. Niech będzie to dowód naszej przyjaźni i naszego wsparcia. Żywie Biełarus!!!

O tym, co jeszcze w numerze 55. Zaczniemy od sukcesów. Została wydana

antologia współczesnej poezji łotewskiej w przekładzie Olgi Wiewióry, od wielu lat związanej z Towarzystwem Galeria Literacka (obecnie jest członkiem Zarządu, w niedawnej przeszłości była redaktorem naczelnym „Galerii”). O książce, która była prezentowana na lubelskim Festiwalu Wschód Kultury – Inne Brzmienia, tłumaczka opowiada w obszernym wywiadzie. Arkadiusz Frania, nasz redakcyjny kolega, otrzymał Nagrodę Miasta Częstochowy w Dziedzinie Kultury, a w bieżącym numerze „Galerii” prezentuje sylwetkę innego poety. My zaś serdecznie gratulujemy i dzielimy się radością z naszymi czytelnikami!

Poza tym w dziale „Poezja” i nie tylko, wiele tematów w różnym stopniu aktualnych, czasem przefiltrowanych przez osobiste doświadczenie, czasem satyrycznych – od urodzin aż do pożegnań. Rodzajem kontrapunktu wobec twórczości poetyckiej jest tekst „Poeci”. Proza reprezentowana jest przez pięć opowiadań, z których kilka, napisanych przez różnych autorów, charakteryzuje się zdumiewającym pokrewieństwem. Dział eseistyczny cechuje duża rozpiętość tematyczna: są tu wspomnienia, odniesienia do wydarzeń aktualnych, połączenie obydwu w jednym znaczącym wydarzeniu kulturalnym, są filozoficzne rozważania o tym, co nas spotyka.

Oprawę graficzną numeru stanowią prace z cyklu „Tryptyk jurajski”.

Mam nadzieję, że uda się Państwu uzupełnić tę układankę, a dopasowywanie tekstów do ich skrótowej prezentacji sprawi wiele przyjemności i satysfakcji. Zaparzmy więc herbatę, owińmy się ciepłym kocem, usiądźmy w wygodnym fotelu i oddajmy się lekturze „Galerii” 55. Coraz dłuższe jesienne wieczory warto wypełnić przyjemnymi i twórczymi zajęciami.

Bogdan Knop

KALENDARIUM lipiec – wrzesień 2020



LIPIEC

- 3.07. – wernisaż wystawy Jolanty Winiarskiej „Echa wspomnień” – galeria ZPAP;
- 4.07. – otwarcie wystawy zbiorowej „Auto-didactis MMXX” – OPK „Gaude Mater”;
- 4.07. – udostępnienie wystawy zegarów „Najwyższy czas...” – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 6.07. – zmarł Ennio Moricone, kompozytor i dyrygent;
- 6.07. – zmarł Juris Kronbergs, poeta łotewski;
- 6.07. – zmarła Barbara Pec-Ślesicka, reżyserka;
- 8.07. – zmarł ks. prof. Jan związek, historyk;
- 12.07. – wybory Prezydenta RP – II tura;
- 17.07. – udostępnienie wystaw: Małgorzaty Komorowskiej „Między malarstwem a scenografią” oraz „Transfiguracje. Naturakultura. Kim jestem, jak jestem w czasach zarazy” – Miejska Galeria Sztuki;
- 17.07. – zmarł Andrzej Strzelecki, aktor i reżyser;
- 19.07. – zmarł prof. Franciszek Ziejka, historyk;
- 21.07. – zmarł Janusz Kołodziejowski, pedagog i działacz samorządowy;
- 25.07. – zmarł Bernard Ładysz, śpiewak operowy, aktor i żołnierz;

- 31.07. – otwarcie wystawy malarstwa szwedzkiej malarki Margarety Alvthin – OPK „Gaude Mater”.

SIERPIEŃ

- 6.08. – promocja „Galerii” 54 – ogród Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej;
- 7.08. – otwarcie wystawy „Świat wycinanek Kazimierza Balcerzak” – Muzeum Częstochowskie, Zagroda Włościańska;
- 10.08. – wystawa „BAŚNIOstwory” – Galeria Zwiastun, Miejska Galeria Sztuki;
- 14.08. – zmarła Ewa Demarczyk, piosenkarzka;
- 15.08. – 100 rocznica Bitwy Warszawskiej;
- 15.08. – zmarł Henryk Wujec, fizyk, polityk, działacz społeczny, działacz opozycji demokratycznej;
- 20.08. – zmarł Piotr Szczepanik, piosenkarz;
- 22.08. – zmarła Józefa Hennelowa, dziennikarka i publicystka, posłanka na Sejm RP;
- 23.08. – zmarła prof. Maria Janion, historyczka literatury;

- 29.08.** – uroczysty koncert z okazji 28. Dni Częstochowy, wręczenie wyróżnień „Promotor Częstochowy” oraz Nagród Miasta Częstochowy w Dziedzinie Kultury – Filharmonia Częstochowska;
- 29.08.** – 11. Międzynarodowe Biennale Miniatury – otwarcie wystawy – OPK „Gaude Mater”;
- 31.08.** – 40. rocznica podpisania Porozumień Sierpniowych.

WRZESIEŃ

- 3-6.09.** – Festiwal Wschód Kultury – Inne Brzmienia – Lublin;
- 5.09.** – Narodowe Czytanie *Balladyny* Juliusza Słowackiego;
- 6.09.** – Dożynki Jasnogórskie;
- 7.09.** – zmarł Jiří Mencel, czeski reżyser i aktor;
- 10.09.** – zmarła Hortensja Rakowska, nauczycielka, autorka wierszy;
- 11.09.** – spotkanie autorskie online z Aleksandrem Wiernym i promocja tomu poetyckiego *Częstochowa* – OPK „Gaude Mater”;
- 14-20.09.** – Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”, edycja 9 ¾;
- 15.09.** – zmarł Jan Krenz, dyrygent;
- 15.09.** – Durs Grünbein został laureatem Nagrody im. Zbigniewa Herberta;

- 18.09.** – udostępnienie ekspozycji „Obraz Trebłinki w oczach Samuela Wilkenberga” – Muzeum Częstochowskie – Galeria Dobrej Sztuki;
- 18.09.** – otwarcie wystaw: rzeźby ceramicznej prof. Przemysława Lasaka „Podział”, fotografii Andrzeja Tyszy „Tomasz Stańko i Twarze muzyki” oraz malarstwa Michała Saturnina Kamińskiego „Dysonans” – Miejska Galeria Sztuki;
- 18.09.** – Inauguracja 76. Sezonu Artystycznego, Koncert Jubileuszowy – 75 lat Filharmonii Częstochowskiej im. Bronisława Hubermana;
- 19.09.** – udostępnienie wystawy Pawła Jarodzkiego „Moment zawieszenia” (w ramach Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”) – Miejska Galeria Sztuki;
- 23.09.** – zmarła Juliette Greco, francuska piosenkarzka;
- 26.09.** – Industriada 2020. Święto Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego „Natura w przemyśle” – Muzeum Górnictwa Rud Żelaza i Pawilon Wystawowy.

Barbara Strzelbicka

Małgorzata Franc

PRZYJAZNA I SZLACHETNA

Wspomnienie o śp. Pani Hortensji Rakowskiej

Panią Hortensję Rakowską spotkałam około 2004 r. w Klubie Literackim „Złota Jesień”, działającym przy OPK „Gaude Mater” w Częstochowie. Tak naprawdę jednak to Pani Hortensja spotkała mnie i przez cały czas naszej serdecznej znajomości, zarówno w Klubie, jak i poza nim, sprawowała nade mną pieczę.

Pani Hortensja uczestniczyła w spotkaniach Klubu, które odbywały się każdego tygodnia w środę oraz w uroczystościach, jakimi były promocje książek. Była jedną z autorek wierszy, zamieszczonych w książeczce dla dzieci *Rymowane to i owo*, która wpisała się w akcję „Cała Polska czyta dzieciom” i została bezpłatnie przekazana do szkół i bibliotek, aby nieść naukę i radość młodym czytelnikom.

Mile wspominam ten czas, jak również prywatne spotkania, podczas których wiele rozmawialiśmy, poruszałyśmy tematy związane z literaturą, w tym szczególnie z poezją i pedagogicznymi – z tych rozmów wiele dobrego wyniosłam na dalsze życie. Stałam się dzięki temu bardziej pewna siebie i ugruntowana w przekonaniu, że moja twórczość poetycka ma sens. Z biegiem czasu, dzięki wsparciu Pani Hortensji, zadomowiłam się w literackim środowisku i czułam się w nim dobrze i bezpiecznie.

Z pewnością ten okres w moim życiu będę wspominać jako bardzo udany, gdyż mogłam poznać osobę szlachetną i oddaną drugiemu człowiekowi, która taki sposób myślenia i działania wyniosła z pewnością z rodzinnego domu. Wspominała, że jako mała dziewczynka wraz z siostrą widziała, jak Jej mama dzieliła się ostatnim kawałkiem chleba z głodującymi sąsiadami. Być może to wspomnienie sprawiło, że Pani Hortensja nigdy nie przechodziła obojętnie obok cudzego nieszczęścia.

Wiem także, że Pani Hortensja Rakowska z wielkim oddaniem i zaangażowaniem pracowała jako nauczycielka w Zespole Szkół Zawodowych Specjalnych im. Marii Grzegorzewskiej w Częstochowie, gdzie była nauczycielką języka polskiego, wychowawczynią, bibliotekarką, inicjatorką założenia w szkole drużyny harcerskiej, a potem także komendantem szczeplu ZHP i Ochotniczego Hufca Pracy. W uznaniu zasług dla oświaty z okazji 30-lecia pracy zawodowej w roku 1988 została uhonorowana Nagrodą Kuratora Oświaty. Po przejściu na emeryturę wiele radości dostarczały Jej dowody pamięci otrzymywane od uczniów.

Pani Hortensja Rakowska zmarła 10 września 2020 r., spoczęła w Częstochowie na Cmentarzu św. Rocha. W moich wspomnieniach jest i pozostanie wzorem do naśladowania. Zachowam Ją na zawsze we wdzięcznej pamięci.



Foto ze zbiorów rodzinnych

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że 10 września 2020 r. zmarła Pani Hortensja Rakowska, nauczycielka związana z częstochowskim szkolnictwem specjalnym, harcerka i autorka wierszy dla dzieci.

Klub Literacki „Złota Jesień”

Barbara Strzelbicka

KULTURA! – MIMO WSZYSTKO

Na szczęście pomimo trwającej epidemii Nagrody Miasta Częstochowy w Dziedzinie Kultury zostały przyznane i wręczone, co oznacza, że władze naszego Miasta doceniają znaczenie kultury i nie chcą na niej oszczędzać, choć mają wiele innych pilnych wydatków. Ze zrozumiałych powodów gala wręczenia nagród miała charakter kameralny, odbyła się w sali koncertowej Filharmonii Częstochowskiej i zgodnie z zasadami reżimu sanitarnego, a mogli w niej uczestniczyć tylko zaproszeni goście. Najważniejsze, że nagrody zostały wręczone i stało się to tradycyjnie podczas 28. Dni Częstochowy 29 sierpnia.

Towarzystwo Galeria Literacka ma wyjątkowy powód do dumy i satysfakcji, bowiem laureatem nagrody w dziedzinie „Literatura i historia” został Arkadiusz Frania, poeta, prozaik i krytyk literacki, członek zespołu redakcyjnego Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria”.

Arkadiusz Frania poetycko debiutował w 1993 r. w „Dzienniku Częstochowskim. 24 Godziny”, jest autorem siedmiu tomów poetyckich, dwóch książek prozatorskich i sześciu książek krytycznoliterackich. Jego twórczość literacka i teksty krytyczne, których dotąd powstało około 200, ukazują się także w antologiach, almanachach i czasopismach („Odra”, „Kwartalnik Artystyczny”, „Opcje”, „Pogranicza”, „Tygiel Kultury”, „Fraza”, „Topos”, „Frona”, „Magazyn Literacki”, „Akant”, „Arkusz”, „Poezja dzisiaj”, „Nowy Wiek”, „Galeria” i in.). Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień w konkursach literackich i poetyckich. Twórczość A. Frani była tłumaczona na serbski, macedoński, słoweński, albański, włoski i angielski, w języku serbskim ukazały się dwie osobne edycje utworów: proza *Aso-cijacje* (2014) i wybór wierszy *Na sudnji čas zakasni* (2016).

Jest doktorem nauk humanistycznych w dziedzinie literaturoznawstwa, uczestniczy w konferencjach naukowych krajowych i międzynarodowych, jego artykuły są drukowane w wydawnictwach pokonferencyjnych, zaś recenzje książek naukowych w „Ruchu Literackim” i „Pamiętniku Literackim”. Pracuje jako juror w konkursach literackich, jest często zapraszany na spotkania autorskie w Częstochowie, Krakowie i w całej Polsce. Należy do Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich (od 1999 r.). Głównym obiektem jego zainteresowań jest życie literackie Częstochowy po 1945 r. Pracowicie zbiera dokumenty i materiały, ocalając pamięć o ulotnych i łatwo ulegających zapomnieniu wydarzeniach. W Częstochowskim Magazynie Literackim „Galeria” prowadzi rubrykę *Wśród wierszy i poetów. Dziennik częstochowski*.



Foto: Szymon Halter



Pozostali laureaci to: Marta Honzatko, aktorka Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, nagrodzona w kategorii „Teatr i film”, graficzka i malarka, profesor Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie, Agnieszka Półrola, nagrodzona w kategorii „Sztuki plastyczne i fotografia”, Jerzy Bober, fagocista Filharmonii Częstochowskiej, wyróżniony w kategorii „Muzyka i taniec” oraz Maciej Batorek, uhonorowany za „Upowszechnianie i ochronę dóbr kultury”.

Wyjątkowo, bo zazwyczaj działo się to w maju podczas obchodów Dnia Samorządu Terytorialnego, przyznany został tytuł Promotora Częstochowy. Jego laureatami zostali: w kategorii „Kultura” – Ireneusz Kozera, do niedawna dyrektor Filharmonii Częstochowskiej, w kategorii „Media” – fotograf Leszek Pilichowski i w kategorii „Biznes” – firma Stoelzle Częstochowa, jedno z sześciu przedsiębiorstw, wchodzących w skład austriackiego koncernu.

Nagrody wręczył, wraz z przewodniczącym Rady Miasta Zbigniewem Niesmacznym, Prezydent Częstochowy Krzysztof Matyjaszczyk, który wyraził nadzieję, że przyszłoroczne Dni Częstochowy będą świętowane w świecie wolnym od pandemii koronawirusa.

W imieniu wszystkich laureatów Nagrody Miasta Częstochowy w Dziedzinie Kultury za dostrzeżenie ich działań artystycznych podziękował Pan Maciej Batorek.

Nagrodzonym serdecznie gratulujemy i życzymy, by działalność kulturalna oraz promowanie Częstochowy były dla nich źródłem radości i satysfakcji.

PS Wiadomość z ostatniej chwili. Arkadiusz Frania otrzymał stypendium Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie Kultury w 2020 roku na napisanie książki krytyczno-literackiej (eseistycznej) Razem i osobno. O poetach (z) Częstochowy. Będzie to trzecia część „tryptyku” o wybranych zjawiskach w powojennym życiu literackim naszego miasta – po książkach Osobowości i osobliwości. Z życia literackiego współczesnej Częstochowy (2019) i Grupa Literacka „Profile”. Zjawisko, poeci, wiersze (2020). Gratulujemy i bardzo się cieszymy!

O KSIĄŻCE, ŁOTWIE I ZWIĄZKACH KULTUROWYCH

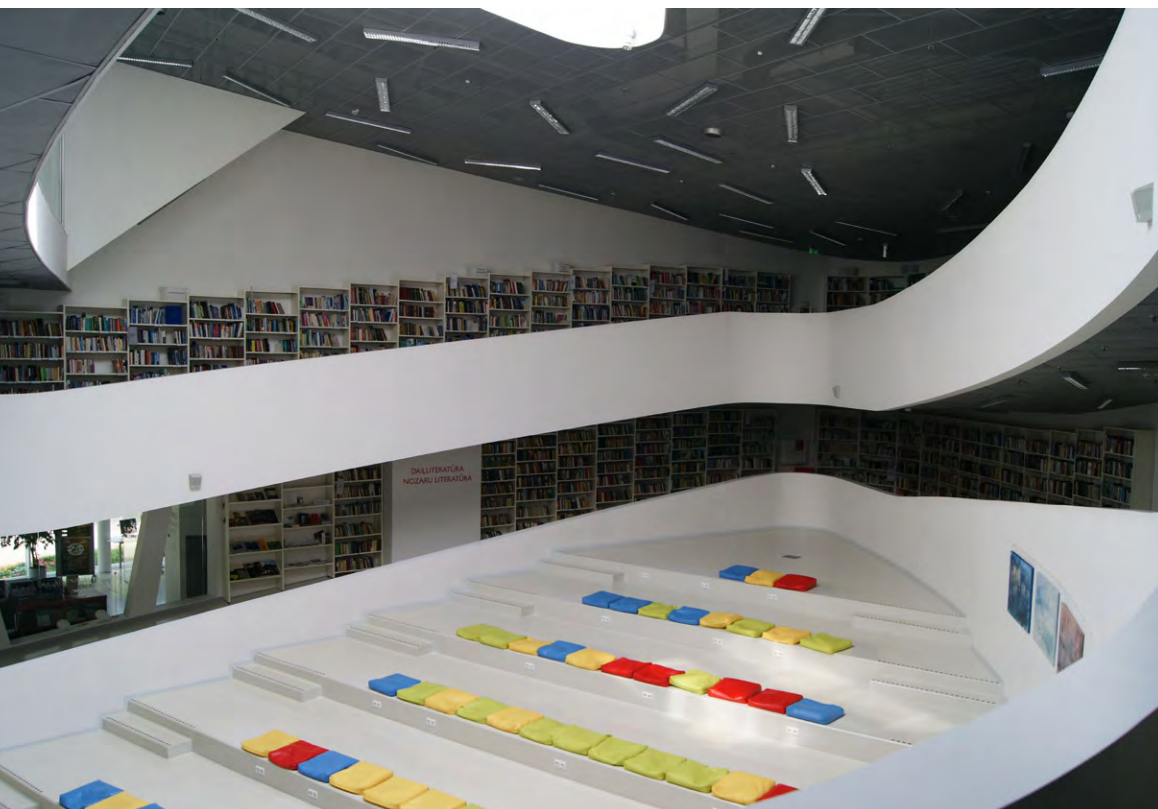
Bogdan Knop: Jak Częstochowianka trafiła na Łotwę i jak Łotwa trafiła do serca Częstochowianki? Bo trafić musiała, skoro przed sobą mamy efekt tego spotkania – antologię współczesnej poezji łotewskiej w Twoim wyborze i przekładzie, pięknie zatytułowaną *Wszystkie ptaki, co we mnie...* I pięknie wydaną przez lubelskie wydawnictwo Warsztaty Kultury.

Olga Wiewióra: Częstochowianka – zgodnie z prawdą – trafiła na Łotwę przez przypadek. Szczegóły podróży nie są być może tak istotne, choć podróż sama w sobie jest już nośnym w znaczenia motywem. Wydaje mi się, że znacznie ważniejsza jest sama destynacja. – Łotwa?! – Kiedy mówiłam znajomym, dokąd wybieram się w lipcu 2014 roku, nie kryli zaskoczenia. – Gdzie to jest? – Czy to nie tam, gdzie Litwa? – Co ty tam będziesz robiła? – Pytań było wiele i przyznaję, było mi trudno w tamtym momencie tłumaczyć się z obranego kierunku podróży. Właściwie mój zasób wiadomości o Łotwie wtedy nie był większy. Nic nie wiedziałam o tym kraju, ludziach czy kulturze. Byłam raczej skoncentrowana na sobie, nastawiona na złapanie oddechu i „świętego spokoju”. Niewiedza otoczenia i moja własna utwierdzały mnie w przekonaniu, że to miejsce gdzieś na obrzeżach mapy i znajdę tam to, czego akurat wtedy potrzebowałam. Ale niewiedza to także ważna kategoria poznawcza, bo otwiera pole do poszukiwań, wyostrza uwagę i pobudza ciekawość. Więc zadecydował przypadek.



Międzynarodowy Dom Pisarzy i Tłumaczy w Ventspils

W drugą stronę – jak Łotwa trafiła do serca częstochowianki – trudniej mówić, ponieważ na swój sposób odczuwam to tak, jakbym zdradzała coś dla mnie ważnego, co chciałabym zachować niezmienione, ukryte, wciąż marginalne dla innych. Choć na Łotwie wciąż mieszka spora – w stosunku do liczby miejscowej ludności – polska mniejszość (około 45 tysięcy), niewielu turystów z Polski tam dociera. Nie wnikać w powody tej nieobecności. I staram się tego nie oceniać, choć związki historyczne z Łotwą, szczególnie z jej południowym regionem Łatgalią (dawniej Inflanty Polskie), są dokładnie opisane i udokumentowane, tak w wiekach minionych przez Gustawa Manteuffla czy prof. Stanisława Kolbuszewskiego, jak i obecnie – choćby w pracach prof. Krzysztofa Zajasa. Ale odpowiadając na tę część pytania – Łotwa wbrew pozorom nie jest łatwym obiektem sympatii. W jakimś szerszym, nadpisanym kontekście wydaje się nie potrzebować zachwytu, nie ma tam na wyciągnięcie ręki oszałamiających pięknem zabytków czy zapierających dech widoków, jak w Italii czy Szwajcarii. Nieliczna – jak na europejskie warunki – liczba ludności, wpisane w zbiorową pamięć doświadczenia historyczne stawiające ją niejednokrotnie przed dramatycznymi wyborami, ale przede wszystkim trudne warunki, odcisnęły znak na stylu życia Łotyszki opartym na praktyczności i pracowitości, milczącym trwaniu – w kronikach łotewskich dziejów próżno szukać wielkich powstań narodowowyzwoleńczych, a jeśli już znajdziemy wzmianki o militarnym charakterze, będą odnosiły się do pochodu wielkich armii przez tę ziemię czy relacje odnoszące się do prześladowań Bałtów opierających się bezskutecznie imperialnym dążeniom kolejnych władców z sąsiednich krain.



Wnętrze biblioteki miejskiej w Ventpils

Łotwa zaskakuje skromnością i dbałością o tradycje, a jednocześnie przykładą olbrzymie znaczenie do edukacji i rozwoju. Będąc tam, miałam nieodparte wrażenie, że kultura ma tam kluczowe znaczenie, a ludzie są autentycznie zaangażowani w jej podtrzymywanie. To o tyle ciekawe, że Łotwa rzeczywiście niepodległym, samoistnym państwem była przez dość krótki czas po I wojnie światowej. Epizod 20 lat zupełnej suwerenności na tle wielowiekowego uzależnienia od wpływów niemieckich, polskich, szwedzkich i rosyjskich oraz związana z tym mozaika wyznań religijnych sprawiają, że Łotwę trudno uchwycić, wpisać w jasno określony schemat. Nie chciałabym jednak, aby ktoś odniósł wrażenie, że Łotwa jest nijaka. To złudne przekonanie wynikające z braku wiedzy o tym rejonie Europy. Tutaj, w łotewskim kontekście, chyba lepiej mówić o nieokreśloności, przestrzeni do odkrycia, którą w Polsce zaskakująco łatwo przeoczyliśmy. Na swój sposób w mikroskali Łotwa to powidok tego, co w Polsce istniało do II wojny światowej i zostało bezpowrotnie starte z powierzchni map – fizycznej, społecznej, kulturowej, mentalnej. Nie zapominajmy jednak, że Łotwa, choć omiataana szwedzką bryzą znad Bałtyku, wciąż trwa w cieniu rosyjskiego niedźwiedzia... Na marginesie: narodowy epos ludowy Łotyszy to „Laczpļēsis” (Lāčplēsis) autorstwa łotewskiego poety Andrejsa Pumpursa (w polskim przekładzie Jerzego Litwinuka). Opisuje życie legendarnego herosa Lāčplēsis, którego bogowie wybrali, by stał się bohaterem swego ludu. Znaczenie jego imienia to „Niedźwiedziobójca”. Te etniczne czy też geopolityczne napięcia są tam wciąż żywe i wciąż wpływają na tkankę kulturową. Jest więc Łotwa miejscem do odkrycia. Także, a może przede wszystkim, w sferze literatury i języka.

B.K. No właśnie – jak doszło do powstania antologii? Skąd taki pomysł?

O.W. Na pewno nie był to błysk olśnienia, raczej pewien proces wynikający z obserwacji, spotkań, rozmów. Tutaj muszę podkreślić bardzo ważną, może nawet decydującą rolę, jaką dla upowszechniania kultury i literatury łotewskiej pełni Międzynarodowy Dom Pisarzy i Tłumaczy w Ventspils (polska Windawa) i osoby kierujące tym ośrodkiem – Andra Konste i Ieva Balode. Dom pełni funkcję ośrodka badań literackich, warsztatów translatorskich, konferencji i spotkań międzynarodowego grona pisarzy i tłumaczy o uznanej randze, ale zaprasza także twórców stawiających dopiero pierwsze kroki w dziedzinie literatury czy przekładu. Ścisłe współpracuje z Ministerstwem Kultury Łotwy i Latvian Literature – odpowiednikiem polskiego Instytutu Książki. Myślę, że rola tego miejsca jest nie do przecenienia dla promowania Łotwy w świecie i być może dlatego liczba przekładów literatury łotewskiej na język angielski, niemiecki czy rosyjski jest tak imponująca. Łotysze uczynili ze swojej literatury ważny oręż w obronie trwałości rodzimej kultury. Po prostu stworzyli miejsce do pracy i spotkań, a potem otwarli ten dom na ludzi z różnych kręgów kulturowych. Kładą nacisk na przekłady. Zresztą, tłumacz literatury ma na Łotwie status równy pisarzowi czy poecie. To daje do myślenia.

Jednocześnie obecność łotewskiej twórczości w Polsce jest daleka od tej, jaką ma na polskim rynku wydawniczym literatura ukraińska czy czeska (jeśli mówimy o literaturze krajów sąsiadujących lub mających trwałe relacje historyczne z Polską). W zbiorach Biblioteki Narodowej (dane z 2016 roku) *lettonika* zamykają się liczbie około 40 publikacji, sięgających lat 30. XX wieku i czasów powojennych (w większości w określonym kontekście ideologicznym). Wyłom stanowią przekrojowe prezentacje poezji, jak choćby *Zorze nad Dźwinią* z 1972 roku pod redakcją Leopolda Lewina, *Innego mostu nie będzie* – zbiorek wierszy Knutsa Skujenieksa z 2009 roku w przekładzie Justyny Spychalskiej czy *Niosłem Ci kanapkę* – wybór wierszy Kārļa Vērdiņa z 2009 roku w przekładzie Jacka Dehnela. Z naj-

nowszych wydań należy wymienić Ingę Gaile i jej tom *Wielkanoc* [w przekładzie Agnieszki Smarzewskiej], nominowany do Nagrody Europejski Poeta Wolności w 2020 r. I na tym polskie związki z łotewską literaturą właściwie się zatrzymały. Łotysze zaś „rewanżują się” Polakom przekładami Jana Kochanowskiego, Konstantego I. Gałczyńskiego, Stanisława Jerzego Leca, Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Urszuli Kozioł, Hanny Krall, Adama Zagajewskiego, Doroty Masłowskiej, Mikołaja Łozińskiego – są świetnie zorientowani w naszej literaturze. Zresztą mamy na Łotwie szczęście do znakomitych tłumaczy-poetów – nestorów Knutsa Skujenieksa i Uldisa Bērziņa czy Mārisa Salējsa i Ingmary Balode reprezentujących młode pokolenie łotewskiej liryki. Więc pierwszym krokiem prowadzącym ku antologii było odczucie braku, nieobecności, dość zawstydzające wrażenie jakiejś niewspółmierności i zaniedbania.

Krok kolejny to spotkania. Jedno z nich odbyło się w Salaspils – w tej wersji nazwa tego miasta nieopodal Rygi nic Polakom nie mówi, ale już jej polski odpowiednik „Kirchholm” nabiera konkretnego znaczenia. Mieszka tutaj Knuts Skujenieks – „skała” współczesnej łotewskiej literatury w ogóle. Zainteresowanych czytelników odsyłam do najnowszej książki Wojciecha Pestki *Gdyby Polacy nie byli Polakami* (wyd. Wysoki Zamek, Kraków 2020), w której znajdziemy reportaż opisujący sylwetkę Knutsa Skujenieksa – los łagienika i poety. Osobiste spotkanie z poetą, człowiekiem ciepłym i pogodnym mimo tragicznych doświadczeń, ale także wysłuchanie wiersza *Dieva Odina deviņas naktis* w interpretacji samego autora było niezwykłym przeżyciem. Brzmienie słów, specyfika intonacji, artykulacja



Knuts Skujenieks

głoszek, akcenty – to kolejna kategoria, na którą zwróciłam uwagę. Język łotewski – język Bałtów – brzmi dla Słowianina obco, wyrzuca poza strefę komfortu, jaką daje rodzina języków słowiańskich i poczucie, że nawet za Uralem *panimajem*. Język jest w końcu systemem znaków. Chciałam zrozumieć, o czym Łotysze ze sobą rozmawiają. Na swój sposób to dość szpiegowska motywacja... (*śmiech*).

A potem trzeba było te wiersze odnaleźć – przewertować kilkadziesiąt tomów w krótkim czasie; czas ma niezmiennie kluczowe znaczenie – i przetłumaczyć. Nauczyć się rzemiosła, niełatwego zresztą, z czego zdałam sobie sprawę na tyle późno, że nie było już odwrotu. To już opis samego procesu pracy z przekładem, który jest dość długi, żmudny i jest jednak bardzo osobistym doświadczeniem, które chciałam zostawić dla siebie. Chciałabym także zaznaczyć, że moja propozycja złożenia antologii współczesnej poezji łotewskiej spotkała się z bardzo otwartą reakcją ze strony łotewskiej. Wszyscy autorzy, których utwory weszły do antologii, zgodzili się od razu na udostępnienie swoich wierszy, mimo że nasz kontakt ograniczał się wyłącznie do wymiany maili. Mogłam też liczyć na pomoc Andry i Ievy. W pewnym momencie do projektu dołączył także Māris Salējs – autor słowa wstępnego do antologii.

B.K. Jakie było kryterium w dokonaniu wyboru i na ile jest on reprezentatywny dla współczesnej poezji łotewskiej? I jeszcze coś – czy nie przygniatał Cię ciężar odpowiedzialności, który wybrzmiał w słowach autora wstępu do antologii – Mārisa Salējsa: „A teraz – prawie 50 lat po *Zorzach nad Dźwiną* – polski czytelnik otrzyma nowy wybór łotewskiej współczesnej poezji”?

O.W. Z tych 50 lat przerwy nie zdawałam sobie sprawy, kiedy zdecydowałam o pracy nad przekładami. Nie umiem odpowiedzieć, czy ten „balast” mógłby mieć znaczenie przy podjęciu wyzwania. Raczej działa na korzyść – 50 lat to jednak spory rozdział czasu, który dał mi pewną niezależność w wyborze autorów i wierszy. Pozwolił na zaprezentowanie poezji łotewskiej w nowej odsłonie, z różnych kręgów pokoleniowych i światopoglądowych, które mogą być bliskie lub łatwe do rozpoznania także dla polskiego czytelnika. *Zorze nad Dźwiną* z 1972 roku to praca zbiorowa wielu znakomitych polskich tłumaczy, m.in. Jerzego Litwiniuka, Adama Włodka czy wspomnianych już Stanisława i Jacka Kolbuszewskich. Dzięki temu styl tamtych przekładów jest różnorodny, nacechowany w pewnym stopniu indywidualizmem każdego tłumacza z osobna. Pod tym względem *Wszystkie ptaki, co we mnie...* jest antologią autorską, skrojoną według wyboru jednej osoby, gdzie należało odnaleźć oryginalny styl każdego z poetów i zindywidualizować go w języku polskim na tyle, by brzmiał głosem innym, jeśli nie własnym. Nie mam jednak odwagi, by twierdzić, że udało mi się tego dokonać. Starałam się osiągnąć wyznaczony cel, ale ocenę skutków zostawiam czytelnikom.

B.K. Jak wygląda percepcja poezji łotewskiej w Polsce i polskiej na Łotwie, którą szczególnie omawia wspomniany Māris Salējs we wstępie do antologii? Czy chciałabyś coś dodać w tej materii, patrząc niejako z drugiej strony?

O.W. O percepcji literatury łotewskiej mówiłam już wcześniej. Myślę, że zaskakująco mało wiemy w Polsce o tym, co inspiruje łotewską literaturę, jakie są jej źródła, toposy i archetypy. Jest to z polskiej perspektywy literatura oddalona i czekająca u nas na swój czas. A trzeba zaznaczyć, że poezja łotewska nie ma kompleksów wobec europejskiej liryki. Doskonale wpisuje się w epoki literackie i typowe dla nich nurty tematyczne. Nieznajomość literatury tego obszaru Europy zamyka nas albo odcina od ważnego bieguna kulturowego.

Nie chcę tworzyć – zupełnie zbędnego – przekonania, że czeka nas tam twórcze olśnienie, bo równałoby się to z jakąś donkiszoterią (o czym mówi świetny wiersz Uldisa Bērziņa – *Rycerz i Sancho Pansa*). Ale jest to na pewno przestrzeń, której trzeba przyjrzeć się uważniej, bo znajdziemy tam wciąż żywotne mity i motywy, które w Polsce na przestrzeni wieków i różnorodnych procesów kulturowych czy społecznych, w tym także chrystianizacji, uległy całkowitemu zatarciu. Mówiąc o takich procesach, mam na myśli nie tylko rewolucje umysłowe przetaczające się pomiędzy biegunami Europy, ale także określone położenie geograficzne, które umożliwiało swobodny przepływ informacji. Łotwa z racji swojego położenia znajdowała się „poza pierwszym obiegiem”, nigdy też nie aspirowała do rangi mocarstwa, ale to nie znaczy, że jej los był znośniejszy od polskiego. Łotwa praktycznie jako samoistne państwo liczy sobie 50 lat (choć tak jak w Polsce 11 listopada 2018 roku obchodzono na Łotwie 100-lecie niepodległości, wliczając w to łotewską republikę socjalistyczną). W wiekach ubiegłych nie prowadziła samodzielnej polityki i była terenem obcej zwierzchności. Była czymś, co w uproszeniu można nazwać polem przemarszu wojsk, które za każdym razem równały wszystko z ziemią. Zasługuje na podziw fakt, że Łotyśze w takich warunkach zachowali swoją odrębność kulturową, gdzie paradygmat wspólnoty wyznaniowej nie był tak silnym czynnikiem scalającym jak w Polsce. Kluczem do tej zagadki może być język.

Choćby z racji wspólnoty losów, historycznych relacji trzeba tę część Europy znać, także przez jej literaturę. W antologii znalazły się obszernie biogramy poetów wraz z bibliografią ich twórczości. Założyłam, może zbyt pozytywistycznie, że w ten sposób przyszli tłumacze łotewskiej literatury dostają do ręki gotową listę książek. Jednak jedenaście poetyckich ży-



Uldis Bērziņš i Olga Wiewióra

ciorysów nie wyczerpuje tematu i sama antologia współczesnej poezji z perspektywy całości dorobku literackiego Łotwy jest zaledwie muśnięciem.

B.K. Może teraz kilka słów o samej książce, o drodze do jej wydania. Zanim oddam Ci głos, pozwolę sobie na garść uwag od siebie, czyli czytelnika przyglądającego się z boku. O samym wyborze wierszy i autorów już mówiliśmy, ale antologia poprzedzona jest wstępem poety i krytyka Mārisa Salējsa, pokazującym w skrócie historię poezji łotewskiej z Polską w tle. Mamy też posłowie profesora Andrzeja Niewiadomskiego, w którym prezentowane są sylwetki autorów antologii na tle świata. Profesjonalizm i to taki, który czyta się z przyjemnością.

O.W. Tak, droga od przekładów wierszy do ich wydania w formie książki była długa. Pracowałam nad tym projektem 6 lat. Właściwie ten czas był podróżą – również w dosłownym sensie, bo dzięki temu kilkakrotnie odwiedziłam Łotwę oraz uzyskałam stypendium dla tłumaczy w prestiżowym ośrodku w Szwajcarii – Translation House Looren. Także Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wsparło moje starania poprzez przyznanie stypendium w dziedzinie literatury. Poznałam tłumaczy z wielu krajów świata, miałam możliwość bezpośredniej rozmowy z poetami czy dostęp do zasobów bibliotek, o które w Polsce trudno, wreszcie komfort pracy twórczej w miejscach powołanych specjalnie w tym celu. Choć początkowo proces pracy nad przekładami był dość pustelniczy, o tyle później, kiedy ruszyła wydawnicza machina, przybywało osób, które zechciały pochylić się nad tą książką i które chciałabym w tym miejscu przywołać.



łotewski strój ludowy

O decydującej roli Andry Konste i Ievy Balode z Międzynarodowego Domu Pisarzy i Tłumaczy w Ventspils już wspominałam. Ważną instytucją, która objęła projekt swoim patronatem, było Latvian Literature z Rygi. Tutaj moje podziękowanie kieruję także do jedenastu łotewskich poetów za okazane zaufanie – Knutsa Skujenieksa, Jānisa Rokpelnisa, Leonsa Briedisa (†1.02.2020), Māry Zālīte, Inese Zandere, Liāny Langi, Edvīna Raupsa, Kārlisa Vērdiņa, Ingmāry Balode, Jurisa Kronbergsa (†6.07.2020) i Uldisa Bērziņa – kiedy 6 lat temu w mailach prosiłam ich o wyrażenie zgody na przekład wierszy na język polski, nie przypuszczałam, że spotkam się z taką otwartością, życzliwością i pomocą z ich strony. Potem do tego grona dołączył dr Māris Salējs (Mariāns Rīzijs – Uniwersytet Łotewski w Rydze) – autor znakomitego wstępu do antologii, który właściwie można uznać za mały szkic z zakresu historii poezji łotewskiej i jej recepcji w Polsce – oraz prof. Andrzej Niewiadomski z UMCS w Lublinie, którego osobisty esej z podróży po Łotwie literackiej i geograficznej stanowi doskonale posłowie dla wierszy. I wreszcie ci, dzięki którym książka została tak pięknie wydana i promowana podczas tegorocznego Festiwalu Inne Brzmienia w Lublinie [3 – 6 IX 2020/ relacja z festiwalu na profilu FB wydawnictwa Warsztaty Kultury, <https://www.facebook.com/WschodniExpress>] – zespół Warsztatów Kultury: Grzegorz Rzepecki, Aleksandra Zińczuk i Przemysław Głuchowski. Za oprawę graficzną odpowiadał Robert Zajac z *kolektywu kilku.com*. Trudno mi wyrazić wzruszenie i wdzięczność za ich pracę i zaangażowanie. Dziękuję wszystkim osobom, które wniosły choćby drobny wkład w wydanie antologii współczesnej poezji łotewskiej w Polsce. Dzięki nim, ich pracy, mamy szansę, aby rozszerzać granice poznania innych obszarów kulturowych, a to jest bezcenna wartość.

B.K. Na koniec zatem gratulacje ode mnie, od Redakcji i od Towarzystwa. Obyśmy częściej mogli rozmawiać o dziełach, których znaczenie wyrasta poza partykularyzmy regionalne i pozostanie trwałą wartością kultury narodowej, a dokonane są przez naszą redakcyjną koleżankę i skarbnika Towarzystwa Galeria Literacka! Myślę, że to nie koniec Twojej łotewskiej przygody, ale o tym będzie jeszcze okazja porozmawiać w przyszłości. Bardzo Ci dziękuję za interesującą rozmowę.

Na temat antologii poezji łotewskiej „Wszystkie ptaki, co we mnie...” wydanej we wrześniu b.r. przez lubelskie wydawnictwo Warsztaty Kultury z autorską przekładów Olgi Wiewiórą rozmawiał Bogdan Knop.



Zdjęcia z archiwum Olgi Wiewióry

Małgorzata Franc

ROZWINĄĆ SKRZYDŁA

Dla Patrycji z okazji osiemnastych Urodzin

Otwarte okno
i promień światła
nieśmiało zajrzał
przez frankę
aby powitać
dziewczynkę małą
i ucałować do Chrztu
falbankę.

I koniczynkę
los dał na szczęście
nie taką zwykłą
czterolistną
by wtedy gdy
poprosi ktoś
mogło się spełnić
prawie wszystko.

Mijały lata
a marzenia
mocno trzymały się
za ręce jak
piękny kwiat
tak dobry Świat
muskął z miłością
Twoje serce.

Rozwinąć skrzydła
przyszedł czas
gdy w dzień
październikowy
powrócił dawnych
wzruszeń czar
wszystko zaczyna się
od nowa.

(październik 2020 r.)

Janusz Strojec

DOM POEZJI HALINY POŚWIATOWSKIEJ

słowa mają swój dom
 nie ma jaskótek bez dachu
 ani pszczoł bez pasieki
 ani mrówek bez kopca
 w moim ptaszniku
 ojczyźnianych słów
 chowam je karmię
 to do lotu wzbijam
 plebejskie mieszają się ze skrzydlatymi
 kołują spadochronem
 osiadłym w wartkim potoku
 i podmuchem lata
 otulają czasowniki
 i inne gramatyczności
 w słowotoku mowy
 biegnę pod nimi
 z nędną przędzą w ręku
 nieudolności słabości niemocy
 czasem je chwytam
 i tak sobie ojcujemy matkujemy
 to znów rycersko chłopsko
 to znów wytwornie
 za katedrą dostojności
 w te podniebne Ikarowe
 coraz bliżej słońca
 by w kałuży utonąć
 pośród nich Twój cień
 w agrestach końskich szczawiach
 w bujnych krzewach
 stokrotki kaczeńca grządki fiołkowe
 czterolistna koniczyna
 co róg Amaltei
 spowity liściem łopuchu
 w koszykach traw w kłosach i badyłach
 chowasz
 jaśniejysz wytwornie
 dodajesz słowa
 Twój cień siada na barkach wielu
 Halino
 Twoje słowa mają swój dom

(sierpień 2020, refleksje podczas spotkania literatów w Muzeum Haliny Poświatowskiej)

Anna Jędryka

PRZEMIJANIE

KOLEJNY ROK

Kolejny rok odchodzi do lamusa
i nie ma na to rady,
zwyczajne życie i codzienne sprawy,
śniadania i obiady.
I rok za rokiem mknie niepostrzeżenie,
jutro wypędza wczoraj,
budzisz się rano i masz jakieś plany,
i nagle spać już pora.

I tak upływa wiosna, lato, zima,
i tak upływa jesień za jesienią,
wczoraj na drzewach jeszcze młode liście,
a dziś się barwią złotem i czerwienią.

A jutro wszystko biały śnieg przykryje
i tylko bukiet zasuszonych kwiatów
przypomni o tym, że śpiewały ptaki,
przypomni tobie, że odeszło lato.

Znowu zerwana kartka z kalendarza
odchodzi w zapomnienie
i noc kolejna odpłynęła w nicłość –
została tylko cieniem.
A twoje włosy posrebrzone śniegiem,
spowite wciąż młodością,
nadal nie godzą się z upływem czasu
i z życia ulotnością...

06.11.2019 r.

ZOSTAWIĆ PO SOBIE

Zostawić coś po sobie:
może ziarenko piasku,
może liść zasuszony,
może muśnięcie wiatru
po zmęczonych powiekach,
może ślad bosej stopy
na rozmokniętej trawie,
może smak karmelowych
lodów chłodzących lato?

Zostawić coś po sobie:
zostawić coś małego –
jak łzę płynącą z oczu,
jak kolec dzikiej róży,
który skaleczył palec,
jak pióro lecącego
podniebnym szlakiem ptaka,
jak nić babiego lata,
co nie lubi pożegnać...

12.12.2019 r.

Tadeusz Luterek

MGŁA – NIE MIEJ ZŁUDZEŃ

Nieprzenikliwa siostra chmury oraz deszczu. Zawiesina pary, nazywana mgłą. Nie miej złudzeń – zwyczajnym starości przejawem. Na wyciągnięcie ręki. Jakby z nieba, a ślepa. Bez daru pamięci. Ślady zaciera pozostawione zazwyczaj w nieładzie, dobrze maskując kształty widzialnego świata.

To, co mówi – zamazane, pozbawione treści. Dymna zasłona – przyjazna czy wroga? Zdań różnica, w istocie, nie do rozstrzygnięcia.

Bez słowa pochłania następujące po sobie widoki. Szerokie pola i lasy cieniste. Krętą linię drogi, z drzew szpalerem, okalającym nierówne pobocza. Wyrosłym z potrzeby czy nawyku. Jak klocki, niedbale rozrzucone, budynki i domy. Z udaną czy wątpliwą próbą egzystencji. Migotliwe sznury niespokojnych aut. I z wolna niknące sylwetki tych, co w podróży. Od lat połykających dni i noce ciemne. Milczenie krzyży, co w tle. Skupione i współczułe. Przywodzące do miejsc nieśmiertelnych.

Kiedy już traci zdolność postrzegania rzeczy, w pole wyprowadzi łatwowierne zmysły.

Przyznajmy zatem my, widzialnych znaków przygodni świadkowie: „mgła nasza codzienna, to nietrwała realność i przyrodzona nieuchwytność, co nie poddaje się mierze osądu”.

Jeśli opadnie – może odzyskasz dawną przenikliwość wzroku. Zapewne nie na długo. Dla opamiętania.

Zdzisław Opałko

ODLOTY

Jesteśmy

Jesteśmy od siebie tak daleko
choć to zaledwie kilka ulic
ścieżek bram i podwórek
prostych do wypatrzenia
łatwych do przebycia
trzeba tylko wyjść
z labiryntu myśli

Bywamy przy sobie tak blisko
jak tylko istota może być z istotą
a to dwa różne światy
na jednej nici zawieszone w kosmosie
i teatry co najmniej dwa z repertuarem
innym na każdy dzień

Jesteśmy... to brzmi obiecująco
choć może niezbyt precyzyjnie
jak na dwa byty z przydziałowym snem
dwa istnienia
które wciąż się uczą od siebie
jak spoglądać na inne istnienie
z czułością

Odloty

Jerzyki już odleciały
a poeci gdzie?...
napisał mi esemesem
zdradzając szczyptę tęsknoty
poeci zostają
odpisałem wiedząc że
zdarzają się im odloty
bez ruszania się z miejsca

Na jeziorze

Lubię wpływać łódką w ciszę
stacjonującą na jeziorze wyposażony tylko
w chybottliwe oparcie zmysłów
siłom natury i prawu Archimedesesa
powierzać swoje istnienie
ruchami wiosła powoli z premedytacją
zwiększać dystans do reguł definicji przepisów
doktryn pozostawianych na lądzie – dziwne
z jaką łatwością choć nie bez oporu ustępują miejsca
delikatnym chwilom świeżości

Wszystko jest w zasięgu i nie jest...
mgława toń zjawy codzienna w przestworzach
z gwiazdami lub w słońcu zawieszona
echosonda wyobraźni na przestrzał i w dno
uprzejme dno w nieustającej gotowości przyjęcia
kolejnego rekwizytu scenografii aktu jakiejś historii:
beład antycznych kolumn skorupy naczyń
fragmenty murów skrzynie lufy armat
wyszczerbione miecze pogięte krzyże –
tak znaczą drogi i dna rycerze mitów
o panowaniu i życiu wiecznym
mija mnie dryfująca wyspa
z sitowia traw i cywilizacyjnych odpadów
jak cicha trumna nad grobami
a może oaza przetrwania...
patrzę w oczy żabie na skrzydła ważek
obserwuję wodnego pająka z osobistą bańką powietrza
co za cudowne istoty z własnym programem na życie
mój oddech mieszany z wiatrem
marszczy wodę pochyla trawy przesuwają obłoki żagle
może też – wiem to – łamać drzewa
zrywać dachy potęgować fale... póki co
wozi się na wodoszczelnych grzbietach kaczek
chowa w piórach gołębia który przysiadł obok...
jeszcze bardziej spowalnia ruchy
spływają kropla za kroplą ożywcze chwile
otulony atmosferyczną opieką
zapadam w sen

Wiesława Owczarek

GORZKI PYŁ

MAD MAX

Patrzę na ekran
i widzę
destrukcję w czystej postaci
postapokaliptyczną dal

gdzie jesteś
zielona Ziemia
nasza kolebko
kolorowy śnie

na ekranie
świat w barwach sepii
bezkresne, jałowe pustkowia
krew i piach
krew i piach

tak będzie za jakiś czas

woda na wagę złota
jeśli masz wodę – rządź

świat spustoszony
przez zmiany klimatu
bezbrzeżny żar

może za horyzontem
może tam
będzie jak dawniej
zielono, radośnie, gwarno

tymczasem – lot ku samozagładzie

w futurystycznym, groteskowym świecie
neobarbarzyńcy
walczą o przetrwanie

LATO

całych kilkanaście tygodni trwaliśmy
w bezruchu, kolorowe jaszczurki
na rozpalonych kamieniach

zmienialiśmy łuskowate naskórki
na coraz cieńsze, ale i to
nie pomagało

przepływały przez nas fale gorąca,
topiły asfalt i wszystko, co było
zbyt marne, by wiecznie trwać

miraż drzew zamykały horyzonty,
żółkło w sadach i ogrodach

ludzie, jak zwykle, narzekali,
gorące wywiady w telewizyjnych audycjach
pełne były skarg

w zamkniętych samochodach umierały
dzieci i zwierzęta,
tymczasem bezdomny zagubił się we mgle
wodnej kurtyny

– jestem wolny! jestem wolny! – niosło się
po brukowej kostce placu

sawanna była już blisko, ale
przyszły deszcze i chłody

GORZKI PYŁ

– Tato, tato,
tak mi duszno,
za oknami bury dym
– Ach, to tylko
sąsiad pali
czarny, gorzki pył

– Mamo, mamo,
gdzie są kwiaty,
gdzie ogródka czar?
– Nie płacz, dziecko,
bo w tym roku
spalił kwiaty
słońca żar

– Tato, tato,
gdzie zwierzęta,
gdzie zielony las?
– Daj mi spokój,
drogie dziecko,
las odrośnie,
gdy nadejdzie czas

– Mamo, mamo,
daj mi wody,
chcę ugasić
ciała żar
– Nie ma wody,
drogie dziecko,
już od dawna suchy kran

– Tato, tato,
ja umieram,
nie mam siły żyć
– Powalcz jeszcze,
moje dziecko,
tak już musi być

– Mamo, tato,
kto jest winien,
kto powietrze zabrał mi?
– Dziecko nasze,
winni ludzie,
że planecie
zbrakło sił

popatrz – pola to ugory,
rzeki – wody nie ma w nich,
w lasach życia nie ma wcale
a powietrze – siwy dym

(wiersze były prezentowane na XII Konkursie Literackim ZNP Oddział Chorzów.
Nagrodzony został wiersz pt. *Gorzki pył*
– II nagroda)

Tadeusz Wrona

EPITAFIUM DLA EWY DEMARCZYK

Ruszył z kopyta wóz sześciokonny
 Zbrykane konie galopem poniosły
 Jakieś nieziemskie i jakieś niebieskie
 Niosą Twe drobne ciało w całunie

Za wozem na palcach Twój głos przeczysty
 Walcem się wznosi i walcem opada
 Delikatny i w dwójnasób mocny
 Czy głos dogoni spienione rumaki?

Jak by to było gdy dotrą do celu
 Niebo otworzy dla Ciebie swe bramy
 A głos nie zdąży przyprowadzić pieśni
 Tej prawdy wielkiej poezji żarliwej?

Nawet gdy nagle polubiłaś ciszę
 Wszystkie Twe pieśni żyły wciąż na nowo
 Zawsze prawdziwe i nieokiełznane
 Przenikające skórę stawy kości
 Poezja boli jak czuły naskórek
 Kiedy go muśniesz koniuszkiem opuszka

Zdradziłem Cię Ewo
 Pierwszy raz to wyznam
 Powiedziałem Groniec
 Żeś jest od niej mniejsza
 Santor się zachnęła
 A ja już załkałem

Zapałem się Ciebie
 Jak Piotr już wiedziałem
 Bezsensowna zdrada
 Chwilowe wrażenie
 Przepraszam Cię Ewo
 Za tę myśl i słowa

Największa
 Nieśmiertelna

Ewo
 Aniele
 Madonno

Arkadiusz Frania

WOJCIECH GIERYMSKI – POETA, KTÓRY PRZESTAŁ PISAĆ WIERSZE

W historii literatury wyjątkowe miejsce zajmują twórcy, którzy pojawili się na moment, zabłysnęli światłem nagłym, niespodziewanym i oślepiającym, by zgasnąć w jednej chwili, spalając się w eksplozji swojego talentu, czym wywołali wśród oniemiałych czytelników niedosyt i żal. Do takich autorów należy Wojciech Gierymski, syn znanego i cenionego pisarza Tadeusza Gierymskiego.

Wojciech Gierymski był w istocie jedynym poetą z Częstochowy, który zaznaczył swoją obecność w pokoleniu Nowych Roczników, warto poświęcić mu zatem kilka chwil namysłu¹. Ten, urodzony 15 października 1957 roku w Częstochowie autor, debiutował bardzo wcześnie, bo w 1975 roku² na łamach „Nowego Medyka”³ (nr 6, 16–31 marca 1975 roku – Dodatek artystyczny „Młoda Sztuka” nr 3, marzec 1975 roku) wierszem *Matka*, który wraz z *Sensem* został opublikowany kilka tygodni później, w czerwcowym numerze Magazynu Społeczno-Kulturalnego Województwa Częstochowskiego „Nad Wartą”⁴. Prezentację w tym piśmie poprzedziła nota *Nowy talent* informująca, że wiersze zostały nagrodzone w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim w XXX-lecie PRL, ogłoszonym w 1974 roku przez redakcję „Nowego Medyka”. Jak możemy przeczytać w biografii:

Wojciech Gierymski, uczeń III klasy Liceum im. Kopernika w Częstochowie, syn znanego w mieście i regionie poety Tadeusza Gierymskiego, po ojcu widocznie odziedziczył inklinację twórcze. I to w takim stopniu, że zapewniły mu już dość znaczny sukces⁵.

Juror turnieju, Jerzy Leszin, zauważył:

Z wierszami Wojciecha Gierymskiego zetknąłem się po raz pierwszy podczas posiedzenia jury konkursu literackiego. Z 7 nadesłanych wierszy dwa zyskały najwyższą nagrodę. Były to wiersze: *Matka* i *Sens*. [...] *Matkę* uważam za wiersz najbardziej dla Gierymskiego charakterystyczny⁶.

W tym samym 1975 roku młody poeta wziął udział w konkursie na arkusz poetycki, zyskując bardzo wysoką ocenę arbitrów⁷, a 24-tekstowy zestaw został zakwalifikowany do dru-

1 O wierszach Wojciecha Gierymskiego pisałem w szkicu *Poeta-meteor* (Miesięcznik Literacki „Akant” 2004, nr 11, s. 46–47).

2 W. Gierymski w rozmowie z dziennikarzem „Życia Częstochowy” zdradził w 1975 roku, że wiersze pisze od dwóch lat – (j), „*Aby słowo było ważne*” 18-letniego Wojciecha Gierymskiego, „Życie Częstochowy” 1975, nr 270, s. 9.

3 W. Gierymski, *Matka* [wiersz], „Nowy Medyk” 1975, nr 6, s. 7.

4 Tenże, *Matka*, *Sens* [wiersze], „Nad Wartą” 1975, nr 6, s. 3. W biografii mylnie podaje się, że częstochowska publikacja jest debiutem prasowym autora. W istocie był nim druk *Matki* w „Nowym Medyku”.

5 *Nowy talent* [o W. Gierymskim], „Nad Wartą” 1975, nr 6, s. 3.

6 J. Leszin, [nota], [w:] W. Gierymski, *Aby słowo było ważne*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1975, [obwoluta – prawe skrzydełko].

7 [red.], *Konkurs z okazji spotkań literackich „Debiuty poetyckie”. Arkusze poetyckie* (jako element „tablicy” informa-

ku jako pierwszy tom (pt. *Aby słowo było ważne*) serii „Pokolenie, które wstępuje”, towarzyszącej spotkaniom autorskim pod tym samym tytułem; mityng z Wojciechem Gierymskim odbył się 4 listopada 1975 roku, a jego gospodarzem był Paweł Soroka. Poetycki reportaż z wydarzenia przynosi wiersz *Pierwsze*:

w Warszawie przy ulicy Kickiego 12
z pięknie zrobionej książeczki
czytam słowo najpierwsze
łaskawie przyjęte przez Wielkie Uszy

po drżącym obwodzie mózgu
biegają białe oślepte zwierzęta

w klubie studenckim UBAB
(dokładny adres jak wyżej)
gąsienice lampionów bąble światła
genialnie dymi czarna kawa
kolejka podziemna Młodych Utalentowanych
wpatrzonych w kość Jednego Wiersza
muzy w [!] obcisłych piersiach
z wystudiowanym na włoskich mistrzach
dłutem rąk
z eleganckimi tyłkami które
podmywa się perfumą i srebrną spermą

i ja zamarzyły jak wigilijne drzewo
cały w zimnych ogniach
ogłaszam moje narodziny
kleszczowy poród wyobraźni
pierwsze zapaście rytmu wiersza
pierwsze azjatyckie skoki metafory
i nagła refleksja: cięty deszcz

w nocnym ekspresie do prowincji
wielkiego miasta płoną światła
mijam Koluszki: noc i mgła
lokomotywy świerszcz miarowo tyka⁸.

W powyższym liryku dominuje młodzieńcze, ironiczne rozgorączkowanie, ale jednocześnie zmysł obserwacji i trafny, nieraz naturalistyczny opis⁹.

cyjnej pt. *Młodzi twórcy wobec sztuki i własnego czasu*), „Nowy Medyk” 1975, nr 12, s. 10.

8 W. Gierymski, *Pierwsze* [wiersz], „Nad Wartą” 1976, nr 1, s. 5.

9 Gdy jesteśmy przy uczestnictwie W. Gierymskiego w życiu literackim lat 70., przywołajmy świadectwo Marka Jędrzejewskiego, poety, inicjatora noworocznikowych działań, który po latach pisał o II Konfrontacjach Poetyckich zorganizowanych w dniach 14-16 lutego 1977 roku przez Studenckie Centrum Literackie „Gremium”: „W trakcie wieczornego maratonu poetyckiego wystąpiło około czterdziestu poetów. Najbardziej podobały się publiczności utwory Piotra Bratkovskiego z Warszawy (grupa «Moloch»), Wojciecha Gierymskiego z Częstochowy, Jerzego Ignaciuka z Olsztyna, Kazimierza Nowosielskiego z Gdańska oraz Waldemara Strzelczyka

Cytowany już Jerzy Leszin o zestawie przesłanym na konkurs „Nowego Medyka” wyraził się w następujący sposób:

Z uwagą i niekłamaną satysfakcją po raz drugi przeczytałem wiersze Wojciecha Gierymskiego, nadesłane na ogłoszony przez nas [redakcję „Nowego Medyka”] konkurs na zestaw 24 wierszy. Wrażenie było podobne do tego sprzed kilku miesięcy, kiedy W. Gierymski otrzymał nagrodę: mamy do czynienia z dojrzałym poetą. Ta dojrzałość widoczna jest w prostocie jego utworów. W sensie, w treściach, które przekazuje. W rzadko spotykanej skromności ja lirycznego¹⁰.

Tę modestię potwierdził poeta we wstępie do prymicji książkowej, nazywając swoje utwory jedynie „próbami” (ASBW[5])¹¹, a w jednym z liryków poniekąd sklasyfikował zbiorek jako „brulion niepożądany”, czyli pisany wbrew sobie lub – do czego bardziej się skłaniał – nieoczekiwanie: „pomieszczę cały mój intelekt / w jednym brulionie niepożętym” (ASBW[29]).

Po tym niewątpliwym sukcesie, na lata 1975-1978 przypada największa liczba publikacji poety w czasopiśmie i antologiach, nieomal wysyp twórczy; o stanie niespodziewanego urodzaju niezwykle trafnie mówił niegdyś Jacek Durski w wywiadzie udzielonym Maciejowi Meleckiemu i Krzysztofowi Siwczykowi: „W tej chwili obserwuję w sobie proces obsuwania się wielkiej góry wierszy”¹². Z takim samym „procesem obsuwania się wielkiej góry wierszy” mamy do czynienia w przypadku Wojciecha Gierymskiego, którego liryki ukazały się m.in. w: „Poezji”, „Nowym Wyrazie”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Nad Wartą”, „Sztandarze Młodych”, „Studencie”, „Walce Młodych”, „Poglądach” czy pracach zbiorowych: *Seminarium literackie 1975* (1975), *Almanach literacki Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy* (1976), *Debiuty poetyckie 1975. Antologia* (1976), *Almanach poezji młodych* (1977), *List do Ciebie* (1977), *U źródeł nowego wieku. Poezja, reportaż, malarstwo i grafika* (1978)¹³. Dodatkowo m.in. Magazyn Społeczno-Kulturalny Regionu Częstochowskiego „Nad Wartą” donosił w nocy *Sukcesy młodego poety* o przyznaniu Wojciechowi Gierymskiemu w lipcu 1978 roku przez Sekcję

i Jerzego Szulca z Warszawskiego Klubu Robotników Piszących” (M. Jędrzejewski, *Młodzi poeci w PRL. Młoda poezja jako wyraz świadomości pokolenia lat 1976-1980*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2015, s. 109-110). O II Konfrontacjach Poetyckich jako emanacji grupy „Gremium” zob. także: E. Głębińska, *Grupy literackie w Polsce. 1945-1989. Leksykon*, wyd. 2, „Wiedza Powszechna”, Warszawa 2000, s. 498-499.

10 J. Leszin, [nota], dz. cyt.

11 W szkicu zastosowano następujące skróty na oznaczenie cytowanych książek W. Gierymskiego: ASBW – *Aby słowo było ważne*, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1975; RC – *Rymy częstochowskie*, [Częstochowski Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej], [Częstochowa 1982]. Liczba arabska obok skrótu oznacza stronicę przywołania (dotyczy wypowiedzi odautorskich i wierszy W. Gierymskiego).

12 *Pisarz? Wojownik*, z J. Durskim rozmawiają M. Melecki i K. Siwczyk, „Arkadia” 2003, nr 13-14, s. 308.

13 *Seminarium literackie 1975*, red. J. Leszin, A.K. Waśkiewicz, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1975; *Almanach literacki Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy*, wybór i red. T. Chudy, Rada Główna Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej i Krajowej Rady Kongresu Młodzieży Polskiej, Warszawa 1976; *Debiuty poetyckie 1975. Antologia*, wybór, oprac. i red. J. Leszin-Koperski, A.K. Waśkiewicz, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Warszawa 1976; *Almanach poezji młodych*, Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Częstochowie, Częstochowa 1977 (wydano z okazji IV Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich Częstochowa-Kłobuck 1977); *List do Ciebie*, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Warszawa 1977 (Suplement literacki do płyty *Piosenki studenckie i Songi Teatru STU*, wydane z okazji II Zjazdu SZSP); *U źródeł nowego wieku. Poezja, reportaż, malarstwo i grafika*, red. J. Leszin-Koperski, M. Miśkowiec, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Warszawa 1978.

ds. twórczości młodych przy Związku Literatów Polskich oraz Zarząd Główny ZSMP stypendium – nagrody im. Tadeusza Borowskiego¹⁴.

Począwszy od 1979 roku zanika aktywność poetycka Wojciecha Gierymskiego, publikacje w pismach stają się sporadyczne, niemniej należy zaznaczyć udział w antologiach: *Konfrontacje* ([1979]), *Mój Broniewski* (1979)¹⁵, przede wszystkim zaś w 2 antologiach: *Pokolenie, które wstępuje. 1975–1980* (1981) oraz w podzwonnym dla pokolenia Nowej Prywatności *Poeta jest jak dziecko. Nowe Roczniki. Antologia* (1987)¹⁶.

Arkusz *Aby słowo było ważne* spotkał się z niezwykle przychylnym, wręcz entuzjastycznym przyjęciem przez czołowych krytyków literackich. Wskazywano na wartości humanistyczne tej poezji, zorientowanie na człowieka i jego problemy. Trop taki podsunął sam autor we wstępie do prymicji książkowej:

Chciałbym w przyszłości pisać o najbliższych mi ludziach i ich sprawach. Ale boję się jednego: żebym w pisaniu nie wyczerpał swego Człowieczeństwa. Tzn. był etyczny w wierszach, a już nie w życiu. [...] Poezja jest tylko pięknym cieniem życia. Jak będę pisał? Nie wiem. Wiem tylko CO. Ale to może w pewnej mierze określa już sposób tworzenia¹⁷.

Jerzy Leszin kwitował: „Obdarzony malarską wyobraźnią, wrażliwy, z młodzieńczą wnikliwością obserwuje poeta biografię CZŁOWIEKA współczesnego, jego konflikty, zmagania. [...] Wiersze, wszystkie niemal wiersze jego ciążą ku sprawom człowieczym”¹⁸, a Julian Kornhauser ogłaszał: „To, co niewątpliwie uderza w poezji Gierymskiego, a co jednocześnie jest tak odległe od dokonań poetyckich ostatnich lat, i przez co zaskakujące, nazwać by można dążeniem do ufności, do ciepła, do [...] człowieczeństwa”¹⁹. Natomiast Zbigniew Jerzyna dostrzegł: „Dawno już w młodej poezji nie czytałem wierszy, które [...] tak ciążyłyby w stronę życia”²⁰. W ujęciu Edwarda Zymana: „Autor porusza się w materii mu najbliższej. Nie rozmawia z nami [...] jakimś sztucznym basem, nie kokietuje nas pseudofilozoficzną głądzą. Zwierza się nam ze swego pierwszego oglądu świata i [...] przekazuje nam prawdę najprostszą: że wiara w człowieka jest wartością największą”²¹.

Rejestratorzy i obserwatorzy fermentu w młodej poezji polskiej wypuklali dojrzałość, świeżość, prostotę i bezpretensjonalność twórczości Wojciecha Gierymskiego: „Pisze utwory przejmujące w swojej prostocie, ukrytym dramatyzmie i niepokoju” (Jerzy Leszin)²², „Wojciech Gierymski jest młodym człowiekiem bardzo utalentowanym o nieprzeciętnej wrażliwości” (Zbigniew Jerzyna)²³, „Dawno nie mieliśmy do czynienia z tak świeżą poezją” (Julian

14 [red.], *Sukcesy młodego poety*, „Nad Wartą” 1978, nr 8, s. 3.

15 *Konfrontacje* (almanach V Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich w Kłobucku), Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Częstochowie, Częstochowa [1979]; *Mój Broniewski*, wybór i wstęp T. Miłkowski, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1979.

16 *Pokolenie, które wstępuje. 1975–1980. Antologia*, wybór, oprac. i red. J. Leszin-Koperski, A.K. Waskiewicz, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1981; *Poeta jest jak dziecko. Nowe Roczniki. Antologia*, wybór i oprac. M. Chrzanowski, Z. Jerzyna, J. Koperski, Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987.

17 W. Gierymski, [wstęp odautorski], [w:] ASBW, s. 5.

18 J. Leszin, [nota], dz. cyt.

19 J. Kornhauser, *Wojciech Gierymski, czyli sprawa zaufania* [rec.: W. Gierymski, *Aby słowo było ważne*], „Student” 1975, nr 26, s. 17.

20 Z. Jerzyna, *Wiersze Wojciecha Gierymskiego*, [rec.: W. Gierymski, *Aby słowo było ważne*], „Nowy Medyk” 1975, nr 19, s. 15.

21 E. Zyman, *Co mówi nam Gierymski*, [rec.: W. Gierymski, *Aby słowo było ważne*], „Poglądy” 1976, nr 7, s. 12.

22 J. Leszin, [nota], dz. cyt.

23 Z. Jerzyna, *Wiersze Wojciecha Gierymskiego*, s. 15.

Kornhauser)²⁴, „Mimo bardzo młodego wieku Gierymskiego, mamy do czynienia z dojrzałym już poetą. Opisywanie własnej wrażliwości, charakterystyczny liryczny sposób obrazowania poetyckiego, skromność i bezpretensjonalność, młodość i świeżość odczuć, głębia treści – to cechy najważniejsze jego twórczości” (Janusz Taranienko)²⁵, „zawarta w debiutanckim tomie poezja, to poezja najbliższych otaczających autora spraw i przedmiotów, to czysty, pełen wzruszenia liryczny zapis” (Andrzej Żak)²⁶.

Oddzielnie chciałbym przywołać ocenę Edwarda Stachury:

[wiersze] Przede wszystkim są proste prostotą naturalną, tą prostotą, którą się ma od początku lub którą się osiąga (w sposób naturalny) na końcu, lub nie osiąga nigdy. [...] Niewątpliwa jest również wrażliwość autora. Jakie będą dalsze losy tej wrażliwości: czy się stępi [...], czy się wyostre – o tym nie moja rzecz wyrokować. [...] To powiedziawszy, kłaniam się sosence²⁷.

Zatrzymuje naszą uwagę m.in. Stachurowa *coda* („kłaniam się sosence”), dodająca młodzińcowi otuchy, tym bardziej że wyszła spod pióra legendy literackiej. Warto też usłyszeć głos dwóch rówieśników Wojciecha Gierymskiego, tak jak on przedstawicieli Nowych Roczników. Sergiusz Sterna-Wachowiak podkreśla:

Dla Wojciecha Gierymskiego wiersz jest sejsmografem przeżycia wewnętrznego, intelektualnego i emocjonalnego, etycznego i estetycznego, a jednocześnie językowym cieniem rzeczywistości. Przedmiotem starań poety jest wychwytywanie prawdziwej, nie nadwątłonej zmysłem (kłamliwej myślo) pępowiny łączącej tekst z jego intencją²⁸.

Najbardziej krytycznie wiersze poety z Częstochowy ocenił Władysław Zawistowski:

Wojciech Gierymski jest debiutantem dziwnym. Tak jakby zaczynał od końca. Już tytuł jego tomiku sugeruje sytuację walki o pewne dewaluujące się wartości – *Aby słowo było ważne*. I rzeczywiście – Gierymski to poeta już walczący o etyczne i estetyczne wartości [...]. Gierymski i jego – przechodzący przez cykl kolejnych inicjacji – bohater liryczny – przeczy sytuacji modelowej, schematycznej. On nie poszukuje, nie rozpoznaje wartości – on już musi o nie walczyć²⁹.

24 J. Kornhauser, *Wojciech Gierymski, czyli sprawa zaufania*, s. 17.

25 J. Taranienko, [w:] tegoż, *Pokolenie, które wstępuje* [nota o tomiku W. Gierymskiego, *Aby słowo było ważne*, recenzja zbiorcza o 6 książkach wydanych w serii I „Pokolenia, które wstępuje”], *itd* 1977, nr 1, s. 25. Tezy te zostały powtórzone w nieco skorygowanej wersji w tekście „co” o *poezji najmłodszej* [recenzja zbiorcza o 6 książkach wydanych w serii I „Pokolenia, które wstępuje”], *Nowy Wyraz* 1977, nr 6, s. 119-120.

26 A. Żak, *Wśród książek i pisarzy* [tu wzmianka o tomiku W. Gierymskiego, *Aby słowo było ważne*], *Trybuna Robotnicza* 1977, nr 23, s. 6.

27 E. Stachura, [rec.: W. Gierymski, *Aby słowo było ważne*], *Nowy Medyk* 1975, nr 20, s. 9.

28 S. Sterna-Wachowiak, [nota o tomiku W. Gierymskiego, *Aby słowo było ważne*, recenzja zbiorcza o 6 książkach wydanych w serii I „Pokolenia, które wstępuje”], [w:] tegoż, *Poprzez język*, „Poezja” 1977, nr 9, s. 31.

29 W. Zawistowski, [nota o tomiku W. Gierymskiego, *Aby słowo było ważne*, recenzja zbiorcza o 6 książkach wydanych w serii I „Pokolenia, które wstępuje”], [w:] tegoż, *Pokolenie, które wstępuje* *Seria I*, „Litteraria”, kwiecień 1977, s. 192-193.

Anna Czekanowicz, Zbigniew Joachimiak, Władysław Zawistowski w tekście manifestującym działalność Grupy Sytuacyjnej Poetów i Artystów „Wspólność” zaliczyli poetę do autorów tworzących rdzeń „młodego pokolenia”. Ta „lista frekwencyjna” (termin Andrzeja K. Waśkiewicza) obejmuje takie nazwiska, jak:

Wymieńmy jeszcze raz: J.K. [Jan Krzysztof] Adamkiewicz, Urszula Benka, Anna Czekanowicz, Wojciech Gierymski, Zbigniew Joachimiak, Zbigniew Fronczek, Andrzej Kaliszewski, Krzysztof Lisowski, Beata Karpinowicz, Antoni Pawlak, Stanisław Esden-Tempowski, Stanisław Zajączek, Władysław Zawistowski i Waldemar Ziemnicki³⁰.

Z kolei Andrzej K. Waśkiewicz lokuje Wojciecha Gierymskiego wśród poetów urodzonych po 1950 roku, „którzy się potem «sprawdzili»”³¹. Porównując poetyki Nowych Roczników i Nowej Fali, krytyk twierdzi, że w wierszu *Strefa zaufania* twórca z Częstochowy wyraża „wewnętrzzną prawdę przeżycia”³², dodając w innym miejscu: „I Gierymski, i Pawlak, podejmując nowofalową problematykę, czynią to jednak nie z perspektywy uczestnika, ale – obserwatora zdarzeń”³³.

Mimo wielkich nadziei wiązanych z nową postacią w polskiej poezji i słowom wsparcia płynącym z recenzji i opinii, Wojciech Gierymski postanowił „zaniemówić”, choć w wywiadzie udzielonym „Życiu Częstochowy” tuż po ukazaniu się debiutanckiego tomiku, nieco ostrożnie, ale jednak deklarował: „Sądzę, że pozostanę wierny poezji. Daje ona bowiem możliwość wyrażenia odczuć, jakie przeżywa człowiek. Czy będą dalsze tomiki – trudno przewidzieć”³⁴. Wbrew zamykającej frazie „trudno przewidzieć”, poeta opublikował jeszcze zbiorek *Rymy częstochowskie* w 1982 roku, który przeszedł niemal bez echa, jakby twórca chciał uczynić publikację łabędzim śpiewem. Gdy Jerzy Leszin pisał: „Poezja polska zyskuje nowe, ciekawe zjawisko. Cieszę się, że wiersze Gierymskiego ukazują się już drukiem. Że mogą być ich współwydawcą. A teraz, Drogi mój, reszta należy do Ciebie”³⁵, nie mógł przypuszczać, iż młodzieniec tak szybko poweźmie i wcieli w życie decyzję o odwołaniu z miasta poetów. Dlaczego tak się stało? Odpowiedzi można się doszukiwać w nocy odautorskiej zawartej w *Rymach częstochowskich*: „Bez poezji można żyć, zarabiać pieniądze, bawić się... Ale dopiero poetycki, tj. filozoficzny stosunek do życia – nadaje mu autentycznego smaku. Naturalnie, do tego nie jest konieczne pisanie wierszy, wystarczy refleksja”³⁶. Czyżby autor dojrzał do zamknięcia, do niepisania, pozostając poetą bez pisma, poetą w czynach i myślach, w interpretacji świata, podejmowanych decyzjach i zaniechaniach? Nieco światła na genezę decyzji syna rzucił Tadeusz Gierymski, opatrując druk wiersza *mój pokój* w redagowanym przez siebie na łamach „Dziennika Częstochowskiego. 24 Godziny” „Okienku z wierszem”, komentarzem: „Poezję uprawiał

30 A. Czekanowicz, Z. Joachimiak, W. Zawistowski, [szkic zaczynający się od słów: „Pokolenie – to nie znaczy tylko grupa”, [w:] *Studenckie grupy i kluby poetyckie. Wiersze – manifesty – samookreślenia*, wybór, oprac. i red. J. Leszin-Koperski, A.K. Waśkiewicz, Zarząd Główny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, Warszawa 1979, s. 110.

31 A.K. Waśkiewicz, Ósma dekada. O świadomości poetyckiej „nowych roczników”, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1982, s. 159.

32 Tamże, s. 163.

33 Tamże.

34 [rozmowa z W. Gierymskim], [w:] (j), „*Aby słowo było ważne*” 18-letniego Wojciecha Gierymskiego, „Życie Częstochowy” 1975, nr 270, s. 9.

35 J. Leszin, [nota], dz. cyt.

36 W. Gierymski, [wypowiedź odautorska], [w:] RC, s. 20.

zaledwie kilka lat, zakończył tę twórczość, gdy – jak mówi – przestał wierzyć w wartość i sens poetyckiego słowa³⁷.

Gwoli bibliograficznej powinności podajmy, że biogram poety znalazł się w opracowaniach: Haliny Swaton *Literaci związani z ziemią częstochowską. Słownik bibliograficzny*³⁸ oraz Władysława Edwarda Piekarskiego i Zbigniewa Stańczyka *Słownik biobibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)*³⁹. Bodaj ostatnią polską prasową publikacją twórcy były 3 wiersze w Częstochowskim Piśmie Artystycznym „miniGaleria” z 1995 roku⁴⁰. Utwory Wojciecha Gierymskiego wydrukowano również w zredagowanej przez Władysława Edwarda Piekarskiego antologii *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków*⁴¹.

Co ciekawe, jeszcze w 1990 roku Waldemar M. Gaiński, pisząc o Tadeuszu Gierymskim, uznawał jego syna za czynnego poetę: „Ma dwoje dzieci – Hannę (36 lat) i Wojciecha (33 lata), którzy od lat przebywają w Norwegii. Syn Wojciech jest równie oryginalnym poetą⁴². W 2002 roku nota biograficzna autora niosła wiadomość: „Od kilkunastu lat mieszka i pracuje w Norwegii, skąd niestety nie docierają jego wiersze ani wieści o jego twórczości⁴³. Jeśli wierzyć wypowiedzi autora *Krótkiej ody do lampy*, Wojciech Gierymski wyemigrował ze względów ekonomicznych do Skandynawii w 1988 roku („Przed trzema laty [tekst pisany w 1991 roku] wyemigrował na stałe do Norwegii i pracuje tam w ośrodku rehabilitacyjnym⁴⁴), a przed wyjazdem, jako absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach, pracował w częstochowskim ośrodku rehabilitacyjnym⁴⁵.

Obecnie, jak mi wiadomo, Wojciech Gierymski wciąż mieszka i pracuje w Norwegii jako ceniony rehabilitant. W 1975 roku tak mówił o kierunku studiów, na jakie się wybierał: „Może się to wydać zaskakujące, ale marzę o Akademii Wychowania Fizycznego. Sport jest także moją wielką pasją⁴⁶. Dla osób znających i ceniących talent literacki autora trudny do uwierzenia (akceptacji?) był wybór wykształcenia wyższego, do tego „odrzuconia” poeta odniósł się zresztą w liryku *Decyzja*:

37 (tg) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem”: W. Gierymski, *mój pokój*, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1991, nr 196, s. 4.

38 H. Swaton, *Literaci związani z ziemią częstochowską. Słownik bibliograficzny*, „Kwartalnik Metodyczny”, Rok X, 1985, nr 1-2, Katowice-Bielsko-Biała-Częstochowa, V. Wkładka 2, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. dra Władysława Biegańskiego w Częstochowie.

39 W.E. Piekarski, Z. Stańczyk, *Słownik biobibliograficzny twórców literatury związanych z ziemią częstochowską (wraz z okolicą)*, Wydawnictwo WIKSTAN, Częstochowa 2006; wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”.

40 W. Gierymski, *Erotyk nr 3, Zabawa i Decyzja*, Częstochowskie Pismo Artystyczne „miniGaleria” nr 6, listopad 1995 (*Wydanie specjalne z okazji XIX Konfrontacji Poetyckich im. Haliny Poświatowskiej*), s. 14. Redakcja zatytułowała prezentację: *Wojciech Gierymski: Nieobecny, ale obecny słowem*.

41 *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975-2001*, część II, oprac. i red. W.E. Piekarski, Wydawnictwo „Dom Książki”, Częstochowa 2002; wydano w serii „Częstochowska Biblioteczka Poetów i Prozaików”. Tam druk 17 wierszy W. Gierymskiego: *Pytania, Liść, Odpyw, Program, Tancerki*, ***(*Czym dla mnie jest ojczyzna*), *Miłosz, Podróż orientalna, Sens, Kopia, Matka, Przesłanie do samego siebie, Martwa natura z goździkiem*, ***(*Poeta już nie umie kochać*), *Biały erotyk, Portret, Nałóg*.

42 WMG [W.M. Gaiński], *Twój sąsiad* [o T. Gierymskim], „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1990, nr 108, s. 3.

43 [nota biograficzna W. Gierymskiego], [w:] *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków*, s. 209.

44 (tg) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem”: W. Gierymski, *mój pokój*, s. 4.

45 (y) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem”: W. Gierymski, *Guernica*, „Dziennik Częstochowski. 24 Godziny” 1994, nr 101, s. 9.

46 [rozmowa z W. Gierymskim], dz. cyt.

wyberam się na wychowanie fizyczne
 czym wprawiam w osłupienie starszych
 polonistów od Kochanowskiego i
 Norwida
 opamiętaj się chłopcze mówią
 i zgorszeni odchodzą
 niosąc wysokie czoła

więc usiłuję sobie wytłumaczyć
 dziwną decyzję której być może
 zupełnie nie przemyślałem

i na powrót zalewa serce
 czerwona fala intuicji⁴⁷.

W *Rejestrze* natomiast przekazał wrażenia studenta podróżującego między Częstochową a Katowicami, nazwanymi niezwykle oryginalnie „miastem pochmurnej sadzy”: „trasa rozciągnięta jak guma do żucia / od Częstochowy do miasta pochmurnej sadzy / w którym obijam się jak kot z pęcherzem / między uczelnią a wieżą z kości niesłoniowej”⁴⁸.

Poezja Wojciecha Gierymskiego dotyka spraw z najbliższego otoczenia twórcy. Autor nie zapisuje fantasmagorii i urojeń, lecz dojrzałą reakcję na zdarzenia i ludzi codziennego obcowania. Byt podmiotu spełnia się we współistnieniu, życiu z innymi: „ale żyję wśród najbliższych / bliskich i trochę dalszych / wśród bardzo szczęśliwych / i tych którym udręka codziennie / podaje miarkę napoju” (ASBW[15]). Bohater nie ufa jednak wszystkim, ostrzega przed ludźmi fałszywymi, obłudnymi:

nie ufajcie ludziom z atlasu
 o bardzo przezroczystej głębi
 o szatach wytwornie przewiewnych
 [...]

 nie ufajcie tym którzy się nie jękają
 i kwieście zamykają każdą kwestię
 (ASBW[16]).

Te wiersze, dotykając rzeczywistości, stają się poniekąd sagą rodzinną, dlatego pojawiają się postaci rodziców, siostry i dziadków. Z wyjątkiem siostry, autor umieszcza bliskich w kontekście historii, nawet patriotyzmu. Ojciec i matka występują jako świadkowie czasów pogardy, doświadczeni przez historię, a słowa ważne „pokój” i „ojczyzna” są wypełnione realną treścią losów rodziców:

kiedy mój ojciec
 (coraz jednak niechętniej)
 rozwija papirus
 niezakłamaną przecież wyobraźni

47 W. Gierymski, *Decyzja* [wiersz], *Częstochowskie Pismo Artystyczne „miniGaleria”* nr 6, listopad 1995, s. 14.

48 Tenże, *Rejestr* [wiersz], „*Nad Wartą*” 1977, nr 12, s. 6.

i kiedy widzę na jego spojrzeniu
blade cięcie blizny
wtedy wierzę

i dwusylabowe słowo
pisane przez wielkie „p”
napełnia się sensem
gęstym i jednoznacznym
jak krew
(ASBW[7],

więc kiedy myślę czasem o ojczyźnie
to myślę także o mojej matce
(ASBW[13]).

W portrecie dziadka dominuje jego zawód kolejarzki:

A przecież byłeś szalonym maszynistą
gnającym z punktualnością słońca
przez rozświetlony krajobraz
twoich najlepszych przedwojennych lat
(ASBW[9]),

co też stanowi o więzi międzypokoleniowej: „mój dziadek był / mój ojciec i ja jesteśmy / kiedyś w przyszłości też będziemy byli / po kolei”⁴⁹. W dedykowanej babci *Impresji o dawnej herbacie* wyrażnia się motyw religijny: „litania żółta rano / litania czerwona w południe / litania brązowa wieczorem” (ASBW[18]).

Warto poświęcić nieco miejsca relacjom syna z ojcem⁵⁰. Tadeusz Piersiak twierdził:

W rozmowach z Gierymskim jego syn był jednak tematem tabu. [...] Nie wiem, czy właśnie porzucenie Euterpe nie poróżniło ojca i syna. Kiedy w maju [2018 roku] szykowaliśmy na czerwiec wystawę rocznicową Tadeusza Gierymskiego w Muzeum Częstochowskim, w biurku poety znalazłem teczkę z wierszami syna. Sam Wojtek, napotkany w maju na pogrzebie matki, o swojej twórczości mówił z lekceważeniem. Jakże szkoda!⁵¹.

Wojciech Gierymski w wywiadzie z 1975 roku podkreślał znaczenie domu w kształtowaniu wrażliwości:

Zacząłem pisać dla własnej przyjemności, z wewnętrznej potrzeby. Sądzę, że zaważył na tym w znacznej mierze klimat domu. Ojciec jest humanistą, publikował swoje utwory w prasie. Moja poezja jest jednak inna. Powie-

49 Tenże, *Pokolenie* [wiersz], „Nad Wartą” 1977, nr 9, s. 6.

50 T. Gierymski opatrzył swój ostatni wydany za życia zbiór poezji *Piołun* (Regionalny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli „WOM”, Częstochowa 2003) wpisem dedykacyjnym: „Książkę dedykuję moim dzieciom: / Hani i Wojtkowi”.

51 T. Piersiak, *Tadeusz z Gierymskich i z Hommersåk*, Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria” nr 46, kwiecień-czerwiec 2018, s. 28.

działbym o niej – pozbawiona artystycznych uduziwnień, ot – prosta i zrozumiała⁵².

W słowach tych brzmi szacunek i kontra, próba odcięcia się nastolatka od poetyki Tadeusza Gierymskiego, choć znający ją na pewno nie zarzucą autorowi *Krótkiej ody do lampy* tworzenia wierszy o ekwilibrystycznej semantyce. Marek Czarnołęski w obszernym szkicu poświęconym Tadeuszowi Gierymskiemu, wplótł m.in. zdanie o Wojciechu Gierymskim: „Od dziecka wychowywał się w atmosferze poezji i kultu dla książki. Zaczął sam uprawiać poezję”⁵³.

Gierymscy, jakkolwiek reprezentowali dwa różne pokolenia, kilkakrotnie publikowali w tym samym numerze pisma (nieraz wręcz obok siebie) czy edycji zwartej. Pojawili się razem przynajmniej w 3 numerach „Nad Wartą”. W związku z turniejem jednego wiersza z okazji II Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich w Kłobucku, redakcja wydrukowała wyróżnione wiersze Tadeusza Gierymskiego *Portret poetki* i Wojciecha Gierymskiego *Pierwsze* („Nad Wartą” 1976, nr 1, s. 5). Dział „W kręgu poezji” („Nad Wartą” 1976, nr 12, s. 6) przyniósł *Echo*, *Szron* ojca oraz *W zawieszeniu* syna, a „Kartka poetycka” („Nad Wartą” 1979, nr 12, s. 6) druk ***(*od szopy z królikami*) i *Ogrodniczki* Tadeusza Gierymskiego oraz *Pochodnie* Wojciecha Gierymskiego. Zasygnalizowane już wydanie specjalne Częstochowskiego Pisma Artystycznego „miniGaleria” z 1995 roku (nr 6, grudzień 1995) zawierało, w bloku przypominającym częstochowskich laureatów Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich im. Haliny Poświatowskiej, liryki Gierymskich – starszego (*Tulia w pamięci*, *Odlot*, *Tulia i moja anachroniczna egzaltacja*) i młodszego (*Erotyk nr 3*, *Zabawa*, *Decyzja*).

Obaj zaistnieli we wzmiankowanym już almanachu *Konfrontacje* (1979), gdzie Tadeusz Gierymski był obecny wierszami: *Muszla* i *Thanatos*, a Wojciech Gierymski *Gujaną*. Obszerne prezentacje liryczne przynosi też zasygnalizowana książka *Poetycka Częstochowa (wraz z okolicami) przełomu wieków. Antologia poezji poetów urodzonych w regionie częstochowskim i tworzących w nim w latach 1975–2001* (część II, 2002).

Tadeusz Gierymski dwukrotnie udostępnił synowi prowadzoną przez siebie rubrykę „Okienko z wierszem” na łamach „Dziennika Częstochowskiego. 24 Godziny”, publikując teksty: *mój pokój*⁵⁴ i *Guernicę*⁵⁵.

Na podstawie wierszy Wojciecha Gierymskiego można odtworzyć jego *ars poetica*. Twórca, jak się rzekło, ceni poezję prostą, szczerą, pozbawioną awangardyzmu, uduziwnień. Pragnie za pomocą wiersza wyrazić wartości humanistyczne (etyka) i piękno (estetyka), lękając się jednocześnie, by pisanie nie przeistoczyło się w *zombie*, wysysającego z autora „Człowieczeństwo”:

poezja –
tylko cień życia
piękny ale cień

52 [rozmowa z W. Gierymskim], dz. cyt.

53 M. Czarnołęski, *Rocznik 1928 – Tadeusz Gierymski. Biografia – wspomnienia – refleksje*, [w:] „Almanach Częstochowy” 2007, red. M. Batorek, A. Chojnowski, S. Gmitruk, Towarzystwo Przyjaciół Częstochowy, Częstochowa 2007, s. 66. Jak podano w jednym z przypisów: „Tekst jest autorskim i jak dotychczas jedynym podanym do druku wyborem fragmentów niepublikowanej książki Marka Czarnołęskiego pt. *Rocznik 1928; Tadeusz Gierymski – twórcze życie poety w środowisku artystycznym i kulturalnym Częstochowy*”.

54 (tg) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem”: W. Gierymski, *mój pokój*, s. 4.

55 (y) [T. Gierymski], „Okienko z wierszem”: W. Gierymski, *Guernica*, s. 9.

boję się żeby pisanie wierszy
nie wycodziło ze mnie Człowieczeństwa
żebym nie został jak suchy gorzki chwast
na wszystko obojętny oprócz siebie
jeżeli nie masz co Pięknego
przenieść z siebie do wiersza
– nie pisz –
(ASBW[14]).

Zacytowane *Przesłanie do samego siebie* to utwór programowy, który z perspektywy lat możemy odczytywać poniekąd jako proroctwo, wróżbę. Czy Wojciech Gieryski uznał, że już nie potrafi manifestować w literaturze Piękna? Przecież był pewny, iż „to co jest piękne w poezji / nie da się zetrzeć językiem”⁵⁶. Z innych liryków wynotujemy zasady sztuki poetyckiej wyznawanej przez pisarza: „rytm prostej poezji / oddechu // nie chcę nad sobą lecących / obłych metafor / ani pomieszanego alfabetu” (ASBW[17]), „nie znoszę poetyckich niedzielnych słów”⁵⁷, „najbardziej chciałbym / nie kłamać w wierszach / [...] / nie opisywać siebie” (ASBW[30]), „Obywam się bez metafor” (ASBW[12]), dlatego: „moja poezja jest szara / słowa jak kapuściany deszcz / nie mam zamiaru epatować / ani oślepiac światłem metafor”⁵⁸. Ale bohater tych wierszy przyznaje się do niewiedzy, która jest najbliższą definicją poezji:

czym jest poezja
dla młodego osobnika
o imieniu: Wojciech
nazwisku: Gieryski?

inteligentnym sportem?
zabawą?
potrzebą serca?
notatnikiem spostrzeżeń?
próżnością?
odwijaniem z bandażu
prawdy jak rana piekącej?

kontaktem z wiecznością?
urodą życia potwierdzoną
przez werbel śmierci?

nie wiem
nie wiem
dlatego piszę wiersze⁵⁹.

Obawa wiąże się również z wejściem w dorosłość, jakby w inną sferę ludzkiego bytu – gorszą, przerażającą, będącą zagrożeniem dla wyobraźni: „jakże opuszczać tulipan dzie-

56 W. Gieryski, **** (To co jest piękne w poezji)* [wiersz], „Nad Wartą” 1977, nr 12, s. 6.

57 Tenże, *Ojczyzna* [wiersz], [w:] *Almanach poezji młodych*, s. 8.

58 Tenże, *W zawieszeniu* [wiersz], „Nad Wartą” 1976, nr 9, s. 6.

59 Tenże, *Pytania* [wiersz], „Poglądy” 1977, nr 6, s. 15.

ciństwa / i nie zakrwawić kwiatu / żeby przerósł w pamięć” (ASBW[20]). Chyba że Wojciech Gieryski doszedł do przekonania, że tylko w okresie młodości był w stanie tworzyć poezję odpowiadającą jego wizji, choć gdzie indziej twierdzi: „dorosłość być nie musi skrzepnięciem wyobraźni” (ASBW[22]). Zdecydowanie występuje przeciw fałszowi, obłudzie, głosi czystą i prostą aksjologię, mówienie wprost: „nieskończony / karnawał kłamstwa / [...] / gorączkowo szukam / słowa bez fałszu / jak / sprężynowego noża” (RC2). Dlatego jego wizja świata jest katastroficzna: „Pęcznią ciała w ślepych locie komet, / coraz obłędniej wiruje współczesność, / chwieją się mury Jerycha, za moment / planeta pęknie i odleci w kosmos” (RC3).

Autor tworzy lirykę na wskroś bezpośrednią; można odnieść wrażenie, iż podczas lektury obcujemy z żywym sercem poety, który nie ukrywa się za obrazami, maskami i skomplikowanymi figurami retoryczno-stylistycznymi, nie kamufluje swojej obecności, nie mistyfikuje rzeczywistości, a emocje i uczucia wyraża wprost. Poezja Wojciecha Gieryskiego ujmuje swoją prostotą, a nawet prostodusznością, szczerością wypowiedzi oraz autentycznością przeżycia i refleksji literackiej. Autor cierpliwie buduje nici porozumienia międzyludzkiego.

Wojciech Gieryski zamilkł, ale pozostały jego wiersze.



Stefania Gąsior, „Tryptyk jurajski 1”

Michaś Stralcou

WIERSTY

przełożył Bohdan Zadura

Głuchota

Noc. Sen nie przychodzi.
 Słyszę, jak pali się papieros.
 Który ktoś rzucił na ulicy –
 Pod lipę, w pył wyschniętej ziemi.
 Nienawiści do siebie
 Przez ścianę nie usłyszę.

Odeszłaś,
 odeszłaś czemuś,
 a ja
 stałem się studnią bez wody,
 wiosennym krzewem bez liści,
 najbardziej ze wszystkiego
 jednak podobny do klatki,
 którą opuścił ptak...
 Słyszę, jak śpiewa w cudzym sadzie,
 wśród drzew widzę złotą klatkę.

Cicha ta przystań.
 Na cichą przystań
 Długo się czeka –
 Nie każdy da radę.
 Łodzie ktoś zegnał.
 Z wesołego szeregu
 Ktoś tam powiewa
 Chusteczką – z brzegu.

Późno w nocy, kiedy spałem,
 Gwiazda płynęła za oknem.
 Cichy samotny pająk
 Tkał dla tej gwiazdy sieć.
 Potem leciał samolot –
 Jego huk tłukł się o szyby.
 Zostawił pająk sieć,
 Schował się na parapecie.
 W tej chwili ja
 Otworzyłem oczy, zbudziłem się.
 Płakała gwiazda w ciemności –
 A czemu, tego jeszcze we śnie
 się domyśliłem.

Zemsta

Powiedzcie mi,
 ile macie lat:
 ja wam pożyczę jeszcze tyle,
 jeszcze tyle,
 jeszcze tyle
 i pół raza tyle,
 ile,
 póki nie umarłem,
 życzone mnie.

Zobojętniało, jak pięć groszy,
 Październik zsyła nam swój liść.
 Niech tam. Podnoszę. Nie wie nikt,
 Że można mówić też w ten sposób.
 I piszę na nim. Zazaczyłem
 Rok, w jakim maju, listopadzie.
 Ojczysty listek. Pochodzimy
 Z tych samych stron, ginimy razem.
 Znienacka sobie wers napiszę –
 Niechajże leci w świat skrzydlaty.
 Na smyczy duszę doń przywiążę –
 Razem wrócimy do swej chaty.
 Listek leci w świat skrzydlaty.

Michaś Stralcou (ur. 14 lutego 1937 w Syczynie, powiat sławogrodzki, zm. 23 sierpnia 1987 w Mińsku) – białoruski prozaik, poeta, tłumacz i krytyk literacki. Urodził się w rodzinie nauczycielskiej. Studiował dziennikarstwo na wydziale filologicznym Białoruskiego Państwowego Uniwersytetu (1954–59). Pracował w redakcjach „Literatury i Sztuki”, „Płomienia”, „Młodości”, od 1984 roku był szefem działu sztuki, krytyki i bibliografii czasopisma „Niemen”. Autor tomów opowiadań: *Блакiтны вецер* (*Błękitny wiatr*), 1962, *Сена на асфальце* (*Siano na asfalcie*), 1966, *Падарожжа за горад* (*Podróż za miasto*), 1986; tomów wierszy: „t” (1973), *Цень ад вясла* (*Cień wiosła*), 1979, *Яшчэ і заўтра* (*Jeszcze też jutro*), 1983, *Мой свеце ясны* (*Mój jasny świecie*), 1986; książek krytycznoliterackich: *Жыццё ў слове* (*Życie w słowie*), 1965, *У полі зроку* (*W polu widzenia*) 1976, *Пячатка майстра* (*Pieczęć mistrza*) 1986, eseju *Загадка Багданоўіча* (*Tajemnica Bahdanowicza*), 1968. Tłumaczył m.in. Puszkina i Nerudę, włoskich poetów współczesnych, prozę Ajtmatowa i Pasternaka. Jest patronem mińskiego festiwalu poetyckiego „Wiersze na asfalcie”.

Uładzimier Arłou

MIÓD

przełożył Bohdan Zadura

1

na ciepłej srebrnej belce
za babcynym domem
w wysokiej trawie z rumiankami
jemy świeży miód z chlebem
ja
Wowa Potocki
Wowa Tańczyn
Ninka Tuzawa

miód jeszcze nie kupiony
chleb jeszcze w piecu
mam dwanaście lat
Ninka rok więcej
Wowkowie po czternaście
nasza śmierć
jeszcze się nie narodziła

Wowa Potocki ma czarną głowę
prababka zgrzeszyła z Cyganem
tak jak moja
Wowa jakby był moim bratem
choć ja mam głowę rudą
my z Wową Potockim
szanujemy Cyganów
jak dorośniemy
będziemy kraść konie

Ninka wciąż się przesiada
między trzema Wowami
kręci się wypowiada życzenia
znamy twoje życzenia
mówi Wowa Tańczyn
my tak samo znamy

2

chleb jeszcze nie wystygł
miód na białym talerzyku
na talerzyku orzeł i swastyka
mleko w porcelanowych kubkach
kubki tak samo białe
tak samo orły i swastyki
babcina pamięć o Niemcu Paulu

miód kapie Nince na piersi
cieknie rowkiem
w tajemnice Ninki
uczeni jeszcze tego nie odkryli:
regularnie oglądając kobiece piersi
najlepiej nagie
najlepiej dużych rozmiarów
białe czarne żółte
kolor nieistotny
krótko mówiąc regularnie oglądając
kobiece piersi
trzykrotnie zmniejszasz ryzyko
zawału lub udaru

napawanie się piersiami
wydłuża życie mężczyzny
średnio o pięć lat
co do wpływu
tego na życie właścicierek piersi
nie ma doniesień
badania trwają
trzeba dać tym uczonym
Nobla

7

czterdzieści trzy lata po tym miodzie
 zdarzy mi się zawał
 widać za mało patrzyłem
 na kobiece piersi
 ale patrzyłem wystarczająco żeby przeżyć
 kupić bilet
 przejść w deszczu
 sześć kilometrów od stacji
 znaleźć za pustym domem babci
 zbutwiałą belkę
 wyjąć z plecaka
 biały kubek z orłem i swastyką
 wypić z niego trzy razy więcej
 niż dawka dozwolona przez lekarzy

8

Wowa Potocki nie mylił się
 zaledwie w odległości mgnienia
 na
 cieplej srebrnej belce
 za domem babci
 w wysokiej trawie z rumiankami
 jemy świeży miód z chlebem

trzymiel fruwa wokół piersi Niny
 przedłuża swoje trzmielie życie
 Wowów znów trzech
 jeden z czarną głową
 drugi z trzeźwą
 u trzeciego kręci się w niej kiedy zerka
 na Ninkę
 w spodenkach coś się porusza

Ninka krąży między nami
 stawia życzenia
 Wowa Tańczyn
 spełnia życzenia w szopie
 na starym drewnianym łóżku
 czy nie tam moja prababka z Cyganem...
 Wowa Potocki
 czyta nam wiersze

*a może obok nas jest inny świat
 w czasie odległym o mgnienie
 i może inny w nim żyjesz
 i może masz czyste sumienie*

Uładzimir Arlou (ur. 1952 w Połocku) – jeden z najbardziej popularnych białoruskich poetów, historyk i prozaik. Po studiach na wydziale historii na uniwersytecie w Mińsku pracował jako nauczyciel i dziennikarz w Nowopołocku. Od 1988 współpracował z wydawnictwem „Mastackaja litaratura”, wtedy też wstąpił do Białoruskiego Frontu Ludowego. W 1996 zwolniony z pracy w wydawnictwie za „wydawanie wątpliwej jakości literatury historycznej i innej”, wspierał w wyborach prezydenckich kandydatów demokratycznych, w 2007 jego utwory zostały usunięte z programu szkolnego. Aktywnie działał w białoruskim PEN Clubie i w niezależnym Związku Pisarzy Białoruskich. Opublikował ponad 20 tomów prozy i kilka zbiorów poezji. W 2018 roku otrzymał za książkę *Tańce nad miastem* nagrodę im. Jerzego Giedroycia. Jego utwory tłumaczono na wiele języków. Po polsku ukazały się dwa wybory opowiadań: *Requiem dla piły motorowej* (2000, tłumacze różni) i *Kochanek jej wysokości* (2006, tłumacze różni, KEW) oraz tom wierszy w przekładzie Adama Pomorskiego *Prom przez Kanał la Manche* (2009), uhonorowany nagrodą Europejski Poeta Wolności (2010). Ballada *Miód* pochodzi z książki *Porucznik Piotrowicz i chorąży Duch*, która ukazała się w Mińsku w 2018 roku.

Walżyna Mort

WIERSZE

przełożył Bohdan Zadura

Бабуля

мая бабуля
ня ведае болюяна
думае што
голад – гэта ежа
галота гэта – багацьце
смага – гэта вада

яе цела як вінаград абвілася вакол палкі
яе валасы – як пчаліныя крылцы
яна глытае сонечныя зайчыкі таблетах
назвае інтэрнэт тэлефонам ў амэрыку

яе сэрца стала ружаю – яго толькі
і можна
што нюхаць
прыціскаючыся да яе грудзей
больш ад яго ніякага толку
толькі кветка

яе рукі як ногі бусла
чырвоныя палачкі
і я сяджу на кукішках
і выю ваўком
на белую поўню тваёй галавы
бабуля
я кажу табе: гэта ня боль
гэта так моцна цябе абдымае бог
цалуе і коле сваёй няголенай шчакою

Babcia

moja babcia
nie zna bólu
myśli że
głód to pokarm
ubóstwo to bogactwo
pragnienie to woda

jej ciało jak winna latorośl owinęło się
wokół laski
jej włosy to pszczele skrzydełka
połyka słoneczne zajączki tabletek
nazywa internet telefonem do ameryki

jej serce stało się różą – można je tylko
powąchać
przyciskając się do jej piersi
więcej nie ma w nim żadnego sensu
tylko kwiatek

jej ręce jak nogi bociana
czerwone patyki
i siedzę przycupnięta
i wyję jak wilk
do białej pełni twojej głowy
babciu
mówię ci: to nie ból
to tak mocno ciebie obejmuje bóg
całuje i kłuje swoim nieogolonym
policzkiem

Для А.Б.

Нават цяжка паверыць,
што мы былі яшчэ маладзейшыя,
чым цяпер.
што нашая скура была такая тонкая,
што вены блакітнелі праз яе,
як лінеечка ў школьных сшытках.
Што сусвет быў простым дваровым
сабакам
і кожны раз сустракаў нас ля дому
пасья ўрокаў,
І мы ўсё хацелі забраць яго да сябе,
а потым яго забраў нехта іншы –
даў імя
і вучыў камандзе «чужы»
на нас.

І таму мы прачынаемся па начах,
і запальваем свечкі тэлевізараў,
і ў іх цёплым полымі пазнаем твары
і гарады,
і, сьмелыя, зранку зьвяргаем
яечню з патэльні.

А наш сабака вырас на чужым павадку.
А нашыя маці раптам перасталі спаць
з мужчынамі,
і, гледзячы на іх сёння,
усё лягчэй паверыць у нявіннае
зачацьце.

А зараз уяві сабе:

*дзесьці ёсьць гарады
з каменнымі белымі дамамі,
раскіданымі ўздоўж берагу акіяна,
як яйкі гіганцкіх марскіх птушак,
і ў кожным доме – легенда пра
капітана,
і кожная пачынаецца так:
«Малады і прыгожы...»*

Dla A.B.

Aż trudno uwierzyć,
że byliśmy jeszcze młodszy,
niż teraz,
i nasza skóra była taka cienka,
że prześwitywały przez nią błękitne żyły,
jak liniuszek w szkolnych zeszytach.
Że wszechświat był zwykłym
podwórkowym psem
i za każdym razem witał nas koło domu
po lekcjach,
i wciąż chcieliśmy zabrać go do siebie,
ale zabrał go ktoś inny –
dał imię i nauczył komendy „obcy”
wobec nas.

I dlatego budzimy się po nocach,
i zapalamy świecek telewizorów,
i w ich ciepłym płomieniu poznajemy
twarze i miasta,
i odważni, rano obalamy
jajecznicę z patelni.

A nasz pies wyrósł na cudzym łańcuchu.
A nasze matki nagle przestały sypiać
z mężczyznami,
i patrząc na nie dzisiaj,
coraz łatwiej uwierzyć w niepokalane
poczęcie.

A teraz wyobraź sobie:

*gdzieś są miasta
z kamiennymi białymi domami,
rozrzucone wzdłuż brzegu oceanu,
jak jaja gigantycznych morskich ptaków,
i w każdym domu – legenda o kapitanie,
i każda zaczyna się tak:
„Młody i piękny...”*

Малалеткі

мы ж дзеці
 між дзён і начэй
 нібы між ног дарослых на
 танцплашчадцы
 фарбуем твары быццам пасхальныя
 яйкі
 падсоўваем ў рот адно аднаму
 ў чырвоных канвертах
 сваіх языкоў
 хабар

мы ж дзеці
 нам што сімбад мараход што алах акбар

ў бога няверуючыя але шчыра ўдзячныя
 хрысту за ягоную кроў
 і кожны з нас гатоў
 плаціць за яе вялікія грошы

мы ж дзеці
 што можа быць горш
 такога жыцця як у нас і ў кіно
 не пабачыш

і лета – нашая таўстазадая нянька
 нас укарміла сваім салодкім трафік
 джэмам
 у жаралах гарадоў пра якія мы кажам
 выключна “на Вы і шепотом”

мы ж дзеці
 мы цукар зямлі

і гэта толькі ад святла светлафораў
 мы здаем ся зялёнымі
 але пабачыш як праз хвіліну
 светлафоры раздзяруць свае грудзі
 і выставяць чырвоныя сэрцы

таму што мы дзеці
 малалетнія людзі

і мы ляцім на ўсіх самалётах
 і ўсе самалёты ляцяць да мінска
 таму што мы дзеці і маем права
 на горад дзяцінства

Małolaty

jesteśmy przecież dziećmi
 między dniem i nocą
 jak między nogami dorosłych na tanecz-
 nym parkiecie
 malujemy twarze jak wielkanocne jajka
 podsuwamy do ust jedno drugiemu
 w czerwonych kopertach
 swoich języków
 łapówkę

jesteśmy przecież dziećmi
 co nam tam sindbad żeglarz co allah akbar

nie wierzymy w boga ale szczerze jesteśmy
 wdzięczni

chrystusowi za jego krew
 i każde z nas jest gotowe
 płacić za nią wielkie pieniądze

jesteśmy przecież dziećmi
 co może być gorsze
 takiego życia jak nasze nie zobaczysz
 nawet w kinie

i lato – nasza opiekunka o tłustym tyłku
 wykarmiła nas swoim słodkim dżemem
 ulicznego ruchu
 w spiekocie miast o których mówimy
 wyłącznie „per Pan i szeptem”

jesteśmy przecież dziećmi
 jesteśmy cukrem ziemi

i to tylko od światła sygnalizacji ulicznej
 wydajemy się zieloni
 ale zobaczysz jak za chwilę
 światła rozedrą swoje piersi
 i wystawią czerwone serca

dlatego że jesteśmy dziećmi
 małoletnimi ludźmi

i lecimy we wszystkich samolotach
 i wszystkie samoloty lecą do mińska
 dlatego że jesteśmy dziećmi i mamy prawo
 do miasta dzieciństwa

Фабрыка Слёз

І зноў па выніках году
самых высокіх паказальнікаў
дасягнула Фабрыка Сьлёз.

Пакуль Міністэрства Транспарту
таптала абцасы,
пакуль Міністэрства Сардэчных
Справаў
білася ў гістэрыцы,
Фабрыка Сьлёз працавала па начах,
нават па сьвятах
ставіла рэкорды вытворчасці.

У час. калі Станцыя па Апрацоўцы
Ежы
перажоўвала чарговую катастрофу,
Фабрыка Сьлёз перайшла на эканамічна
рэнтабельную
пераапрацоўку адыходаў мінулага -
галоўным чынам асабістых успамінаў.

Фотаздымкі работнікаў году
ўрачыста размясьцілі на Сыяне Плачу.

Я – інвалід працы фабрыкі-героя слёз.
У мяне на вачах мазалі,
у мяне пералом шчок.
Мне плацяць заробак прадукцыяй,
якую я вырабляю.
І я шчаслівая тым, што маю.

Fabryka Łez

I znów w podsumowaniu roku
najwyższe wskaźniki
osiągnęła Fabryka Łez.

Kiedy Ministerstwo Transportu zdzierało
obcasy,
kiedy Ministerstwo Spraw Serdecznych
miotło się historycznie,
Fabryka Łez pracowała po nocach,
nawet w święta
bijąc rekordy produkcji.

W czasie gdy Stacja Przetwarzania
Żywności
przeżywała kolejną katastrofę,
Fabryka Łez osiągnęła ekonomiczną
rentowność,
przetwarzając odpadki przeszłości -
przede wszystkim osobiste wspomnienia.

Fotografie robotników roku
uroczyście umieszczono na Ścianie Płaczu.

Jestem – inwalidą pracy Fabryki-bohatera
Łez.

Na oczach mam odciski,
mam połamane szczęki.
Płacą mi w naturze, tym, co produkuję.
I jestem szczęśliwa z tego, co mam.

Walżyna Mort (ur. w 1981 r. w Mińsku) – poetka i tłumaczka. Absolwentka Państwowego Białoruskiego Uniwersytetu Lingwistycznego. Stypendystka Gaude Polonia (2005), tłumaczka wierszy Rafała Wojaczka i Leonarda Cohena. Debiutowała tomikiem *Я тоненькая як твае вейку* (*Jestem cienka jak twoje rzęsy*) w 2006 r. Od 2006 r. mieszka w Baltimore (USA), pisze także po angielsku. W 2008 r. wydała dwujęzyczny zbiór *Фабрыка слёз / Factory of Tears (Fabryka łez)*, w 2011 r. anglojęzyczne *Collected Body (Ciało zebrane)*, a w 2017 r. w Mińsku tomik *Эпідэмія пужаў (Epidemia róż)*, na który złożyły się jej dawne i nowe wiersze.

Hanna Komar

WIERSTY

przełożył Bohdan Zadura

Зачынена

Зачынена
знутры!

Зачынена
знутры!!

Зачынена
знутры!!!

Можаш
грукацца
грамчэй.

Можаш
ламаць
дзверы.

Можаш
да світанку
стаяць
пад вокнамі.

Але...

Зачынена
знутры,

І там
нікога.

Zamknięte

Zamknięte
od środka!

Zamknięte
od środka!

Zamknięte
od środka!

Możesz
stukać
głośniej.

Możesz
wyłamywać
drzwi.

Możesz
do rana
stać
pod oknami.

Ale...

zamknięte
od środka,

i tam
nikogo
nie ma.

21 lutego 2016

Neoceratodus forsteri

У Афрыцы жыве рыба –
назваецца рагазуб; яна
можа гадамі трываць без вады
і ежы. Калі іх няма,
яе арганізм
запавольвае ўсе працэсы,
і рагазуб
абрынаецца ў сон і спіць,
пакуль побач не
з’явіцца прэсная вада.

Сёння поўня – на моры адліў.
Я рагазуб, які ляжыць
тут, на гэтым беразе, што яшчэ
нядаўна быў марскім дном.
Я выпінаю вочы і зіркаю
ў неба, пакуль не прымаю
ўсім сваім схаладнелым целам,
што вада сышла.

Калі б ты быў уважлівым,
то зразумеў бы адразу,
што рагазуб не жыве ў моры.
А значыцца,
я дарэмна чакаю...
я
дарэмна
чакаю
прыліву.

Neoceratodus forsteri

W Afryce żyje ryba –
nazywa się rogoząb;
może latami trwać bez wody
i jedzenia. Kiedy ich brak
jej organizm
spowalnia wszystkie procesy
i rogoząb
zapada w sen i śpi,
dopóki znowu nie
pojawi się świeża woda.

Dzisiaj pełnia – na morzu odpływ.
Jestem rogoząbem, który leży
tu, na tym brzegu, gdzie jeszcze niedawno
było morskie dno.
Wytężam oczy i zerkam
na niebo, póki nie poczuję
całym swoim wyziębionym ciałem,
że woda odpłynęła.

Gdybyś był uważniejszy,
zrozumiałbyś od razu,
że rogoząb nie żyje w morzu.
A to znaczy,
na próżno czekam...
na
próżno
czekam
na przyptyw.

24 lutego 2016

Мой дзень народзінаў

1.

Цікава, калі перастаць адзначаць
дзень народзінаў,
ці перастанем мы старэць?
Можа быць, мы запускаем
працэс старэння,
калі пачынаем лічыць гады?
А так толькі прадавачка ў адзеле
алкаголю і цыгарэт
будзе ведаць, што табе
больш за васьмнаццаць.

2.

Чаму б на дзень народзінаў
замест таго, каб ушаноўваць сябе,
не ўшанаваць памерлых?
Наведаць месцы
памяці альбо могілкі.
Memento mori –
і пра мёртвых помні
таксама. Бо сумнеўна, ці
такі ён твой – гэты твой голас.

3.

Альбо проста паехаць туды,
дзе цябе не ведаюць
ні каты, ні птушкі, ні
людзі. Забурыцца ў бар,
заціраць тутэйшым, што сёння
79-ы дзень года.
У гэты дзень
памёр Уладзімір Дубоўка,
нарадзіўся Майсей Кульбак,
сёння
Міжнародны дзень шчасця,
Імяніны Ганны – і больш
Про сябе а ні слова.

Moje urodziny

1.

Ciekawe, czy kiedy przestaniemy obchodzić
urodziny,
przestaniemy się starzeć?
Być może uruchamiamy
proces starzenia,
kiedy zaczynamy liczyć lata?
A tak tylko ekspedientka w dziale
z alkoholem i papierosami
będzie wiedziała, że masz więcej
niż osiemnaście lat.

2.

Czemu by w dzień urodzin
zamiast świętować siebie,
nie uczcić zmarłych?
Odwiedzić miejsca
pamięci albo groby.
Memento mori –
i pamiętaj tak samo
o zmarłych. Bo wątpliwe, czy
taki jest twój – ten twój głos.

3

Albo po prostu pojechać tam,
gdzie ciebie nie znają
ani koty, ani ptaki, ani
ludzie. Usiąść w barze,
nawijać tutejszym, że dzisiaj
jest 79 dzień roku.
Tego dnia
umarł Uładzimir Dubowka,
urodził się Moisiej Kulbak,
dzisiaj
jest Międzynarodowy Dzień Szczęścia,
imieniny Hanny – i więcej
o sobie ani słowa.

20 marca 2016

Пераезды

Частыя пераезды нішчаць памяць:
 успаміны робяцца цяжарам,
 таму ад іх пазбаўляешся.
 Знаходзіш жанчыну, якая
 збірае хлам, і аддаеш ёй
 свае сувеніры, а наўзамен
 нават атрымліваеш шакаладку.
 Фотаздымкі – бацькам,
 Яны вынаходзяць на іх цябе –
 Незнаёмую, нечаканую.
 Не прывозіш магніцікі з падарожжаў –
 маці злуецца, бо яны
 замянаюць ёй мыць халадзільнік.
 Не забыцца аддаць у дабрачыную краму
 Сукенку са школьнага выпускнога.
 Пакідаеш толькі сумку з посудам,
 Сумку з абуткам (пераважна
 без абсцасаў)
 І адзенне – па дзве пары ўсяго, на змену.

Ты казаў, пасля 17-го пераезду
 ўжо не страшна.
 Не страшна пасля 14-га.
 Да ўсяго прывыкаеш,
 Бо, па сутнасці, змяняецца толькі
 Адлегласць да метро,
 колер дамоў, на якія глядзяць вокны,
 колькасць пакояў,
 аб'ём асабістай прасторы,
 кубачкі для наведнікаў
 І самі наведнікі.
 Пастаянна гасціць толькі туга.
 І адказваючы «дома» на пытанне
 «дзе ты?»,
 Я сама ўсё менш даю сабе веры.

Przeprowadzki

Częste przeprowadzki niszczą pamięć:
 wspomnienia stają się ciężarem,
 dlatego się ich pozbywasz.
 Znajdujesz kobietę, która
 zbiera rupiecie i oddajesz jej
 swoje pamiątki, a w zamian
 nawet dostajesz czekoladkę.
 Zdjęcia dajesz rodzicom,
 wyszukują sobie na nich ciebie –
 nieznaną, nieoczekiwaną.
 Nie przywozisz z podróży magnesów –
 matka się złości, że one
 przeszkadzają jej myć lodówkę.
 Nie zapomnij oddać na aukcję charytatywną
 sukienki z balu maturalnego,
 Zostawiasz tylko torbę z naczyniami,
 torbę z butami (przeważnie bez obcasów)
 i ubranie – po dwie pary wszystkiego,
 na zmianę.

Mówiłeś, po siedemnastej przeprowadzce
 to już nic strasznego.
 Nic strasznego po czternastej.
 Do wszystkiego się przyzwyczajasz,
 bo, w istocie, zmienia się tylko
 odległość do metra,
 rodzaj sklepów w pobliżu,
 kolor domów, na które wychodzą okna,
 liczba pokoiów,
 wielkość osobistej przestrzeni,
 kubeczki dla gości
 i sami goście.
 Stale gości tylko smutek.
 I odpowiadając na pytanie, gdzie jesteś,
 „w domu”,
 sama coraz mniej w to wierzysz.

marzec 2016

Hanna Komar (ur. w 1989 r. w Baranowiczach) – białoruska poetka i tłumaczka. Z wykształcenia lingwistka. Autorka tomu wierszy *Спрах вышыні* (2016, *Lęk wysokości*). Tytułowy wiersz przyniósł jej nagrodę za najlepszy utwór kobiecy na Open Eurasian Literature Festival & Book Forum – 2017 r. w Sztokholmie. Tłumaczka wierszy Charlesa Bukowskiego, za przekład których otrzymała nagrodę „Debiut” białoruskiego PENClubu (2018). W 2018 r. w Wielkiej Brytanii wyszedł jej tomik *Recycled*. Mieszka w Mińsku.



Ida Łubińska, „Tryptyk jurajski 1”

Bogdan Knop

PIĘTRO NIŻEJ, PIĘTRO WYŻEJ

Czas nie grał roli. Zatopiony w myślach utknąłem w rozkroku między tym co było, a tym co będzie. Wspominałem czy przepowiadałem? Gawędziarzem byłem czy profetą? Zdarzyło się to, czy mogło się zdarzyć zaledwie? A może zdarzy się dopiero?

Któregoś dnia w naszej knajpie rozmowa przy piwie zeszła na wysoce abstrakcyjne tematy. Rozważania były nie byle jakie: czy istnieje Bóg, a właściwie czy istnieje świat, a jeśli istnieje, to czy coś (albo ktoś) nim kieruje? Czym jest przeznaczenie i czy jest? A nawet – czy w ogóle cokolwiek jest, a jeśli jest, to dlaczego bardziej jest, niż go nie ma? I takie tam podobne, jak to przy piwie z braku lepszych pomysłów.

Godzina była mocno popołudniowa, rozleniwienie i brak trosk zwykle sprzyjają dyskusji o sprawach nie nazbyt życiowych, za to trudnych do zakończenia. Podobnie jak to bywa z gadaniem o piłce nożnej, bo z kolei już niekończące się męskie rozmowy o kobietach mają zupełnie inny charakter i właściwie nie nadają się do przytoczenia.

Uporczywe picie piwa, w zamyśle mające odgradzić nas od świata, urosło w naszej kompanii do rangi rytuału, by nie rzec – przyzwyczajenia; oby nie nałogu. Jak zwykle zasiedliśmy we trzech, w tym właśnie dniu tygodnia, choć przecież bywało, że zasiadaliśmy we czterech i zupełnie innego dnia. Była to wciąż ta sama knajpa, choć czasami wybieramy inną. Żadna z nich nie nazywała się „Rzym” – może szkoda.

Wieczorne miasto ze swymi urokami bywa pociągające, zaś męskie relacje, jak zwykle, podminowane są duchem rywalizacji i chęcią imponowania. A za wszystkim tym, gdzieś w cieniu, kryją się sprawy mniej oficjalne, troski niegodne wypowiedzenia, zmartwienia nieco wstydlive. Każdemu coś tam dolega albo go uwiera. Bo czymże, jak nie ekspiacją, jest maskowanie drobnych urazów i codziennych trosk, buńczucznym hasłem lub przewymiarowaną ideą? Może ukłonem, który megalomania składa codzienności albo namalowaną wieczorem miną, odbitą w szybie? Bo, żeby bólem istnienia, to raczej wątpię.

No więc właśnie, gdzieś po drugiej kolejce pilznera, jakoś tak à propos powiedzianego, ktoś siedzący po lewej rzucił dość ospale:

– Taak, ale czy na przykład jest coś piętro niżej? – po czym przeciągnął się na krześle leniwie, zakładając splecione ręce za głowę.

Były, czy nie, powody, by wątpić w czystość intencji pytającego, w każdym razie zapadła nieprzyjemna cisza. Nie wiem, kto co tam myślał sobie, które piętra przesuwali się komu w głowie, jakie demony zbudziła ta metafora i czyj rozum spał. Albowiem nie intencje mnie obchodziły, gdy wpatrywałem się w przezroczystość szklanicy, w czysty bursztyn pilznera, w tę naszą bursztynową codzienność. „Tymczasem – powtarzałem w myślach – tymczasem, i nic tylko tymczasem”.

Zaś samo pytanie od razu wydało mi się nadzwyczaj istotne i aktualne, bo już od jakiegoś czasu miałem wrażenie, że piętro niżej coś najwyraźniej się dzieje.

Jakieś trzaski, stuki, niewyraźne głosy dochodziły mnie z dołu o różnych porach. Niby mieszkalem na parterze, ale jednak musiało istnieć jakieś piętro niżej, bo inaczej skąd te wszystkie szумы, szmery i ciągi? Początkowo nie przykładałem do tego wielkiej wagi, ale z czasem począłem dociekać źródeł natarczywych odgłosów. Zastanawiałem się również nad ich znaczeniem.

Mieszkałem w niewielkim domku. Parterowym, z poddaszem, ale przecież – bez piwnic! Teren tu podmokły, gliniasty, więc piwnice byłyby nie na miejscu. Nic dziwnego zatem, że w pozycji leżącej, ze wzrokiem wbitym w sufit, badania rozpocząłem od rozważań, a rozważania od badań, których sumarycznym efektem była trywialna skądinąd konstatacja, że nie istnieje żadne przejście z mojego mieszkania do kondygnacji piętro niżej. Z kolei, dokonując na wszelki wypadek półsekretnego obchodu całej posesji, stwierdziłem, że i od zewnątrz nic nie wskazuje na istnienie zejścia. Nawet się nie zdziwiłem, tylko zwrot obcy zakolał mi w uszach i zacząłem się obawiać, by rzecz cała nie sprowadziła się do języka, jak to już wielokrotnie się zdarzało. W szczególności, gdy jakieś niewinne zdanie wypiętrzy się, rozcapierzy, a potem straszy jako jakieś mroczne „piętro niżej” lub inne powiązania. Jakby tam nie było, o ile na własne oczy mogłem się przekonać, że nic nie widać, o tyle na własne uszy słyszałem to, co słyszałem, a słowo pisane wiodło mnie na manowce.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że kwestia zmysłowego postrzegania przez nas świata jest delikatna jak brzytwa; co prawda raczej nie ulega wątpliwości, że jakiś świat istnieje, ale zdaje się też pewne, że nie możemy o nim nic więcej powiedzieć, niż pozwalają nam nasze zmysły. A te bywają zawodne! Wcześniejsze studia grubego dzieła Schopenhauera *Świat jako wola i wyobrażenie* (w dwóch tomach) już dawno utwierdziły w owej niepewności. Mogło być przecież tak, że szukając piętra niżej, wcale nie wdrapywałem się i nie wychodziłem poza krąg własnych myśli. Stąd już tylko krok do przypuszczenia, że zachodziła jeszcze inna ewentualność – mogłem zwariować! Każdemu może się przecież zdarzyć odpłynąć w nieznane głębie szaleństwa. Raczej nie przydarza się to jednak rozważającym możliwość zwariowania. Prawdziwi wariaci są zawsze całkiem pewni swej normalności, choć kto wie – może czasem się domyślają tego i owego. Więc nawet jeśli oszalałem, nie mogłem mieć pewności, że był to tylko obłąd.

Kwestia obłąkania, zrekapitułowałem, jest równie subiektywna jak kwestia poznania. Pozostają one w bliżej nieokreślonym związku, najlepiej zobrazowanym przez słowa poety, którego istnienie nie jest pewne, choć pewność jego rozumu jest niepodważalna. „Życie jest snem wariata, śnionym nieprzytomnie”. Jednak nie o tego poetę mi chodziło.

Bo wreszcie dnia pewnego, a było to już grubo po połowie mojego życia, gdy zmylił szlak, straciwszy z oczu drogę w ciemnym lesie, stanąłem u wrót piętra niżej. Stanąłem – to może za mocno powiedziane, zjawiłem się – już bardziej. Okolica była nieokreślona, ale znajoma przecież. Panował mrok rozjaśniany odległą lampą i jeszcze odleglejszym księżycem. Zatem, niech będzie, że stanąłem przed drzwiami prowadzącymi w dół, a droga w górę była mi niedostępna. Oddychałem ciężko niczym po długiej wspinaczce wiodącej pod Górkę moją zmudną. Gdzieś w pobliżu przebiegł stwór podobny do pantery, lwa albo wilka, kładący się ponurym cieniem w zwielokrotnionym mroku, choć najpewniej był to zwykły kundel, jak ja zabłąkany w lesie nieodpartych pragnień. Tchu pozbawiony, łaknąłem przewodnika w tej podróży do kresu nocy, lecz za przewodnika mi dano jedynie echo dni minionych, jak śmiech w ciemności rozpostarte.

Wtedy zobaczyłem siebie, choć może i nie siebie, rozmnożonego, odmienionego przez przypadki, przez grzechy główne i wszystkie przykazania wiar wszelkich i wyznań. Mogłem wędrować wzdłuż tego co możliwe: w przód, w bok i do tyłu. Czas, zamiast mnie prowadzić, otwierał się przede mną niczym bezmiar pustki. Widziałem to, co było, co mogło być i co będzie, choć to ostatnie nie bezwarunkowo. Korowód mych wcieleń poruszał się w kolejnych kręgach, a w każdym z nich byłem kimś innym, choć ciągle byłem sobą. I wszelką nadzieję porzuciłem, zstępując w dół, a jakby w inną przeszłość.

W pierwszym kręgu byłem cichym, nierzucającym się w oczy urzędnikiem, twórcą makulatury kancelaryjnej i wszechmocnym dzierżcą ludzkich zamiarów. Materialnie posiadałem niewiele, ale nie miałem też zmartwień.

W kręgu drugim mocno wiało, panowały nieustanne przeciągi i wiecznie niepozamykane drzwi. Wkradłem się do działów literatury pornograficznej. Składałem wyuzdane obrazy z nic niepodejrzewających słów.

W trzecim kręgu uchodziłem za zdrajcę. Zdradzałem sekrety, jak widma wiszące na ścianach i przysłuchiwałem się, jak tętni życie.

Czwarty krąg wsparty był na zawodzeniu. Nie tyle nawet ktoś tam zawodził, ile zawodził się. A owo „się” skakało do oczu i spać nie dawało.

Żłodzijski fach podpierał piąty krąg, gdzie kradzież kradła kradzione, a wkraść się znaczyło krakać w kracie na krawacie.

Krąg szósty, siódmy, aż do dziewiątego i to, co zaszło potem, okrywa tajemnica. I niech tak już zostanie, choć mógłbym o tym długo opowiadać.

Podobnie jak okoliczności powrotu, który był ni to przebudzeniem, ni to wytrzeźwieniem.

Oczywiście o wszystkim tym nie zająknąłem się ani podczas naszych wieczorów przy piwie i filozofii, ani w żadnych innych okolicznościach. A że od tamtego czasu prześladowała mnie czysta myśl i czysta sztuka, wciąż wpatrywałem się w czysty bursztyn pilznera zamknięty w przezroczystości szklanicy. To zaś przygnębiało mnie i przerażało. Zatem by nie zwariować, w akcie czystej rozpaczy wspiałem się myślą stopień wyżej i z tych wysokości wywołałem niespodziewanie nowy temat:

– Przecież piętro niżej to czyste szaleństwo, piętro niżej niczego nie ma, a choćby i było, to i tak nie wiadomo co i jak – popatrzyłem od niechcenia wkoło siebie – co innego, gdyby spytać o piętro wyżej!

– Jak to, wyżej? – wrzasnął mój bliższy sąsiad po lewej, bo po prawej miałem tylko ścianę – co to za głupota – piętro wyżej! W ogóle nie będę na ten temat rozmawiał – i umilkł.

– Piętro wyżej – łagodnie wtrącił się mój dalszy sąsiad po lewej – nie musi być metaforą, może być czymś tak realnym jak to, że siedzimy na parterze...

– Na parterze – przerwałem mu – siedzi się tylko po polsku, w każdym innym języku siedzi się piętro wyżej.

– W każdym? – skrzywił się przedmówca – przesada.

Nie chciało mi się już rozwodzić na temat całej tej historii z piętrem wyżej. Po co wspominać o tych przepustkach na każdej kolejnej kondygnacji, automatycznie blokowanych drzwiach gdzieś tam wyżej i wyżej, o tkwiącym przy nich konsjerżu odprowadzającym petentów do wskazanych pokoi, o piętach i pokojach, gdzie już żadna przepustka nie była ważna.

A drzwi tych pokoi otwierały drzwi do całego świata czy choćby półświatka. I tam była nasza przyszłość, i postęp, i nadzieja.

A nie jakieś tam stare ramoty po remoncie. Jakieś komedie. I cały ten ból istnienia prześwitujący przez dno szklanicy, choć jakby zatopiony w bursztynie.

Od niepamiętnych czasów. W nieokreślonej przyszłość. Z żarliwym dziś, w które tak trudno uwierzyć.

(od stycznia 2016 do sierpnia 2020 r.)

Andrzej Piechocki

KONTRABAS

Zenek Struś lubił patrzeć na salę tuż przed rozpoczęciem dancingu. Wsparty o swój kontrabas obserwował, jak kobiety i mężczyźni w różnym wieku zajmowali swoje miejsca przy stolikach nakrytych białymi obrusami. Chwilami zastanawiał się nad nimi. Znał ten typ ludzi. W jakiś sposób byli mu bliscy. Rozpoznawał swoich, bo sam urodził się i wychował w „barakach” na Konstantynowie w Sosnowcu. Dostrzegał ten szorstki urok obywateli pracowitych, w szarości schludnych, odprasowanych, którzy przekraczając próg lokalu z muzyką do tańca, wstępowali w podniecające rewiry. Było to tak odmienne od ich codzienności, że musiało być piękne. Zenek wiedział, co czują i czego pragną te twarze i te sylwetki. Miał swoją teorię: do roboty sprytni, w uczuciach chciwi.

Poza tym... doskonale rozumiał: człowiek na wczasach albo w sanatorium, oderwawszy się od maszyny, od łopaty, od kilofu, poza kopalnią, za bramą fabryki, pragnie pobyć w eleganckim świecie, dotknąć luksusu, łyknąć swobody, być wreszcie Panem – w znaczeniu: bogatym mieszcuchem.

W zaspokajaniu tych szczególnych potrzeb jego kwintet miał swoje pięć groszy. Występowali od lat w tym samym składzie: Romek Dyja na perkusji, w srebrny saksofon tenorowy dmuchał Mazur, za pianinem siedział Tomek Smoliński, śpiew i konferansjerka należały do korpulentnej Lidki, a on, Zenek Struś, szarpał struny pięknego czeskiego kontrabas.

Liczyli się w rankingu gastronomicznych zespołów całego Podbeskidzia.

Byli znani od Istebnej aż do Goczałkowic.

Doskonale wyczuwali gusta ludzi chodzących na dancingi. W repertuarze mieli swoje wersje znanych z radia piosenek, czasami wrzucali fokstrot albo jakiś lekki walczyk.

Rytm szedł od basu i perkusji. Te dwa instrumenty były pulsującym sercem kapeli, tworzyły też kręgosłup każdego utworu, na który nakładano melodię oraz pojedyncze akordy. Zenek był uczuciowo związany ze swoim kontrabasem. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności stał się właścicielem wysmukłego Strunal-Schönbacha ze słynnej czeskiej manufaktury z miasteczka Luby. Trafił mu się prawdziwy rarytas: piękna główka gryfu, płyta przednia ze świerku, z sudeckiego klonu – płyta tylna, wszędzie lite drewno, w dodatku naturalny kolor. Okaz sztuki lutniczej! Traktował ten instrument zmysłowo, jak piękną, dojrzałą, rozłożystą kobietę, której obfite kształty można czule objąć. Grając w technice *slaping*, sprawiał wrażenie, że palce jego dłoni przesuwające się po strunach na gryfie bez progów, zamiast wybierać odpowiednie dźwięki, szukają mitycznego punktu „G”.

W światku klezmerów Zenek Struś miał opinię świetnego basisty.

Kwintet funkcjonował według planu: trzy kawałki do tańca – piętnaście minut przerwy – trzy kawałki do tańca... i tak dalej. Oficjalnie kończyli swój występ o dziesiątej wieczorem. Później ogłaszali tak zwany koncert życzeń, czyli granie wybranych utworów za ekstra gratyfikację. Jeżeli trafiali się chętni, to mieli z tego największe obrywy. Zawsze, dwa razy w ciągu wieczora, w trakcie przerw, Zenek odstawiał swój kontrabas, schodził z podium dla orkiestry i siedł do baru. Tam wychylał jedną pięćdziesiątkę czystej wódki w zestawie z rolmopsem lub małym śledzikiem, potem dostojnie powracał na swoje muzyczne stanowisko.

Występowali najczęściej w miejscowościach wczasowych, często tam, gdzie były sanatoria, tak że z frekwencją na parkiecie nie było żadnego problemu. Grając patrzyli na po-

drygujące przed nimi pary. Czasami w dancingowym tłumie można było wypatrzeć jakiś kolorowy okaz tanecznego bażanta albo pawia, osobę wyróżniającą się strojem, sylwetką, wyrafinowanym sposobem bycia, luzem charakteryzującym tych, którzy sięgnęli po sukces.

Zenek Struś kogoś takiego, prawdziwie barwną postać, poznał pewnego majowego wieczora w barze domu wczasowego „Przodownik” w Szczyrku, gdzie w 1968 roku przez kilka miesięcy grali do tańca.

– Zygmunt z Bostonu – tak się przedstawił szpakowaty *bel ami*, postawny mężczyzna po czterdziestce, ubrany w niebieską dwurzędówkę ze złotymi guzikami. Poklepując Zenka po ramieniu, pochwalił ich kwintet za wysokie umiejętności muzyczne.

Później elegancki pan Zygmunt brylował na parkiecie. Tańczył doskonale, miękko, z klasą. Rytmicznie obracał i przytulał wysoką wytapirowaną blondynką w obcisłej srebrnej sukience.

Tego wieczora dancing toczył się normalnym trybem. O godzinie dwudziestej drugiej Lidzia, wokalistka Lidka, puściła przez mikrofon sprawdzoną formułkę:

– Dziękujemy państwu za spędzony wieczór. Nasz występ dobiegł końca – potem z uśmiechem, dużo mocniej – a teraz!... A teraz wszystkich miłośników tańca i piosenki zapraszamy do koncertu życzeń!

Zaraz po tym obwieszczeniu przed podium dla zespołu pojawił się świeżo poznany gość z Bostonu. Zamawiając piosenkę pod tytułem „Takie ładne oczy”, wyciągnął z kieszonki marynarki duży, wiśniowo-czerwony stużłotowy banknot z głową robotnika na awersie i dymiącymi kominami fabryki na rewersie. Najpierw rozpostarł go w górze dla publicznego oglądu, potem szybko z tego cennego papieru zrobił niewielką prostokątną kosteczkę, którą wsunął przez jeden z dwóch otworów w kształcie stylizowanej litery „f” we wnętrze kontrabas Zenka. Po wykonaniu tych czynności uniżenie skłonił głowę i wrócił do stolika, gdzie oczekiwała na niego blondynka w srebrnej sukience.

W ciągu następnych trzech godzin pan Zygmunt obstał jeszcze kilkanaście utworów. Za każdym razem, zamawiając kolejną melodię, podchodził do Zenka i wrzucał w trzewia instrumentu marki Strunal-Schönbach wcześniej przygotowany czerwony cenny zwitek. Czynił to z wdziękiem.

W tak sponsorowanym koncercie życzeń kwintet zagrał:

- „Takie ładne oczy” – 2 razy,
- „Po ten kwiat czerwony” – 3 razy,
- „Goniąc kormorany” – 1 raz,
- „Jest bałałajka” – 1 raz,
- „Zakochani są wśród nas” – 1 raz,
- „Biedroneczki są w kropeczki” – 1 raz,
- „Tak bardzo się starałem” – 2 razy,
- „Puste koperty” – 1 raz,
- „Nigdy więcej” – 1 raz.

W trakcie wykonywania ostatniej z zamówionych piosenek szczodry przybysz z Bostonu wraz ze swoją towarzyszką zaczęli opuszczać lokal. Na odchodne pomachali serdecznie całemu zespołowi, a zwłaszcza Zenkowi.

Po dancingu członkowie kwintetu, zgodnie, pomimo zmęczenia postanowili sprawdzić stan utargu. Mieli z tym duży problem. Cenne zwitki nie chciały opuścić pudła rezonansowego. Namęczyli się z tym co niemiara. Zenek musiał delikatnie zdjąć metalowe struny. Saksofonista Mazur wraz z Ryśkiem Dyją unieśli instrument i obrócili go płytą przednią do dołu. Zaczęli potrząsać kontrabasem. Wreszcie jego wnętrze zostało opróżnione.

Po zrobieniu porządku, wyprostowaniu wszystkiego, co wypadło, doliczyli się jednego banknotu stużłotowego i szesnastu dość równych, czerwonych kawałków papieru powstałych z podarcia plakatu pierwszomajowego.

Po tym wydarzeniu Zenek przypomniał sobie gdzieś zasłyszaną maksymę, że zaufanie jest dobre, ale kontrola lepsza.



Katarzyna Czerniejewska, „Tryptyk jurajski 2”

Jakub Bartoński

MIĘDZYCZAS

Tęgawa kobieta usiadła na betonowym brzuchu jednej z lamp wbitych we wrocławski rynek. W lewej ręce trzymała tamburyn, w prawej natomiast okropnie wymiętą kartkę. Słońce płonęło nad panoramą miasta; było poniedziałkowe południe.

Kobieta wzięła głęboki wdech i pomyślała o czymś wzniosłym. Przed momentem, kilka metrów przed sobą, położyła na bruku kubek na ewentualne datki.

Upał pokazywał właśnie swoje najgorsze oblicze – smagał jęzorem słońca wszystkie cztery pierzeje rynku oraz garstkę turystów i mieszkańców, którzy w pośpiechu pędzili do swoich poniedziałkowych obowiązków. Biała kula zawisała na niebie dokładnie nad trzynastowiecznym ratuszem. W takich chwilach nikt nie lubi wrocławskiej spiekoty. Ani kelnerzy, którzy z dozą niepokoju omiatają wzrokiem wszystkie stoliki, czy aby który klient nie chce już płacić bądź domówić kolejny kufel piwa. Ani elegancko ubrani doradcy, prawnicy, urzędnicy miejscy czy dziennikarze, którzy szybkim krokiem przemierzają wybrukowany rynek i dbają tylko o to, żeby im się kroki nie pomyliły. Młodzi meleksiarze zwinnym i leniwym krokiem spacerują to tu, to tam i zapraszają na przejażdżkę po mieście. A turyści? Owszem, cieszą się, że nie pada, ale przecież już są cali spoceni, a wszystko tu takie drogie i śmieszne.

Tęgawa kobieta rozłożyła się na jednej z niskich lamp, ale nie zrobiła tego z jakimś dużym przekonaniem. Przecież poniedziałkowe południe to jeden z najgorszych momentów na ewentualny koncert, na tę nieśmiałą chęć przebicia wielkiej bańki strachu.

Ratuszowy dzwon głośno wywołał godzinę dwunastą.

Siedziałem na jednej z ławek, akurat naprzeciwko kobiety. Przed chwilą rozmawiałem przez telefon i patrzyłem na niezapaskudzone niczym niebo. Kiedy ją dojrzałem, byłem ciekawy – co dalej? Wbiłem w nią wzrok i czekałem. Na rynku było mało osób, a ja zastanawiałem się, co też ją podkusiło, żeby koncertować akurat w poniedziałek. Chciałem do kogoś zadzwonić, żeby zrelacjonować mu to, co widzę. Nie wyciągnąłem jednak telefonu w porę i pomyśl uleciał. Czułem wokół siebie coś, czego nie potrafiłem opisać.

Tęgawa kobieta przyjęła swoją pozycję; dwa razy uderzyła tamburynem o udo. Słaby dźwięk instrumentu rozplynał się w rynkowym szumie. Woda pobliskiej fontanny na moment przerwała swój taniec; lecący gołąb zahaczył skrzydłem jakiegoś przechodnia; jakiś pijak potknął się o niewidzialną przeszkodę i runął z impetem na bruk; a jeden Cygan krzyknął głośno: Moree! Wszystko to wyglądało tak, jakby się już wydarzyło. Jakbym tego nie widział w tej chwili.

Spojrzałem w bok i zauważyłem starszego, eleganckiego mężczyznę w cylindrze. Mężczyzna równym, dystyngowanym krokiem przecinał zachodnią stronę rynku. Odkąd go tylko zobaczyłem, wiedziałem już naturalnie, że on się do mnie przysiadzie. Takie rzeczy się po prostu czuje. Patrzyłem na jego pompatyczny krok aż do momentu, w którym, nie pytając, zajął wolne miejsce obok.

Wróciłem do obserwowania kobiety. Wiedziałem przecież, że mężczyzna też będzie ją obserwował; kątem oka zauważyłem, że dyskretnie odwrócił się w moją stronę, a później wbił wzrok tam gdzie ja.

Tęgawa kobieta nie mogła się zdecydować, kiedy zacząć. Co chwila spoglądała na swój telefon. Najwidoczniej chciała rozpocząć o jakiejś równej godzinie. Z ciekawości również

spojrzałem na zegarek (mój sąsiad też spojrzał w kierunku mojego lewego przedramienia). Była dwunasta jedenaście. Kobieta rozglądała się na boki i co chwilę pochylała się nieznacznie do przodu i do tyłu. Jej twarz była bardzo nieczytelna. Widać było, że zaraz jej się uda wystartować.

– To moja córeczka – odezwał się nagle mężczyzna w cylindrze.

– Pana córka? – zapytałem.

– Tak, to moja Klaudia.

Więc tęgawa kobieta bez uprzedzenia stała się Klaudią. Wnet zaczęła coś mówić. Z tej odległości nie mogłem jednak usłyszeć ani słowa. Widziałem ruch warg i pewien błysk tej mowy. Wyteżyłem się, żeby zrozumieć cokolwiek, żeby wyczytać coś z poruszających się ust. Pojedyncze słowa ulatywały mi jednak jak kule wystrzelone w płot.

– Co mówi pana córka? – zapytałem sąsiada z ławki.

– Niech pan patrzy i słucha.

– Boże, użyż mi pogody ducha, abym godziła się z tym, czego nie mogę zmienić – mówił głos, który musiał należeć do pana w cylindrze. – Odwagi, abym zmieniała to, co mogę zmienić; i mądrości, abym odróżniała jedno od drugiego.

Im dłużej jednak patrzyłem, im dłużej wyrazy modlitwy spadały na bruk rynku – coraz bardziej wydawało mi się, że to głos kobiety. Znaczą Klaudii, córki pana w cylindrze.

– Pozwól mi co dzień żyć tylko jednym dniem, i czerpać radość chwili, która trwa – mówiła już ona. – I w trudnych doświadczeniach losu ujrzeć drogę wiodącą do spokoju, i przyjąć – jak Ty to uczyniłeś – ten grzeszny świat takim, jakim on naprawdę jest, a nie takim, jak ja chciałabym go widzieć – słyszałem dokładnie jej delikatny głos. – I ufać, że jeśli posłusznie poddam się Twojej woli, to wszystko będzie jak należy. Tak, bym w życiu osiągnęła umiarkowane szczęście u Twego boku, na wieki posiadała szczęśliwość nieskończoną.

– Ona zawsze to mówi – powiedział mój sąsiad. – Trzy razy odmawia modlitwę. Od lat. A nigdy nie chodziła na spotkania anonimowych, mówię panu. To jej daje siłę...

Pan w cylindrze wskazał palcem w stronę córki.

– Zobacz pan... śpiewa – powiedział. – Nikt tego nie widzi, nikt się tym nie interesuje. A w niej wrze. Jej policzki płoną, jej głos jest kruchy i słaby, a ręka, w której trzyma tamburyn – cała spocona.

Klaudia rzeczywiście zaczęła śpiewać. Było to połączenie uderzającego o mięso tamburynu i krótkich, cichych słów, wycharkiwanych ku ogólnemu zadowoleniu. Wyglądało to żałośnie i pięknie zarazem. Przeskoczyło przeze mnie kilka luźnych myśli: „człowiek musi coś stworzyć w swoim życiu, inaczej to wszystko nie ma najmniejszego sensu”, „wygląda jakby lepiej”, „ciekawe, po co?”. Nagle uderzył mnie mocny podmuch gorącego powietrza i wyrwał z zamyślenia. Zapachniało letnim wieczorem.

Występ trwał jakieś piętnaście minut, aż wreszcie spadła głośnie jak cholera pauza. Kobieta przestała śpiewać. Rozejrzała się dookoła; tamburyn opadł na udo. To był pierwszy raz w trakcie występu, kiedy podniosła głowę. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na jej występ.

Jakiś przechodzący facet szturchnął czubkiem buta kubek na datki i poszedł dalej, nawet się nie odwracając.

Odwrociłem się w bok – pan w cylindrze gdzieś zniknął. Szukałem go przez chwilę wśród przechodniów, ale nie znalazłem. Postanowiłem poczekać chwilę. Obserwowałem, jak kobieta zabiera swoje klamoty. Tamburyn i kartkę wrzuciła do torby, a pusty kubek wyrzuciła do kosza. Ktoś krzyknął z prawej strony, więc automatycznie odwróciłem głowę. Nie widziałem jednak, kto do kogo krzyknął. Starałem się znaleźć jakąś machającą rękę albo coś w tym rodzaju, ale nic nie zauważyłem.

Gdzieś pomiędzy ludźmi, przy browarze Spiż, wyłonił się znowu pan w cylindrze. Szedł w moją stronę. Spojrzałem w miejsce, gdzie powinna być tęgawa kobieta, Klaudia, ale jej już nie było. Znikła? – zapytałem siebie.

Pan w cylindrze usiadł obok mnie.

– Gdzie pana córka? – zapytałem od razu.

– Słucham?

– Gdzie jest pana córka?

– Moja córka nie żyje, proszę pana.

– Przed chwilą...

Przerwał mi:

– Wypraszam sobie, młody panie! Pan jej nie mógł znać – spojrzał na mnie uważnie. – Ona zabiła się czterdzieści lat temu.

– Jak to... zabiła się?

Pan w cylindrze przysunął głowę i cicho powiedział:

– A pan nie zabiłby się? Nikt nie chciał żyć i nikomu nie pozwalali żyć. Nawet jakby się pan tu podpalił, to nikt nie mógłby tego zauważyć. Mało jest odważnych. Zabiłby się pan też, jak ona: po cichu, nie swoją ręką. Pan na pewno wskoczyłby do Odry i uderzył o drugie dno. I szlus!

Odszedł, cały czerwony; ja zostałem. Siedziałem na tej ławce przez kilka kolejnych godzin i założyłem sobie, że w tym czasie jeszcze kilka razy mignęła mi przed oczami pewna tęgawa kobieta i specyficzny pan w cylindrze.

Wracałem później do domu przez Wzgórze Partyzantów. Wieczór rzeczywiście był bardzo ciepły i bezwietrzny. Po całym mieście roznosił się ciężki zapach lipowych kwiatów.

(27.06.2016 – 23.04.2017)



Bogusława Grzywińska, „Tryptyk jurajski 2”

Paulina Wysocka-Morawiec

POMIĘDZY

Po śmierci czas płynie inaczej. Przemija szybciej, gdy tego chcesz i zwalnia, gdy zażadasz. To jedna z nielicznych zalet bycia martwym i chyba najbardziej przydatna. Pod warunkiem, że nad tym panujesz. Bycie niewidzialnym w wymiarze żywych też bywa użyteczne, ale znacznie częściej irytuje. Tak samo, jak brak jakiegokolwiek kontaktu z materią i wszechobecna szarość. Lecz wszystko to można znieść. Ze wszystkim się pogodzić i do wszystkiego przywyknąć. Nawet do przerażającej ciszy. Choć z nią często bywa najtrudniej. Bo człowiek jest przyzwyczajony do dźwięków. Towarzyszą mu w każdej sekundzie życia, począwszy od łona matki. Myślę, że większość martwych, którzy utknęli Pomiędzy, oddałaby wiele za głupie tykanie zegara czy szum drzew. Wiele, byleby tylko mieć coś, co choć trochę zagłuszy własne myśli.

Dusza nie umiera. Nigdy. Teraz to wiem. Gdy umarłem, stało się to dla mnie równie oczywiste, jak potrzeba oddychania za życia. Ona trafia do innego wymiaru. Nie mam pojęcia, co tam jest. Niebo, piekło, powrót do świata żywych pod inną postacią czy jeszcze coś innego. Ale światło, które się widzi, jest jasne i daje ciepło. Nie fizyczne. Duchowe. Po prostu wiesz, że w tej jasności czeka na ciebie coś dobrego. Ono jest i cię wabi. Przy najmniej ja je tak odbieram. Widuję je regularnie. Pojawia się co jakiś czas i kusi. Pieści mnie swoim blaskiem, ogrzewa, ale nie może mnie zmusić. To do mnie należy ruch. To mój wybór, więc nie robię nic. Ignoruję światło, trwam Pomiędzy i godzę się na swoje prywatne piekło.

Uważam, że to nie Bóg wymyślił ideę czyśćca. To dusze takie jak ja. Dusze pragnące odkupienia. Czyścić to właśnie kraina Pomiędzy. Miejsce, gdy już umarłeś, ale nie chcesz iść dalej, bo wiesz, że nie zasługujesz, bo nie chcesz zostawić rodziny, bo czujesz się winny, bo masz wrażenie, że jeszcze musisz coś zrobić. Miejsce, gdzie dusza błąka się bez celu, ogląda świat przez wygłuszającą szybę i myśli.

Myśli. W obecnej sytuacji przypominają samobiczowanie. Szamoczę się sam ze sobą, a żal i smutek rozszarpują mnie od środka. I ta samotność. Ona też jest karą. Człowiek jest stworzeniem stadnym, a w Pomiędzy zostaje zupełnie sam. Nikt go nie słyszy, nawet inne duchy. Zwykle mijamy się, nawet na siebie nie patrząc. Każdy pogrążony w swoich wspomnieniach albo zagapiony na świat zostawiony za sobą. Kiedyś próbowałem porozumieć się na migi z inną duszą. Kilka razy. Zwykle odpowiadała mi obojętność lub wrogość. Nikt nie szukał przyjaźni. Byliśmy tu, by się karać, by odkupić grzechy, a samotność jest najlepszym wyborem. Właściwie nie ma innego. Nie możemy się okaleczyć, nie możemy się zabić, nie możemy płakać ani krzyczeć. Nic.

Leżę, a raczej lewituję nad łóżkiem. Przyglądam się jej długim rzęsom i ciemnym włosom. Staram się przypomnieć sobie ich fakturę. Kiedyś uwielbiałem przeczesywać je palcami. Wiem, że były delikatne i ładnie pachniały. Czy nadal takie są? Zbliżam do nich dłoni i staram się powtórzyć dobrze znany gest. Nic nie czuję. Dłoń przenika przez nią, jakby to ona była duchem, a nie ja. Patrzę zatem na nią, czując się jak potępieniec, którym jestem. Wydłużam czas spędzony na obserwacji. Lubię, gdy jest spokojna i żałuję, że jest tak tylko wtedy, gdy śpi. Z nastaniem świtu w jej oczach dojrzę szarość, smutek i ból. Pamiętam, że jej oczy były niebieskie. Wiem to, choć nie potrafię sobie przypomnieć, jak wyglądał ten kolor. To smutne.

Za plecami czuję ciepło. Zaciskam powieki. Znowu. Pojawiło się, by mnie mamić. Obracam się i czuję mrowienie w nogach. Cała moja dusza rwie się w stronę tego światła. Przez chwilę kusi mnie, by się poddać. Wstaję i robię kilka kroków w tył. Nie należy mi się spokój. Nie po tym, co zrobiłem.

Czuję, że czas wraca do normy. Zdekoncentrowałem się i przestałem go pilnować. Wzdycham, a przynajmniej tak bym zrobił, gdybym nadal oddychał. Będę musiał przewinąć ten dzień. Nie mam siły znowu oglądać jej zmagania ze światem. Wiem, że powinienem, ale robiłem to już tyle razy, że ból stał się nie do zniesienia. Po roku potrzebowałem odpoczynku. Dlatego przez ostatnie kilka tygodni ograniczyłem się do leżenia obok niej na łóżku. Trochę pomogło, ale nie bardzo. Dalej myślę i rozpamiętuję. Jej łyzy, gdy się dowiedziała, pogrzeb, złość, smutek i depresję. Wszystko to wraca tak często, że właściwie nigdy mnie nie opuszcza.

Światło migocze. Chcę, żeby zgasło. Ale nie. Pojawia się w nim postać. Cholera. Nie mam teraz ochoty na dyskusję.

Jasność kurczy się i znika. Dopiero wtedy widać coś ponad zarys sylwetki. Wygląda jak zawsze. Przystojny, w białym uniformie, o lekko błyszczącej skórze. Wydaje się, że świeci na tle wszechobecnej szarości.

– Daj mi spokój – formułuję myśl i odwracam się w stronę Julii.

Nie patrzę na niego. Nie chcę go tutaj.

– Musisz przestać.

Drzę. Jego głos dudni w mojej głowie. Jest jedynym, co mogę usłyszeć w tym miejscu. Za każdym razem wyzwala we mnie tęsknotę za tym i resztą zmysłów, których mnie pozbawiono. Chciałbym go znienawidzić, ale jest taki jedwabisty, przyjemny jak powiew letniego wiatru. Jak to jest czuć na skórze wiatr?

– Szkoda twojego czasu – burczę i wgapiam się w jej spokojną twarz.

– Chodź ze mną. To nie jest miejsce dla ciebie.

Oczywiście, że to miejsce dla mnie. Pomiędzy. Moja kara. Jedyne sposoby, by nadal z nią być.

– Jesteś tutaj zupełnie bezużyteczny. Nic nie możesz zrobić. Nie dla niej.

– Odejdź.

– To był wypadek.

Drzę i gromię go wzrokiem. Mam dość.

– Odejdź!

Stoi niewzruszony. Mam ochotę rzucić się na niego z pięściami, ale boję się, że przez niego przeniknę.

– Nie chciałeś tego.

– Ale zrobiłem. To moja wina!

– Tylko ty tak uważasz. Nawet ona stara się zacząć od nowa. Walczy, a ty się poddałeś.

Co?

Przepiękna brew jaśniejącego mężczyzny nieznacznie podjeżdża do góry.

– Nie wiesz – stwierdza. – W takim razie sprawdź. – Pstryka palcami. Obok niego pojawia się światło. Takie piękne... – Ona już się z tym uporała. Wybaczyła ci, ale to nic nie znaczy. To ty musisz sobie wybaczyć. Tylko tyle dzieli twoją duszę od spokoju.

Zniknął, zabierając ze sobą całe ciepło i jasność.

Kładę się obok niej i śledzę spokojne ruchy klatki piersiowej. Wyobrażam sobie bicie jej serca. Chciałbym je usłyszeć. Zawsze lubiłem ten dźwięk.

Nigdy nie uważałem się za złego człowieka. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem, a przynajmniej nie z premedytacją. W kontaktach z ludźmi starałem się być uczciwy. Nikomu nie życzyłem źle. Nawet jeśli ktoś mnie zranił.

Spoglądając wstecz, z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że moje życie było dobre. Spokojne dzieciństwo w kochającej rodzinie, przyjaciele, udane życie uczuciowe, godna praca i kochająca żona. Wszystko przychodziło mi łatwo. Powinienem się domyślić, że gdzieś czai się haczyk.

Pamiętam tamten dzień. Wracaliśmy do domu. Jakiś kwadrans wcześniej słuchałem szybkiego bicia serca naszego dziecka. Właśnie kończył się pierwszy trymestr ciąży. Uważałem, że to już najwyższy czas na zwolnienie lekarskie. Julia może nie dźwigała w pracy ciężarów, ale żyła w stresującym środowisku. Zamiast biegać po Warszawie za klientami jak kot z pęcherzem, powinna siedzieć w domu i odpoczywać. Takie było moje zdanie. Ona miała całkiem inne.

– No to kiedy zamierzasz wziąć to L4? – zapytałem, podkreślając klimatyzację. Zawsze, gdy się denerwowałem, robiło mi się ciepło.

– Cięża to nie choroba. Mogę pracować.

– Tylko po co? Zapłacą ci pełne wynagrodzenie...

– Bez premii.

– Więc chodzi o pieniądze?

Wyrzuciła ręce w górę.

– Nie! Chodzi o to, że gdy zniknę z rynku na tak długo, zastąpi mnie ktoś inny. Stracę klientów i renomę. Zapomną o mnie.

– Czyli co? Masz zamiar pracować do samego końca?!

Wzruszyła ramionami i zaraz je potarła.

– Cholera, chcesz mnie tu zamrozić? A może myślisz, że jak się przeziębę, to rzucę pracę i zostanę twoją wymarzoną kurą domową?

Wyłączyłem klimatyzację.

– Przestań. Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi. Chcę dla was jak najlepiej. Tyle.

– Więc ze mnie zejdź i daj robić to, w czym jestem dobra.

– OK. A po porodzie? Jaki masz plan? Chcesz urodzić i co? Od razu polecisz do klientów z noworodkiem przy piersi?

Skrzywiła się.

– Jezu, nie wiem jeszcze. Może z dwa miesiące zostanę w domu. Tak też mogę pracować, ale niezbyt długo.

Czułem, że robię się cały czerwony. Z tęsknotą spojrzałem na deskę rozdzielczą i przycisk A/C.

– A potem? Będziesz biegała do klientów z wózkiem?

Spojrzała na mnie jak na idiotę.

– Chyba są nianie, prawda?

Wyglądało na to, że mieliśmy zupełnie różne wizje przyszłości.

– Chcesz oddać nasze dziecko pod opiekę obcej osobie?

– A niby co innego mamy zrobić? Poprosić moją mamę, żeby zrezygnowała z pracy?

– A nie możesz wziąć dłuższego urlopu?

– Jeśli tak zrobię, nie będę miała do czego wracać.

– Znajdziesz coś innego.

Zgromiła mnie wzrokiem. Gdyby miała super moce, już byłbym kupką popiołów.

– Sam się zwolnij, jak jesteś taki mądry. Albo lepiej, idź na urlop tacierzyński.

Już chciałem jej odpowiedzieć, kiedy zadzwonił mój telefon. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem aparat. Wydawało mi się, że wszystko dzieje się jednocześnie. Smartfon wyslizgnął mi się ze spoczonej dłoni, próbowałem go złapać. Julia krzyknęła. Później był huk, zgrzyt metalu i ciemność.

Tak skończyło się moje życie. Przez nieuwagę.

Kolejne, co pamiętam, to szary świat, przejmująca cisza i to anielskie światło. I w tamtej chwili pewnie poszedłbym w jego stronę, gdybym nie obejrzał się za siebie. Nasz samochód stał na środku skrzyżowania, wgnieciony w tira od strony kierowcy. Gdybym do tamtej chwili miał wątpliwości, że nie żyję, właśnie bym się ich pozbył. Na oko nie zostało ze mnie nic, co warto by zbierać. Smutne, ale prawdziwe.

Odwrociłem się od światła i pobiegłem przed siebie. Wokół zbierał się tłum. Nikt mnie nie zauważył ani nie słyszał mojego spanikowanego głosu. Zatrzymałem się przy drzwiach pasażera w tym samym momencie, co ekipa ambulansu. Poruszali ustami, ale ich nie słyszałem. Nic nie słyszałem. Wtedy wyjaśniłem to ogłuszeniem.

Przeglądałem się, jak wyciągają moją żonę z samochodu. Była nieprzytomna i zachlapaną krwią, ale żyła. A przynajmniej tak wywnioskowałem z zachowania ratowników. Wyciągali ją ostrożnie, choć widać było, że się spieszą. W stronę swojego ciała nie spojrzałem ani razu.

Kiedy karetka odjechała, zacząłem panikować. Chciałem być przy Julii. Musiałem się upewnić, że nie odniosła żadnych trwałych obrażeń. Gdy pomyślałem o naszym dziecku, zacząłem płakać. A przynajmniej się starałem, bo jak się okazało, dusze nie mogą wydziełać łez. Skończyło się na tym, że przez kilka minut byłem jak dzikie zwierzę i rwałem sobie włosy z głowy.

Gdyby ktoś w momencie śmierci wręczył mi instrukcję poruszania się po świecie Pomiedzy, zamknąłbym oczy, wyciszyłbym się i pomyślał o Julii. Wtedy w mgnieniu oka byłbym przy niej. Nikt tego nie zrobił, więc przez kilka godzin biegałem ulicami jak wariat. Udało mi się teleportować, kiedy wyszedłem z trzeciego z kolei szpitala. Zrezygnowany usiadłem na ławce i przymknąłem powieki. Nagle stałem przy metalowym łóżku, na którym leżała. Miała zamknięte oczy, ale oddychała. Widziałem ruch klatki piersiowej. Próbowałem jej dotknąć, ale moje dłonie przez nią przepływały. Krzyczałem, ale nie miałem głosu. A ona spała dalej.

Nie wiedząc, co robić, podszedłem do karty pacjenta. Nie potrafiłem odczytać lekarskich hieroglifów. Zacząłem chodzić od ściany do ściany, aż przyszła pielęgniarka. Pogrzebała coś przy kropłownicy, zmierzyła jej temperaturę i wyszła. Nie słyszała mnie, nie widziała ani nie czuła.

Trwałem tam kilka dni. Pojedyncze słowa odczytywałem z ruchu warg lekarzy i gości. Potem próbowałem złożyć wszystko w całość, ale albo nic sensownego mi z tego nie wychodziło, albo dochodziłem do takich rzeczy, w które nie chciałem wierzyć.

W międzyczasie Julia zaczęła budzić się coraz częściej. Czułem, że robi to niechętnie. Wiedziałem, że było jej ciężko. Mnie też, ale ja już się nie liczyłem.

Nie wiem, ile dni spędziliśmy w szpitalu. Straciłem rachubę. W dniu wypisu przyjechali po nią rodzice. Mieli ze sobą wózek inwalidzki. Początkowo myślałem, że jest po prostu osłabiona. Później dotarła do mnie prawda.

Co jakiś czas pojawiało się światło. Ignorowałem je. Musiałem się upewnić, że Julia da sobie radę. Szczególnie po spaleniu wszystkich zdjęć USG naszego dziecka.

Chodziłem za nią krok w krok. Minęło trochę czasu, zanim nauczyłem się nie przenikać przez materac łóżka. Jeszcze więcej, zanim zdobyłem władzę nad czasem. Ale ile bym

nie ćwiczył, nie potrafiłem jej dotknąć. Tkwiłem w szarym, głuchym świecie, od czasu do czasu rozświetlanym światłem i krótkimi wizytami nieznanego mężczyzny.

Pamiętam jej pierwsze wyjście z domu. Poszliśmy na cmentarz. Na mój grób. Wyglądało na to, że oboje przegapiliśmy pogrzeb. Siedziała na swoim wózku. Obok niej stała jej matka. Zapaliła znicz i poprosiła, żeby położyła go na nagrobku. Powiedziała, że za mną tęskni i się popłakała. Zazdrościłem jej tych łez.

Nie wiem dlaczego, ale mnie nie znienawidziła. Wiem, bo to czułem. Widziałem w spojrzeniu, kiedy pakowała moje rzeczy i gdy zerknęła na nasze ślubne zdjęcie. Skoro ona nie chciała, ja zrobiłem to za nas oboje.

Teraz otwiera oczy. Ostatnio w tym właśnie momencie zaczynałem przyspieszać czas. Dziś tego nie robię.

Przyglądam się jej, kiedy podciąga się do pozycji siedzącej i wyćwiczonymi ruchami przechodzi na wózek. Silnymi ramionami wprawia koła w ruch i znika za drzwiami łazienki.

Stoję obok łóżka. To była jedna chwila, ale ja wiem, że coś się zmieniło. Julia nie zwlekała z wstaniem, a jej oczy... Jej oczy były spokojne.

Wychodzę za nią z mieszkania. Tym razem nie ma na sobie dresów, ale spodnie i koszulę. Chyba białą, bo dosyć wyraźnie odznacza się na tle otaczającej nas szarości. Kierujemy się w stronę przystanku. Kiedy się do niego zbliżamy, na twarzy Julii pojawia się delikatny uśmiech. Już zapominałem, jaki to piękny widok.

Macha do kogoś. Zmuszam się, by oderwać od niej wzrok. Podchodzi do nas mężczyzna. Jest niższy niż ja i bardziej krępy. Nie odrywa spojrzenia od jej twarzy, co mnie drażni. Wiem, że w mojej sytuacji zazdrość jest bez sensu, ale to silniejsze ode mnie. Najgorsze jest to, że Julia odpowiada mu tym samym.

Podjeżdża autobus. Niskopodłogowy z wysuwającym podestem dla niepełnosprawnych. Drzwi się otwierają, ale podest nadal jest tam, gdzie był. Mężczyzna wchodzi do środka i krzyczy coś w stronę kierowcy. Podest się obniża, a on pomaga jej wjechać wózkiem. Julia wygląda na zażenowaną, choć widać, że jest wdzięczna.

Stoję obok nich i obserwuję, jak rozmawiają. Nie wszystko rozumiem, ale chyba ma to związek z pracą. Ich rozmowa mnie nudzi, aż do momentu, w którym on zaprasza ją na kolację. Obaj wpatrujemy się w Julię. Obaj niecierpliwie wyczekujemy odpowiedzi. W końcu potakuje głową. Na twarzy mężczyzny pojawia się szeroki uśmiech. Na mojej nie do końca...

Obserwuję ją dalej. Znalazła pracę w biurze. Wiem, że jej nie potrzebuje, bo byłem solidnie ubezpieczony, ale się cieszę. Kontakt z ludźmi wydaje się o niebo lepszy, niż ciągłe leżenie w łóżku i oglądanie telewizji.

W drodze powrotnej wsiada do nieodpowiedniego autobusu. Irytuje mnie, że nie mogę jej o tym powiedzieć. Dopiero kiedy wysiadamy, orientuję się, że wcale się nie pomyliła. Kupuje znicz i brukowaną alejką kierujemy się w głąb cmentarza. Dawno tu nie byłem.

Julia podpala knot i kładzie lampion na nagrobku. Chwilę milczy, a potem zaczyna mówić. Przesuwam się, żeby widzieć jej usta.

– Od rana o tobie myślę – szepcze, a jej oczy nabierają szklatego wyrazu. – Tęsknię za tobą.

Kucam, by nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości.

– Ja też za tobą tęsknię – mówię, ale ona wchodzi mi w słowo.

– Wiesz... Chcę zacząć od początku. Potrzebuję tego. Ja... przepraszam. Kocham cię. Zawsze cię będę kochać, ale... muszę żyć.

Płaczę. Ja też, choć nie mam łez. W tej chwili jeszcze bardziej pragnę jej dotknąć.

– Ostatnio wydawało mi się, że potrafię. Czułam się silna. Silniejsza niż kiedykolwiek, ale dzisiaj... Dzisiaj wszystko wraca... Boże, tak mi ciężko.

Gdybym oddychał, to chyba bym przestał.

– Mam nadzieję, że tam, gdzie jesteś, jesteś szczęśliwy.

Całuje opuszki palców i przykłada je do marmuru. Ociera łzy i manewruje wózkiem, by zawrócić. Odjeżdża, a ja stoję w miejscu i patrzę, jak odchodzi.

Przez kilka kolejnych godzin snuję się po mieście. Zaczepia mnie inny duch, ale kompletnie go ignoruję. Wracam do niej wieczorem. Zastaję ich pod drzwiami. On pochyla się, a ona zadziera głowę. Ich pocałunek jest nieśmiały i niezdarny, ale gdy się kończy, wiem, że oboje są zadowoleni. Pęka mi serce.

Wchodzę za nią do mieszkania i przyglądam się jej uśmiechowi. Nagle dociera do mnie, że to zasługa tamtego mężczyzny.

Julia kładzie się do łóżka. Cierpliwie czekam, aż zaśnie. Dziś nie bawię się czasem.

Kładę się obok niej i bardzo powoli zbliżam do niej swoje usta. Wyobrażam sobie fakturę i ciepło jej skóry, które normalnie bym poczuł.

Kiedy pojawia się znajome ciepło, wstaję z łóżka. Mężczyzna jaśniej przedemną, jak latarnia w ciemnościach.

– Moja obecność na nią wpływa, prawda? – pytam, choć już znam odpowiedź.

Ogranicza się do krótkiego skinięcia głową.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś?

– Wybaczyłeś sobie?

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Jest.

Obracam się i patrzę na jej spokojną twarz. Zastanawiam się nad pytaniem mężczyzny. Mam dosyć Pomiędzy. Dziś to zrozumiałem. Nie jestem w stanie dłużej się karać. Chciałbym to skończyć. Chciałbym zwrócić jej wolność. Wiem, że mogę to zrobić z czystym sumieniem. Ma wokół siebie kochających ludzi i mężczyznę, któremu na niej zależy. Troszczy się o nią i nie zwraca uwagi na jej kalectwo. Gdybym mógł, dałbym im błogosławieństwo.

– Możesz.

– Co?

Zerkam na mężczyznę. Teraz stoi obok mnie.

– Możesz życzyć im szczęścia. To to samo.

– Tylko tyle?

– Tak.

Więc formułuję myśl i opakowuję ją w pragnienie. Posyłam je w jej stronę.

– To coś da?

Mężczyzna się uśmiecha. Pierwszy raz, odkąd go znam.

– Tak.

– To dobrze. – Chwilę milczymy. – Z tym wybaczeniem... Nie wiem, czy potrafię.

Zerka na mnie.

– Wystarczy, że postanowisz.

Po chwili uśmiech mężczyzny staje się jeszcze szerszy. Kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Lepiej już stąd chodźmy.

Tym razem się nie opieram. Robię krok i pochłania mnie jasność.

Aleksander Cieślak

ODDZIELENIE CIAŁA OD DUSZY

Życie

Zawsze przychodził taki moment, kiedy wydawało mi się, że decyzja, którą muszę podjąć, jest najważniejszą w moim życiu. Potem okazywało się jednak, że kolejne dni przynosiły inne, równie ważne chwile, w których musiały zapadać kolejne decyzje, często ważniejsze od poprzednich. I tak wpadałem w pułapki, a życie toczyło się dalej.

Teraz także stanąłem przed kolejnym dylematem. Tym razem nie miałem już żadnych wątpliwości, że problem, z jakim spotkałem się oko w oko, jest najważniejszy. W dodatku dość szybko miałem go rozstrzygnąć. W grę wchodziła moja przyszłość, los, moje życie. Ale nie tylko. Od tej decyzji w pewien sposób mógł zależeć los jeszcze czterech osób, bardzo bliskich memu sercu.

X już od pewnego czasu nalegała, abym porozmawiał z żoną. Oświadczyła, że nie chce być tą drugą w moim życiu. Pełniła tę rolę dość długo i muszę jej żądania zrozumieć. Miałem zatem opuścić już na całe życie żonę i dzieci. Tych kilka miesięcy nieustannych nalegań i nacisków sprawiało, że decyzja o rozstaniu z rodziną coraz bardziej we mnie dojrzała. Odwlekałem jednak ostateczne jej rozstrzygnięcie. Kochałem X i byłem gotów rzucić rodzinę, opuścić dzieci, które tak dużo dla mnie znaczyły. Były małe, niewinne i zupełnie jeszcze niewprowadzone w pokręcone życie dorosłych. Teraz miałem je zostawić. I ten właśnie fakt sprawiał, że w sposób maksymalnie długi zwlekałem z decyzją. Wiedziałem jednak, że muszę podjąć ostateczny krok. Miałem opuścić moje ukochane dzieci.

Tego wieczoru obserwowałem twarz X. Jej cudowne, ciemne oczy patrzyły na mnie, czułem jej wyjątkową bliskość, miłość. Wpadłem w zadumę, nie odzywałem się wcale. Przed sobą widziałem obraz moich dzieci, o ich matce nie myślałem. Jej rola w tej chwili była drugoplanowa. Najważniejsze były dzieci. W końcu jednak pomyślałem o żonie. Wobec niej też nie byłem obojętny, coś się jeszcze w nas tliło albo jeszcze istniało.

- Powiedz, co z nami? – zapytała X.
- Podjąłem decyzję.
- Czy porozmawiasz z żoną?
- Nie! Napiszę list, odejdę. Gdy go przeczyta, zrozumie, że to już koniec. Przypuszczam, że chyba coś podejrzuje, przeczuwa, choć tego tematu nigdy nie poruszała.
- Nie wiem, czy to najlepszy pomysł... – patrzyła na mnie uważnie. – Czy nie lepiej jednak, abyś z nią porozmawiał?
- Nie mam odwagi. To jest wyjątkowo trudna rozmowa, której chyba nie podejmę, bo nie mam w sobie tyle odwagi.
- Ale w grę wchodzi nasze życie!
- Wiem, ale to ja mam rozmawiać z żoną, to ja mam ją opuścić, to ja mam zostawić dzieci – nie ty! Czy masz świadomość złożoności mojej sytuacji, czujesz, jak trudno odbyć taką rozmowę? – niemal krzyczałem.
- Czy chcesz ze mną być?
- Tak.
- Wobec tego musisz sam tę sprawę rozstrzygnąć – zawyrokowała.

– Rozumiem i wiem. Ale na nic więcej mnie nie stać, jak tylko na napisanie i pozostawienie listu.

– Przemysł to i zrób, jak uważasz. Ja nie nalegam, ale chyba rozumiesz, że istnieję w twoim życiu jako osoba drugoplanowa i tak dalej być nie może.

– Chcę być z tobą! Wszystko przemyślałem. Napiszę list i odejdę. Potem zobaczymy, jak wszystko się potoczy. Ale będę już wtedy z tobą, zaczniemy nowe życie. Pragnę tego bardzo i ty o tym doskonale wiesz! – zapewniałem.

Po powrocie do domu długo analizowałem przebieg odbytej rozmowy. Nie miałem już wyjścia. Dalsze odwlekanie decyzji nie było możliwe. Do służbowej teczki spakowałem najważniejsze dokumenty, niezbędne w pracy. Przez najbliższych kilka miesięcy musiały mi wystarczyć. Reszta nie miała znaczenia. Czekałem na noc, a gdy wszyscy już usnęli, wyjąłem czystą kartkę i zacząłem pisać. Najwięcej miejsca poświęciłem dzieciom. Były dla mnie największym skarbem i wielką miłością. Nie chciałem tego utracić i decyzja moja nie mogła przekreślić wzajemnego stosunku. Kończąc list czułem, że dzieci kocham jeszcze bardziej.

Poranek upłynął jak każdy inny. Żona z dziećmi wyszła wcześniej. Zostałem sam, wyjąłem kopertę i włożyłem zapisane nocą kartki. Zastanawiałem się, gdzie położyć list, aby nie wpadł w ręce któregoś dziecka. Rozejrzałem się po pokoju, szukając najdogodniejszego miejsca. Nic mi nie pasowało. Wszedłem do mojego pokoju, wysunąłem szufladę biurka. Na wierzchu leżały dyskiety i kasety. Odsunąłem je na bok i położyłem list, następnie przykryłem go dyskami. Powoli wsunąłem szufladę pod blat biurka. Decyzja zapadła.

Po kilku minutach szedłem spokojnie do biura. Wiedziałem, że po zakończeniu pracy przyjdzie mi iść już zupełnie inną ulicą. Będę szedł w zupełnie innym kierunku. Czułem kłębiące się w mojej głowie myśli. Te dwie, przykrywające kopertę dyskiety, stanowiły jeszcze furtkę do zmiany decyzji. Kilka najbliższych godzin w pracy minie i gdy nie wrócę do domu, zaniepokojona żona po pewnym czasie zacznie wydzwaniać po znajomych, następnie na pogotowie, do szpitali, w końcu na policję. I pewnie dotrze do mojego biurka, wysunie szufladę, dostrzeże pod dyskami kopertę i dowie się prawdy.

Szedłem zamyślony, a gdy wstępowałem na wymalowane na jezdni pasy przejścia dla pieszych, z przerażeniem zauważyłem jadący wprost na mnie duży samochód ciężarowy. Na żadną reakcję z mojej strony nie było już czasu. Poczułem silne uderzenie, przenikający mnie ból, nagle wszystko wokół mnie zawirowało. Upadłem na ziemię.

Czyściec

Gdy otworzyłem oczy, zrozumiałem wszystko. Byłem już w innym świecie. To był czyściec. Przed oczyma miałem świat, przypominający do złudzenia ziemski. W olbrzymim holu, który wyglądał jak dworzec kolejowy, kręciło się sporo osób, pewnie takich jak ja, które znalazły się tutaj za przyzwoleniem Stwórcy.

Podeszło do mnie dwóch mężczyzn z krótkofalówkami w rękach. Widać było, że oczekiwali już mojego nadejścia.

– Pewnie już wiesz, gdzie jesteś? – zapytał jeden z nich.

– Tak.

– Jeszcze parę minut i przestawisz się zupełnie, zmienisz mentalność i sposób reakcji.

– To znaczy? – nie rozumiałem.

– Przestaniesz oceniać bieg wydarzeń tak, jak to czyniłeś na ziemi. Jesteś teraz w innym wymiarze i różnego rodzaju wartościowanie, co jest dobre, a co złe, poddasz innym kryteriom.

– Dlaczego śmierć spotkała właśnie mnie?

Jeden z moich opiekunów uśmiechnął się.

– Ani ty, ani my nie znamy odpowiedzi. Ale już wkrótce przestaniesz o tym myśleć. Twoje miejsce na ziemi zajął już inny człowiek, który parę minut temu przyszedł na świat. O wszystkim decyduje Stwórca. Jeżeli zostaniesz dopuszczony do nieba, wtedy będziesz miał jedną jedyną okazję spotkać się z Nim bezpośrednio. Tylko raz Go zobaczysz, o ile ocena twojego życia wypadnie pozytywnie.

Zapanowało chwilowe milczenie.

– Musisz na razie na nas poczekać. Idziemy zorientować się, gdzie będziesz zakwalifikowany. Są trzy możliwości: niebo, czyściec albo piekło. Nie oddalaj się zbyt, czekaj.

Jeden z nich wziął moją dłoń i zacisnął na jej przegubie srebrną obręcz, przypominającą ziemski uchwyt kajdanek. Potem oddalili się. Znajdowałem się w olbrzymim holu. Stosując się do udzielonych mi przed chwilą wskazówek, wyszedłem na sam środek, tak, aby być dobrze widocznym. Wokół panował olbrzymi ruch. Wszystko jednak sprawiało wrażenie dobrze funkcjonującej maszyny. Przez cały czas przybywali nowi ludzie, przy nich natychmiast pojawiała się zawsze dwóch opiekunów. Potem wyprowadzali ich w nieznanym kierunku.

Na jednej ze ścian zainstalowane były same ekrany, gdzie opiekunowie śledzili ludzi, na których zapewne czekali. Byli jeszcze w świecie żywych, ale ich czas już się kończył. Były też ekrany, na których część ludzi śledziła różne doniesienia ze świata. Odniosłem wrażenie, że wszystko jest sprawnie sterowane i kontrolowane. Ale widziałem też zwykłe, codzienne życie przechadzających się ludzi, podążających w różnych kierunkach – te monitory jednak miały najmniejsze powodzenie.

Po drugiej stronie holu zainstalowano olbrzymią ilość bramek, przez które przechodziły tłumy ludzi. Trafiały tutaj tysiące tych, którzy opuszczali świat, a potem przeprowadzano ich przez bramki, gdzie znikali. W ten sposób mechanizm działał niezawodnie i szybko.

Czekałem cierpliwie. Nie zastanawiałem się nad moimi odczuciami. Uświadomiłem sobie, że przecież zostawiłem na ziemi osoby, które kochałem, przyjaciół, znajomych. Jednak teraz mój pobyt w tym miejscu był jakby naturalny. Nie czułem żalu, nie miałem też poczucia bezpowrotnej utraty kogoś bliskiego. Myślałem normalnie, czekając na dalszy bieg wydarzeń i mając pełną świadomość, że swoich najbliższych już nie zobaczę. Chyba moi opiekunowie mieli rację, twierdząc, że system wartości zostanie przestawiony na inny tryb. To nie był letarg ani zubożenie, przeżywałem istnienie w zupełnie normalny sposób. Nie było może tylko tutaj miejsca na sentymenty ani na ziemską miłość. Trwał nastrój oczekiwania, spokoju i cierpliwości.

Moi opiekunowie pojawili się zupełnie nieoczekiwanie.

– Wygląda na to, że dość szybko trafisz do nieba. Sprawdzano i analizowano twoje życie. Byłeś w porządku.

– Co sprawdzano? Czy wszystko?

– Najpewniej – w odpowiedzi wyczułem zdziwienie. – Czy uważasz, że może coś zostało pominięte?

– Nie wiem. Trudno mi cokolwiek oceniać.

– Uznano, że twoje życie kwalifikuje się do przekroczenia progu nieba.

– Kiedy?

– Zostaniesz wprowadzony, gdy tylko dostaniemy sygnał.

Po chwili opiekunowie zdjęli z mojej ręki srebrną obręcz i przyprowadzili mnie do jednej z bramek. Teraz dopiero zdziwiłem się całą prostotą sytuacji. Pojęcia czyśćca, nieba –

miałem zupełnie inne wyobrażenie o tych miejscach! Ziemskie opowieści o niebie, piekle i czyśćcu były zbyt dramatyczne i mocno przesadzone, jakby nikt tam na ziemi nie miał pojęcia, jak tu naprawdę jest.

Podszedłem do bramki. Moi opiekunowie rozmawiali z kimś przez krótkofalówkę.

– Naprzód! Idź śmiało! Jesteś szczęściarzem!

W ten nieoczekiwany sposób przekroczyłem próg nieba.

Piekło

Olbrzymie pomieszczenie, sale, pokoje pełne ludzi. Wiszące monitory, dużo osób sprawujących opiekę. Kim byli? Jak ich nazywać? Jaką właściwie pełnią rolę? Czy to jest ochrona, czy tak wyglądają aniołowie? Zupełnie zaskoczony przyglądałem się, jak wygląda niebo. Jaką rolę przyjdzie mi tu pełnić? Jakie miejsce miałem zająć? Stawiając sobie tych kilka pytań, wiedziałem, że i tak już właściwie na nic nie mam wpływu.

Ruszyłem przed siebie, ale dość szybko podszedł do mnie mężczyzna, który chyba zorientował się, że przybyłem tutaj niedawno.

– Witaj! – zagadnął.

Spojrzałem w jego kierunku, udając zaskoczonego.

– Widzę u ciebie zaskoczenie, pewnie zastanawiasz się, skąd cię znam?

– Tak – odpowiedziałem.

– Nie znam cię wcale! Lubię jednak rozmawiać z nowymi nabytkami nieba. Ty znalazłeś się tutaj niemalże prosto z ziemi. Czy wiesz, że jesteś w niebie?

– Wiem.

– Ale to nie jest jeszcze prawdziwe niebo.

– Nie? To gdzie jestem?

– Prawdziwe niebo poznasz najdalej za kilka miesięcy.

Patrzyłem na niego zdziwiony. Po raz pierwszy czegoś nie zrozumiałem z tej pozaziemskiej maszyny.

– Dlaczego za kilka miesięcy?

– Jesteś teraz w przedsionku prawdziwego nieba, ale potem dostąpisz zaszczytu spotkania się ze Stwórcą. To spotkanie będzie tylko jedno, potem wprowadzą cię do nieba. Tak naprawdę nikt spośród tych wszystkich osób, które tutaj spotkasz, nie wie dokładnie, jak wygląda prawdziwe niebo.

– To ciekawe! Jak zatem mam nazywać miejsce, w którym jestem?

– Przedsionek nieba. Ale tutaj też jest dobrze! Będziesz tu przebywał, nie zaznając żadnych stresów, kłopotów, bólu i cierpienia. Poznasz permanentny stan błogości, spokoju, spełnienia, ciszy i ukojenia. Poczujesz wszystkie odmiany odczuć, które na ziemi były zaledwie namiastką.

Stałem w niebie – miejscu jeszcze mi nieznanym. Miałem doświadczyć uczuć, których dotąd nie poznałem. Czułem w sobie jedynie zaskoczenie i względny spokój. Ruszyłem, zostawiając rozmówcę patrzącego z ciekawością, co będę robił dalej. Zainteresowały mnie włączone wokół monitory, przy których grupowało się sporo osób. Śledziły uważnie obrazy i sceny, które najprawdopodobniej pochodziły z ziemi. Zatrzymałem się za ich plecami i patrzyłem. Po chwili zrozumiałem, że obserwują życie swoich najbliższych. Z kamiennymi twarzami wpatrywali się w zimne szkło ekranów.

Podszedłem do pustego monitora, włączyłem go. Zobaczyłem moją żonę i równocześnie poczułem jakby ucisk w okolicy serca. Nie spodziewałem się, że mogę zaznać ziemskie-

go uczucia. Dotąd reagowałem naturalnie i bez emocji – teraz serce zabiło mocniej. Ciemna spódnica, czarna bluzka, zapuchnięte oczy, pewnie od płaczu – oto obraz osoby, która jeszcze niedawno ze mną rozmawiała. Stała w moim pokoju, patrzyła na puste miejsce przy biurku. Z oczu płynęły jej łzy. I we mnie też coś drgnęło. Po raz pierwszy od mojego zejścia ze świata poczułem, że moje serce reaguje, że mam w sobie uczucie, które tak nieoczekiwanie zostało wzbudzone.

Patrzyłem w monitor, obserwowałem osobę, z którą przeżyłem wiele lat. Teraz nagle zrozumiałem, że tak naprawdę kocham tylko ją. Kochałem ją przez całe życie i doszło do mnie w tym momencie, że przecież chciałem od niej odejść. Po raz pierwszy pomyślałem o X, lecz nie było w tym żadnej emocji, tęsknoty czy pragnienia zobaczenia jej. Śmierć uchroniła mnie przed popełnieniem niewybaczalnego błędu. Teraz myślałem tylko o żonie, bardzo zapragnąłem powrotu na ziemię, do dzieci, rodziny. Czułem w sobie złość, że stoję tutaj beczynn timer. Czy na tym miało polegać prawdziwe niebo? Mój stan był najzwyczajszym ziemskim odczuciem. Odkryłem w sobie straszną prawdę. Dlaczego podjąłem decyzję o odejściu od rodziny? Dlaczego miałem zostawić żonę samą? Przecież bardzo ją kochałem, ale na ziemi chyba nie miałem pojęcia, co to jest prawdziwa miłość. Z przerażeniem uzmysłowiłem sobie, że w szufladzie biurka pod dyskietykami leży ukryty list. Wcześniej czy później żona weźmie go do ręki i przeczyta.

Moja śmierć sprawiła już wystarczający ból żonie i rodzinie. Następnym ciosem mógł stać się list, leżący na dnie szuflady biurka. W czyścicu zostałem oceniony dobrze i wobec tego znalazłem się w niebie, ale przecież żona jak dotąd listu nie przeczytała. Czy wobec tego, gdyby to wcześniej uczyniła, dostałbym się do nieba? Czy miałem prawo tutaj przebywać? Odnosiłem wrażenie, że pewnie gdzieś zaszła pomyłka, bo w tej chwili nie czułem się godny przebywać w niebie. Chyba to miejsce mi się nie należało. Był to zapewne przypadek, który sprawił, że patrzyłem na żonę z nieba. A może to było szczęście? Czy przypadkiem właśnie o tym szczęściu nie powiedzieli mi wcześniej moi opiekunowie?

Patrzyłem na żonę. Siedziała przy biurku, wpatrując się w nasze wspólne zdjęcie, pochodzące jeszcze z czasów studenckich. Płakała, krople łez spływały jej po policzkach. Stojąc przed monitorem, czułem, jak cały świat wiruje mi przed oczyma. Zrozumiałem swój ziemski egoizm. Nigdy nie zadałem sobie podstawowego pytania: kogo tak naprawdę kocham? Pomyślałem drugi raz o X. Przecież ona istniała w moim życiu już dość długo. To dla niej miałem opuścić moich najbliższych, a teraz myśl ta pozostawała w głębokiej sprzeczności z tym, co odczuwałem. Mój romans w ogóle się nie liczył. Istniało tylko moje życie z żoną i tylko z nią. Rozumiałem doskonale, jak bardzo ją kocham. Tyle że byłem już zupełnie w innym świecie, z którego w żaden sposób nie mogłem wyznać jej swej miłości. Zdruzgotany, patrzyłem na płynące cały czas łzy, myślałem też o liście. Gotów byłbym w tej chwili zapłacić każdą cenę za to, aby wydostać z szuflady list. Napisany jeszcze na ziemi, nie oddawał teraz istoty sprawy, był nieaktualny, mógł tylko sprawić żonie przeogromny ból.

Odszedłem od monitora. Czułem oszołomienie, wstyd i nieodpartą chęć powrotu na ziemię. Ale wszystko było odgórnie i ostatecznie ustalone. Byłem w niebie, miałem spotkać Stwórcę i przejść kolejny etap. Jednak chęć powrotu na ziemię choć na moment przez cały czas nie dawała mi spokoju.

Rozpocząłem wędrówkę po niebie. Przyglądałem się wszystkim, których napotkałem na swojej drodze. Zdawało mi się, że widzę tylko ludzi uśmiechniętych i szczęśliwych. Posuwałem się dalej, ze zdziwieniem spostrzegłem, że przy monitorach skupia się coraz mniej osób. Chyba przestawili już ostatecznie swoją świadomość na inny, uniwersalny świat nie-

ba. Oddalali się coraz bardziej od problemów świata żywych, gdy tymczasem ja myślami byłem przy żonie i przy liście, który stawał się powoli straszną zmurą.

Od czasu do czasu rozmawiałem z różnymi osobami. Przypadkowo dowiedziałem się, że są jednak przypadki krótkiego powrotu na ziemię. Zacząłem drążyć temat i okazało się, że nie jest to wcale proste, ale takie przypadki miały miejsce. Podjąłem walkę o powrót na ziemię. W międzyczasie dowiedziałem się, że można poruszyć ten temat z opiekunami niebiańskimi.

Zacząłem z nimi rozmawiać i przedstawiałem kilka razy moją prośbę. Szczerze ukazałem powód, dla którego pragnąłem opuścić niebo.

Skierowano mnie w końcu do opiekuna, który mógł spełnić tę prośbę. Wysłuchał mnie uważnie i zapytał:

– Czy rzeczywiście chcesz wrócić na ziemię?

Pytanie zadawał z niedowierzaniem w głosie.

– Proszę o tę jedną, jedyną rzecz! Chcę wrócić na ziemię, dosłownie na chwilę!

– Po co?

– Żeby wyjąć list z biurka.

– List?

– Tak, jest w nim informacja, która mojej żonie sprawi ból.

– I to jest główny powód?

– Tak, tylko ten jeden.

– Owszem, są przypadki, że ktoś stąd wraca, ale powody są zupełnie inne.

– Mój powód jest dla mnie niezmiernie ważny. Bardzo kochamy się z żoną i nie chciałbym stracić tego uczucia.

– Dla niej to rozdział zamknięty, żyje i nie wiadomo, jak dalej potoczy się jej życie. Ten list może nie mieć żadnego znaczenia.

– Ale dla mnie jest ważny, ważne jest teraz jej uczucie. Przeżywam w niebie prawdziwy koszmar i upokorzenie.

– W niebie? Koszmar?

– Niebo zacznie istnieć dla mnie wtedy, gdy tę sprawę ureguluję, gdy zniknie list.

– To niebываłe, o co prosisz. Chyba masz świadomość, że twoje szanse powrotu są nikłe?

– Niestety, mam, ale tym bardziej proszę. Miłość do mojej żony jest dla mnie najważniejsza.

To, w co w gruncie rzeczy nie wierzyłem, w kilka dni później się spełniło. Ale najpierw przeżyłem koszmar, obserwując w monitorze mój pokój. Modliłem się, aby przypadkiem ktoś wcześniej nie otworzył biurka. Jeżeli list dostanie się w ręce żony, przeżyję prawdziwe upokorzenie. Świat w niebie i spotkanie ze Stwórcą stawały się mniej ważne i odległe, tylko miłość do żony – tylko to się liczyło. Tych kilka dni oczekiwania ciągnęło się strasznie. Ale w końcu dostałem wiadomość, że mam ponownie stawić się przed moim opiekunem.

– Jesteś szczęściarzem! – zakomunikował. Dostałeś przepustkę na kilka godzin w celu powrotu na ziemię. Jednak masz szczęście, to zdarza się niezwykle rzadko!

Niebo

Poranek upływał jak każdy inny. Żona z dziećmi wyszła wcześniej. Zostałem sam. Podszedłem do szuflady, wysunąłem ją, odsunąłem dyskietki. Wziąłem list do ręki. Zapaliłem świecę i nad jej płomieniem spaliłem zapisane nocą kartki. Poczułem niebываłą ulgę i od-

dalenie się klęski, a ogromny balast i ciężar spadł mi z serca. Nie mogłem być już uporczywy, list nie mógł już sprawić bólu mojej ukochanej. Można powiedzieć, że w tym momencie załatwiłem swoją misję na ziemi.

Rozejrzałem się dookoła. Wszystko pozostało niezmienione od momentu mojej śmierci. Ale przecież już teraz tutaj istniałem, dotykałem wszystkich przedmiotów. Przetawiałem krzesło, zapaliłem świecę, nakręciłem zegar. Coś w tym pokoju jednak zmieniłem, pozostawiłem ślady.

Zastanowiłem się, ile jeszcze zostało mi czasu na mój pobyt tutaj. Co mam dalej robić?

Po kilku minutach szedłem spokojnie do biura. Wiedziałem, że powrót do domu jest możliwy.

Czułem kłębiące się w głowie myśli. Spalenie listu otwierało furtkę do zupełnie innego życia. Mogłem całą swoją miłość ofiarować na zawsze żonie i dzieciom. Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości, kogo kocham i dla kogo chcę żyć. Monitor w niebie uzmysłowił mi mój egoizm, zadufanie, płytkość mojego myślenia. Śmierć, która mnie spotkała, przywróciła mi radość. Miałem pełną świadomość, że w każdej chwili życie może zostać mi odebrane. Byłem w tym momencie głęboko przeświadczony, że to prawdziwe życie jest tutaj, na ziemi. Dzięki śmierci odnalazłem życie, być może to był tylko jego fragment, ale za to pomógł mi zrozumieć pojęcie miłości, pokazał, do kogo tak naprawdę należy moje serce.

Zapragnąłem zobaczyć moją żonę i dzieci, choćby tylko na moment i z daleka.

Szedłem zamyślony, a gdy wstępowałem na pasy przejścia dla pieszych, zorientowałem się, że wprost na mnie jedzie duży ciężarowy samochód. Na jakąkolwiek reakcję było już za późno. Miałem pełną świadomość, że właśnie do tego momentu otrzymałem przepustkę do życia na ziemi. Zatrzymałem się na środku jezdni, a samochód z piskiem opon dosłownie otarł się o mnie. Z kabiny wyskoczył kierowca i podbiegł do mnie.

– Człowieku! Co ty wyprawiasz?! Mogłeś zginąć!...

Ze zdziwieniem zorientowałem się, że żyję nadal. Stwórca pewnie się nade mną ulitował. Pytanie: do kiedy?

Żyłem! Zaskoczony odszedłem od krzyczącego kierowcy. Żyłem! Znowu byłem na ziemi. List został spalony, przyspieszyłem kroku, by nie spóźnić się do pracy. A zaraz potem muszę koniecznie wrócić do domu i zobaczyć moją żonę i dzieci.

2004

Aleksander Cieślak – urodzony w Częstochowie w 1952 r., nauczyciel. Jest współautorem dwóch monografii o Gimnazjum i Liceum im. H. Sienkiewicza w Częstochowie, a także monografii o Gimnazjum i Liceum im. Romualda Traugutta. Jest również organizatorem wypraw młodzieżowych po Europie i po świecie. Autor licznych opracowań dotyczących historii szkół i losów absolwentów II LO im. Romualda Traugutta oraz IV LO im. Henryka Sienkiewicza, publikowanych drukiem i na stronach internetowych. Opowiadanie pochodzi z debiutanckiego zbioru opowiadań *Między nocą a świtem*.

Ida Jadwiga Łubińska

TRYPTYK JURAJSKI



foto: Bogusława Grzywińska

Od lewej: Ida Łubińska, Gabriela Polaczek, Katarzyna Czerniejewska, Stefania Gąsior, Małgorzata Domańska, Danuta Pęczak, Jadwiga Gąsior, Jolanta Gąsior.

Przełom lipca i sierpnia 2019 roku, Bobolice. To tu, w Jurajskiej Chacie, w pokojach z widokiem na zamek, rozkłada malarskie akcesoria grupka członkiń Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza. Krajobraz zza okna przyciąga spojrzenia, kusi. Magia Jury rozpała wyobraźnię.

Oj, będzie długi spacer!

Zaróżowione policzki, rozbiegane oczy, uważny krok na nierównych, piaszczystych ścieżkach pagórków i dolin. Trzeba uważności, by zatrzymać w umyśle dzieła rzeźbione wiekami przez żywioły natury. Krajobraz jurajski modelowały przecież procesy trwające miliony lat. Na przełomie kredy i trzeciorzędu obszar Jury Krakowsko-Częstochowskiej wynurzył się z morza. Stąd charakterystyczne, licznie występujące tu ostańce i skały, niekiedy z odcisniętymi na skalnych powierzchniach skorupiakami. Te rzeźbione w skale reliefy to amonity i belemnity. Podobno można natrafić nawet na ślady wczesnojurajskich dinozaurów. Z tego też okresu wywodzi się nazwa krainy.

Jak oddać ducha tego miejsca?

W rękach aparaty fotograficzne i komórki. Jesteśmy na Grzędzie Mirowsko-Bobolickiej, łączącej Zamek Mirów i Zamek Bobolice. Czy utrwalić majestatyczne jurajskie olbrzymy, skałki o fantazyjnych kształtach, czy charakterystyczną dla tej krainy roślinność? A może próbować uchwycić paletę barw i półcieni w blasku południowego słońca, subtelny wdźwięk poruszanych wiatrem gałęzi? Na spotkanie z charakterystycznymi, lecz rzadkimi śladami prehistorii zabraknie czasu.

Po drodze mijamy miłośników jurajskich pejzaży, o tej porze roku gromadnie przemieszczających się pieszo, konno, na rowerach... Przyjazne pozdrowienia i uśmiechy.

Dziewczyny się rozproszyły, oddaliły od głównego szlaku. Bo zachwyty i fascynacje są odmienne. Obudziły w sobie wenę twórczą. Kwiaty w dojrzałej krasie czarują, poszumy liści kołysane delikatnymi podmuchami każą zatrzymywać się. Całości obrazu dopełniają melodyjne ptasie trele, świsty wiatru, brzęczenie owadów.

Krajobraz rozświetlają złote promienie. Piękny ten świat... Jak to przedstawić? Wewnętrzny dialog zaprzęta myśli. Co ważniejsze: subtelny detal, ulotność chwili, daleki horyzont? Ot, dylemat. A może każdy z tych konceptów? Wszak ideą przewodnią planowanej wystawy o nazwie „Tryptyk jurajski” jest osobista, lecz spójna wizja trzech krajobrazów Grzędy Mirowsko-Bobolickiej, ale też taki sam format (60 x 80 cm), technika, rama.

Odpowiedzią na pytania i rozterki dziewięciu uczestniczek pleneru: Katarzyny Czerniejewskiej, Małgorzaty Domańskiej, Jadwigi Gąsior, Jolanty Gąsior, Steni Gąsior, Bogumiły Grzywińskiej, Idy Łubińskiej, Danuty Pęczak i Gabrieli Polaczek są ich prace. Prezentujemy niektóre z nich, choć wybór był trudny.

Wystawa miała ustalony termin na czerwiec bieżącego roku w Regionalnym Ośrodku Kultury. Ze względu na pandemię data wernisażu została przełożona. Kiedy będzie znana, informacja zostanie zamieszczona na łamach „Galerii”.

I wiadomość z ostatniej chwili. Smutna. Grzęda Mirowsko-Bobolicka jest już niedostępna dla zwiedzających, dla miłośników Jury. Ten skarb polskiej ziemi, jej mieszkańców, kształtowany przez epoki, został zagrodzony przez właściciela.



Stefania Gąsior, „Tryptyk jurajski 3”

Janusz Jano Mielczarek

NAWET KAMIENI WAM NIE DAM

Szanuję ludzi, którzy do doskonałości dochodzą dzięki pracowitości i zdobytej wiedzy, ale fascynują mnie osobowości, które szczyty osiągają dzięki posiadanej intuicji i wrodzonym talentom. Miałem szczęście zetknąć się z takim człowiekiem, poznać go bliżej, a także skorzystać z jego nauki i doświadczenia.

W kartotece policyjnej

Jest rok 1923. Czternastoletni Antoni Sikora musi pracować na niewielkiej działce, by utrzymać rodzinę, bowiem ojciec zapada na ciężką chorobę i na niego przerzucony jest obowiązek utrzymania rodziny. Nienawidzi pracy na roli. Tuż obok, przez jego rodzinną działkę Wyczerpy, biegnie linia kolejowa, po której poruszają się dostojne lokomotywy. Mógłby godzinami przyglądać się doskonałości ich maszynerii i współpracujących ze sobą części, które wprawiają je w ruch i nadają im niezwykłą siłę. To wtedy postanawia, że panowanie nad metalem, kształtowanie go i korzystanie z jego zalet będzie jego głównym celem w życiu. Na ulicy Warszawskiej, po pracy na roli i nauce, podgląda działanie urządzeń w licznych warsztatach mechanicznych. Wie więcej od rówieśników, ale pragnie się uczyć. Znalaziona przypadkiem broszurka z rysunkami technicznymi i opisami w języku niemieckim zachęca go do nauki języka obcego.

W roku 1919 był w Polsce obowiązek szkolny do czternastego roku życia. Młodociani mogli pracować zarobkowo, mając lat piętnaście, ale Magistrat Miasta Częstochowy podjął inicjatywę o dokształcaniu młodzieży, wykraczając poza uregulowania krajowe: na kursach wieczorowych uczyć musieli się pracujący w wieku 14-18 lat. Uczęszczał na nie również młody Antoni, który w styczniu 1925 roku rozpoczął naukę zawodu u mistrza Pawła Malczaka, znanego częstochowskiego rusznikarza i ślusarza. Jego sklep z bronią i amunicją usytuowany był w II Alei 21. W tym miejscu trzeba wspomnieć, że lata dwudzieste i trzydzieste obfitowały w Polsce w kradzieże dokonywane przez wyspecjalizowane grupy złodziei-kasiarzy. Działal w tym czasie także słynny Szpicbródka, który wspólnie z Wincentym Brockim w roku 1909 włamali się do Skarbca na Jasnej Górze.

Sytuacja wymagała tworzenia nowych zabezpieczeń i systemów ochronnych. Zajmował się tym także zakład, w którym terminował młody Antoni. Ponieważ wyróżniał się pilnością w nauce i sprytem w zawodzie, mistrz zaproponował, aby za zgodą właścicieli i pod nadzorem policji uczeń otworzył kasę, z którą był problem. Antoni zrobił to wyjątkowo szybko i sprawnie, i w ten sposób znalazł się w kartotekach policyjnych jako potencjalny... kasiarz.

Wyróżniający się uczeń, po skróconym o rok okresie praktyki w zawodzie, ma wykonać jako pracę czeladniczą wierną kopię sztucera. Broń wzbudza podziw mistrzów częstochowskiego rzemiosła i wkrótce po egzaminie jako prezent przekazana zostaje do zbiorów w Warszawie.

Własną drogą

Zdolnym rzemieślnikiem interesują się firmy częstochowskie, które oferują mu dobre warunki zatrudnienia, ale dwudziestolatek nie chce wiązać się z żadną z nich, wierzy w siłę swojego talentu i ma pomysły na własną przyszłość.



Pan Antoni Sikora
z synami,
z lewej Leszek
ur. 1937 r.,
z prawej Andrzej
ur. 1935 r.

Na ulicach miasta pojawia się coraz więcej samochodów i motocykli, które potrzebują zaopatrywać się w benzynę. Stacje benzynowe w centrum miasta budują: Państwowa Fabryka Olejów Mineralnych „Polmin” w Warszawie oraz Standard-Nobel Polska. Jedna z nich powstaje w I Alei 12 (obecnie *vis-à-vis* DH „Seka”), a nadzór nad jej zainstalowaniem powierza się Antoniemu Sikorze.

W związku z tym, że nadzorujący budowę nie posiadał wymaganych do tego uprawnień, komisja z Warszawy, powołana do odbioru technicznego stacji, nie chce obiektu przekazać do eksploatacji. Po wielodniowych negocjacjach proponuje poddanie stacji próbie działania z użyciem o wiele wyższego niż dopuszczalne ciśnienia. Grozi to katastrofą, ale inwestorzy, pewni dobrze wykonanej pracy, wyrażają zgodę. Wszystkie podłączenia działają bez zarzutu, pan Antoni triumfuje, a wspomniana stacja benzynowa przetrwa wojnę i zostanie rozebrana dopiero w latach pięćdziesiątych XX w.

Młody rzemieślnik ma dla przemysłowców nietypowe propozycje: występuje z projektami usprawnień dla istniejących linii produkcyjnych. Otrzymuje zlecenia m.in. od właściciela „Iglarni”, dla którego opracowuje automatyzację linii produkcyjnej w zamian za procent od dochodu. Z podobnymi zleceniami zgłaszają się inne firmy.

We wrześniu 1939 r., po wkroczeniu Niemców, dostaje nakaz pracy w Niemczech. Ratyje go przed tym pełnomocnik przejmujący zarząd nad firmą „Elektrodyn” (ul. Staszica), w której realizował unowocześnienie linii produkcyjnej.

Czasy PRL

Jest styczeń 1945 roku, kończy się okupacja niemiecka, a pan Antoni ma plany rozbudowy zakładu i zatrudnienia nowych pracowników. Z zachowanych dokumentów wynika, że produkowane u niego urządzenia i kompletne linie produkcyjne znajdują nabywców także poza Częstochową.

9 stycznia 1953 roku spełnia wreszcie marzenie swojego życia. Przy ul. Warszawskiej 186 rejestruje nowo zbudowany zakład mechaniczny. Niestety, cztery miesiące później, 9 maja zakład zostaje przejęty przez władzę ludową, czyli przechodzi pod Przymusowy Zarząd Państwowy. Pan Antoni jest zdruzgotany, zabiera mu się dorobek życia. Komisje robią spis z natury i zapisują w protokołach każdy śrubokręt, każdy młotek i obciążki. Gdy prawowity właściciel odmawia ich podpisania, grożą represjami. Wtedy publicznie oświadcza: „To wszystko jest moje i nawet kamieni wam nie oddam!”. Jego walka o odzyskanie własności będzie trwała wiele lat.

Pięćcioosobowa rodzina Sikorów zostaje bez środków do życia. Pan Antoni zostaje pozbawiony podstawowych narzędzi, którymi mógłby zbudować nowe urządzenia. Nie poddaje się, walczy o swoje, pisze – zachowane do dzisiaj elaboraty – do ówczesnego ministra handlu Hilarego Minca i innych osobistości, ale bez efektu. Nauczony nieustępliwości w dążeniu do celu wie, że musi liczyć na siebie. Z dobrze prosperującego przedsiębiorcy zmienia się w złomiarza. Z wydobytych na złomowiskach części maszyn, przy wsparciu znajomych i życzliwych mu rzemieślników, buduje najpierw tokarnię. To bardzo ważny moment. Równolegle walczy z urzędnikami usiłującymi wyszarpać jak najwięcej z jego własności.

Przygotowuje pierwszą produkcję. Wszystko jest gotowe, ale maszynie brakuje silnika. Pan Antoni nie zwykł się załamywać. Buduje „chomąto” – rodzaj kieratu, który napędza człowiek. Zaprzącąją się do niego kolejno synowie: osiemnastoletni Andrzej i szesnastoletni Leszek. Maszyna działa. Jak piszą wnuki pana Antoniego: Dorota Sikora-Banasik i Michał Sikora, którzy w obszernej książce pt. *W chmurze naszej Pamięci* opisują historię swojej rodziny:

„zakłady prywatne, obok systemu państwowego nadzoru, wykonywały produkcję na potrzeby rynku, który funkcjonował równolegle do oficjalnego, sterowanego gospodarką centralną... Przykładem może być tutaj produkcja medalików, która z racji bliskości w Częstochowie Jasnej Góry, miała tutaj duży zbył. Najpierw przerabiano monety dziesięciogroszowe na medaliki z Matką Boską. Prasa biła na monecie odcisk postaci Madonny, czasem nawet nie do końca zacierając pierwotny wzór. Z tego też powodu Antoni produkcję udoskonalił. Sikory kupowali garnki aluminiowe podrzędnej jakości, a następnie przetapiali je na blachę aluminiową, z której prasą wycinali medaliki oraz odbijali wzór. Ponieważ ilość metalu przydzielana do warsztatu drobnych wytwórców była ściśle nadzorowana i wyliczana, nie można było odpadów normalnie wyrzucać na złom. Ponownie roztapiali więc ścinki pozostałe po produkcji i zastygłe w emaliowanych miskach zakopywali w ustronnych miejscach”.

Początki przyjaźni

Mniej więcej w tamtym czasie los zetknął mnie z synami pana Antoniego, najpierw z Leszkiem Sikorą, a potem z Andrzejem i przyjacielskimi więzami łączył przez całe życie, a obecnie z ich dziećmi. Już wówczas, w latach 50., sporo wiedziałem o talentach ojca moich kolegów, ale on, rozgoryczony doświadczeniami z nową rzeczywistością, separował od zewnętrznego otoczenia życie swojej rodziny. Bardzo byłem go ciekaw, ale dygotałem przed jego legendarną surowością, a także nie śmiałem dotknąć żadnego z jego warsztatowych skarbów. Ostatecznie byłem jednym z pierwszych z grona kolegów jego synów, którym wolno było wejść na „zakazany” teren i skorzystać z jego dobrodziejstw. Dla użytkownika najpierw motocykla, a potem syreny, usiłującego we własnym zakresie naprawiać pojazdy, była to wszechstronna szkoła władania narzędziami i rozumienia praw metalu, która bardzo przydała mi się w życiu.

W tym też czasie pan Antoni nadal wyluskiwał ze złomu części, aby przygotować produkcję unikalną na skalę kraju: produkcję elementów do wentyli samochodowych. Trudno w to uwierzyć, ale tak było. Zbudowane przez niego urządzenia – w systemie trzymianowym – produkowały detale, a w Rzemieślniczej Spółdzielni Pracy „Elektro-Radio-Mechanika” pracownicy dodawali do nich niezbędne elementy i składali w całość.

Byłem świadkiem, jak przedstawiciele PKS w Bydgoszczy przyjechali do pana Sikory, błagając o poratowanie ich kilkunastoma sztukami wentyli, niezbędnych do uruchomienia autobusów. Tak funkcjonowała wówczas gospodarka planowa PRL.

Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte to budowanie przez pana Antoniego bardziej zaawansowanych technicznie maszyn wieloczynnościowych. Tworzył je, wzbudzając podziw konstruktorów ówczesnych zakładów państwowych. Urządzenia te pracowały jeszcze w latach dwutysięcznych i nadal są sprawne.

Zdarzało się, że spotykałem go w warsztacie samotnie palącego papierosa, skupionego i kreślącego coś na kartkach, które potem – włożone między okładki wiekowego brulionu – lądowały w przepastnej szufladzie warsztatowego stołu. Mimo ogromnej ciekawości i perspektywy fascynującej rozmowy, nigdy nie miałem śmiałości zapytać, co nowego tworzy. Wycofywałem się po cichu i wymawiałem tylko w myśli: ARTYSTA.

Czas biegnie, część rodziny Sikorów kontynuuje dzieło przodków, choć już nie korzysta z maszyn zbudowanych w PRL-u przez dziadka Antoniego, bo inne są wymogi nowoczesnych technik skrawania metali. Części wyprodukowane przez firmę Jacka i Pawła Sikorów znajdują się m.in. w zbudowanym przez studentów Politechniki Częstochowskiej – Łaziku marsjańskim. Ale to, co stworzył Dziadek Antoni Sikora blisko siedemdziesiąt lat temu, wciąż otaczane jest szacunkiem i żyje w pamięci jako najwyższe dobro rodzinne.



Chwila zabawy z najstarszym wnuczkim A. Sikory, Pawłem. To on z bratem Jackiem są kontynuatorami jego dzieła

Maciej Rudlicki

WOLA WIĘKSZOŚCI



Tak wiele, tak bardzo wiele oczekiwała ludzkość od demokracji! Walka i nadzieja wywodząca się z potrzeby uszanowania ludzkiej godności, krwawe zmagania o wolność obywatelską i humanitaryzm, trwają już od ponad 2,5 tys. lat.

Według Arystotelesa demokracją nazywamy ten ustrój, w którym realizowana jest zasada równości obywateli. Naczelną zasadą demokracji, którą stosowali starożytni Grecy, jest wola większości. Wobec tyranii jedynowładztwa, tak powszechnie obecnej wcześniej, była to zmiana o ogromnej sile jakościowych przeobrażeń w sprawowaniu władzy i ludzkiej mentalności. Rozbudzone oczekiwania okazały się jednak znacznie trudniejsze do urzeczywistnienia niż wyobrażenia o nich. Ludzkie wady i przypadłości, dążenie do władzy za wszelką cenę, chciwość, egoizm, uznawanie przeciwników za wrogów, brutalność, a czasem potrzeba zemsty – w znaczący sposób unicestwiały ważne i mądre założenia. Wracaly więc rządy dyktatorów i tyranów, ale idea demokracji przetrwała i często wyłaniała się zwycięska, nierzadko w połodze krwi i ofiar. Jest więc i istnieje nadal we współczesnym świecie, mocno pokiereszowana, w wielu zmodyfikowanych postaciach, tak różnych w przywołujących ją do życia państwach. Jej główne założenia są kanonami życia społeczeństw, choć ich interpretacja to już zupełnie inna sprawa, zwłaszcza w poglądach walczących o władzę polityków.

Każda idea bowiem najpiękniej wygląda na papierze i jak dobroć oczekiwana wyłania się proroczo z konstrukcji słownej. Każda idea w realnym życiu zakłada szatę utkaną z ludzkich wad i namiętności, a wtedy wygląda jak dziecko nie tych rodziców.

Czy w sformułowaniu „wola większości” jest coś niezrozumiałego? Nie sądzę.

W potocznym rozumieniu, a o takie przecież chodzi, wszystko jest jasne i czytelne. Oto jakaś społeczna większość wytycza drogę dla całości. Wszakże doświadczenia ludzkości z realną demokracją są tak skomplikowane, że uprawnionym jest zastanowić się bliżej, jaką rzeczywistą treść może w sobie zawierać, a w konsekwencji, jakie to może mieć społeczne znaczenie.

Nie jest moim zamiarem dokonywanie odkryć, do czego nie czuję się upoważnionym i dostatecznie wyposażonym w możliwości, ale mam prawo wypowiedzieć się jako członek zbiorowego podmiotu, jakim jest społeczeństwo, który to podmiot jest zbyt często obiektem nieustannych bolesnych ustrojowych eksperymentów.

Czym zatem jest wola człowieka? Św. Augustyn twierdził, że wola człowieka to dar Boga, a jeśli Bóg obdarza nas ponadto swoją łaską, to wtedy możemy czynić nie tylko zło, ale i dobro. Św. Tomasz z Akwinu uważał, że rzeczywiście Bóg daje nam wolną wolę, ale o tym, czy czynimy dobro, czy zło, decydujemy sami, bo w tym się ona wyraża. W tradycji filozoficznej wola to zdolność dokonywania wyborów. Kartezjusz i Kant pojmowali ją jako rozum praktyczny, który kieruje naszym postępowaniem. Zupełnie odmienny pogląd w swojej pracy pt. *O wolności ludzkiej woli* wyraził Artur Schopenhauer, który twierdził, że wolna wola nie istnieje, ponieważ tak rozumiana wola jest ślepym popędem sił przyrody. Jego zdaniem ludzkie postępowanie wynika z tzw. przyczyny koniecznej, bez której ludzkie działanie nie ma sensu.

Oto zaledwie mały i powierzchowny przyczynek w kształtowaniu się myśli ludzkiej jako próba odpowiedzi na zadane pytanie.

Pozostanę jednak przy języku potocznym, bo przecież nie chodzi tu o filozofię, a o praktykę człowieka w codziennym życiu. A więc kiedy mówimy o woli większości, to o jakiej woli mówimy?

Po pierwsze, czy jest to wola świadoma, oparta o posiadaną wiedzę, wynikająca z rzetelnego obywatelskiego przemyślenia? Czy jest to wola, która w zgodzie z własnymi poglądami potrafi jednak dostrzec nadrzędną rolę interesu ogólnego?

A może jest to wola spowodowana niewiedzą, przypadkowością, chwilowymi okolicznościami, nacechowana przewagą emocji?

Wreszcie, czy w ogóle jest to moja wola jako skutek własnych przemyśleń, czy też stan bezwolnego poddania się manipulacji medialnej spreparowanej przez zawodowych fachowców, tak powszechnie dziś obecnych w dyskursie społecznym, oferujących dla leniwych gotowy produkt?

Otóż wydaje się, że wszystkie te przypadki mogą mieć wpływ na okazywanie, zwłaszcza w wyborach do parlamentu, prezydenckich czy samorządowych, woli wyborców, formalnie uważanej za ich własną. Warto więc zastanowić się, na ile każdy z nas ma odwagę, w zgodzie z własnymi poglądami i poczuciem odpowiedzialności wobec innych, taką wolę wyrazić.

Samo określenie – wola większości – zwłaszcza po wygranych przez jakieś ugrupowanie wyborach, w dyskusjach politycznych i medialnych nabiera wręcz magicznej mocy. Oto my, którzy mamy rację, oto my – wybrańcy ludu, których skroń wieńczy laur zwycięstwa. Samozachwyty wygranych często zaciera kontury ostrych problemów czekających na rozwiązanie, a polityczne bachanalia zwycięzców, ich ideowych i interesownych wielbicieli, przytłaczają dominującą nad realnością życia. Wyrażana w wyborach pewność programowa i organizacyjna przeistacza się teraz, po wyborach, w wiarę świętą, jako najwyższy dowód dobrego wyboru. Teraz nikt już nie myśli o mniejszości, bo po pro-

stu oni nie mają racji. Czy na pewno? Nad tym nikt się nie zastanawia, ani wyborcy, ani rządzący i w zasadzie nie skłania do tego system konstytucyjno-ustrojowy państwa. Niewielka skala protestów i tak prawie nic tu nie wnosi. Mimo konstytucyjnych praw obywatelskich, poglądy przegranych, wyrażające wolę czasem znaczącej ilości wyborców i możliwe, że przyszłych wygranych, nie otrzymują należnego zainteresowania. Myślenie klasy politycznej w kategoriach przyszłości i ciągłości państwa, jako warunków budowania do niego zaufania – prawie nie istnieje.

Mam śmiałość stwierdzić, że w pewnym sensie znaczna część obywateli godzi się na to, zachowując się jak kibice politycznej wojny totalnej.

To co opisuję nie jest nową chorobą demokracji. Wynaturzenia i negatywne skutki w jej funkcjonowaniu znane były od dawna i próbowano im zaradzić, ponieważ dostrzeżono, że zagrożenia dla wolności obywatelskiej bywają bardzo podstępne.

W drugiej połowie XIX w. zwrócił na to uwagę Anglik John Stuart Mill w eseju pt. *O wolności* traktującym o kwestii władza a wolność obywatelska. Ciekawym jego spostrzeżeniem było to, że ludzie sprawujący władzę, także w systemie demokratycznym, to nie ci sami ludzie, którzy władzy podlegają. Myślę, że różnica ich interesów nie wymaga wyjaśnień. Tolerancja i prawo do zachowań własnych, realizowanie potrzeb i różnych zainteresowań, odmiennych od przejawianych przez większość, to przecież jeden z podstawowych elementów demokracji. W nierespektowaniu tego stanu rzeczy Mill upatrywał poważne zagrożenia dla obywatelskiej wolności i nazwał to tyranią większości nad mniejszością. Dodał, że we właściwie funkcjonującym społeczeństwie demokratycznym – prawo powinno chronić jednostkę przed rozmaitymi opiniami społecznymi, nie zważając na opinię większości.

Tłumienie poglądów niezgodnych z opinią większości jest niewłaściwe dlatego, że pogląd odmienny może okazać się prawdziwy. Tylko konsekwentne respektowanie otwartej i rzeczowej dyskusji może dać szansę na korygowanie opinii błędnych. Nie sądzę, że poglądy Milla są dzisiaj zaskoczeniem dla kogokolwiek z myślących obywateli. Współczesny świat dostarcza nam wystarczających dowodów, że na tę chorobę demokracji (nazwijmy ją chorobą Milla), tak jak na SARS-CoV-2, nie ma ani szczepionki, ani skutecznego leku. Ale czy nie stać nas na jej łagodzenie, na pomysły rozmaitych terapii, wywodzących się właśnie z woli większości w imię dobra wspólnoty?

Czy nie można podjąć wysiłku edukacyjnego, by wpajać młodzieży nie tylko teorie, ale uczyć, jak być odpowiedzialnym obywatelem, jak w zgodzie z własnym poglądem dokonywać odpowiedzialnego wyboru z korzyścią dla własnego państwa? Czy nie warto podjąć wysiłków na rzecz odpowiednich ustaw czy przepisów, aby wybrane urzędy i instytucje kontrolne państwa były obsadzane przez opozycję? Dlaczego na drodze odpowiednich przepisów nie wymagać od partii startujących w wyborach obowiązku przedłożenia do wiadomości publicznej swojego programu wg ustalonego wzoru, jako warunku bezwzględnie koniecznego? Jakże racje decydują o tym, że nie ma obywatelskiego obowiązku głosowania, skoro państwo ma rozliczne obowiązki wobec swoich obywateli? Czy naprawdę nie można, zmieniając pewne procedury sejmowe, nie dopuścić w przyszłości do procedowania przez większość sejmową ustaw w trybie zgody mafijnym? I wreszcie, czy znajdzie się kiedyś taki ktoś, kto wytłumaczyłby Polakom, dlaczego korzystnym jest dla Szwajcarów nie mieć w ogóle opozycji politycznej, ponieważ do ich rządów, zgodnie z ich prawem, wchodzi przedstawiciele wszystkich partii politycznych w ilości proporcjonalnej do wielkości partii? Czy naprawdę nie można się nad tym wszystkim zastanowić? Odpowiedź brzmi – można. Niestety, towarzyszy temu utrwalona przez setki lat swoj-

ska kłótność i nieufność wobec racjonalnego myślenia, a ponadto postawa typu TKM i słodkie poczucie zemsty. Widocznie Szwajcarzy są z kosmosu...

Obserwując realia naszego polskiego życia, można bowiem odnieść wrażenie, że szanowanie własnego państwa, które tak łatwo straciliśmy i które z takim trudem odzyskaliśmy – nie wywołuje u wielu należnego obywatelskiego poczucia odpowiedzialności. Bo tak naprawdę na Jego straży nie tyle stoi Konstytucja i system prawny, ile świadoma wola jego obywateli, potrafiących w swej różnorodności poglądów zbudować wspólnotę. Tylko wtedy Konstytucja i system prawny, zgodnie interpretowany, stają się prawdziwą tarczą ochronną demokracji i poczucia bezpieczeństwa. W tym kontekście warto znów przypomnieć Arystotelesa, który twierdził, że jeśli lud nie stosuje prawa, to sam staje się monarchą i despotą.

Budowanie państwa demokratycznego w XXI wieku w warunkach wszystkich komplikacji, jakie niesie współczesność, nie może się odbywać bez autorytetów moralnych i naukowych. Przy zachowaniu pełnego szacunku dla wszystkich grup społecznych, współczesnym państwem nie można kierować metodą wiecu ludowego swoich popleczników. Tym bardziej godne najwyższego potępienia są prymitywne ataki na ludzi nauki o ogromnym dorobku, tylko dlatego, że w imię swej wiedzy mają inne zdanie niż tzw. wola większości.

Ktoś powiedział, że wyborów nie wygrywa się w dużych miastach, lecz na prowincji. Może to organizacyjnie słuszne, ale struktura społeczna się zmienia i ludzka mentalność także. A po drugie, kryje się za tym pewien rodzaj cynizmu, który dla politycznego zysku przekształca toczony z należną powagą wyborcze dyskusje w teatr marionetek, gdy dążenie do władzy staje się celem samym w sobie.

Piszę te słowa w dniu 76. rocznicy Powstania Warszawskiego. To wtedy, w zgrupowaniu „Baszta” na Mokotowie, na rogu ulic Puławskiej i Odyńca stała barykada, a wśród żołnierzy-powstańców walczyła młoda dziewczyna pochodząca z Częstochowy – Janka, moja matka. Powstanie przeżyła i po kapitulacji uciekła z transportu jeńców. Zostawiła mi część swojego bólu i potrzebę zadawania pytań, pytań ważnych dla naszej polskiej przyszłości. Dziś świat jest inny, ale potrzeba zadawania takich pytań nadal istnieje.

Umocowanie naszego państwa w Unii Europejskiej daje dużą dozę pewności i nadziei. Przyszłość nie jest wszakże gwarantowana automatycznie. Może być tylko rezultatem takiej woli większości, której musimy się jeszcze nauczyć. Owszem, zbudowaliśmy wolne państwo – ale nie zbudowaliśmy wspólnoty. Osiąganie zgodności przy różnorodności poglądów obywateli może być naszym potencjałem dla nadziei, pod warunkiem, że ów potencjał będzie większy niż nasze wady.

1.08. 2020 r.

Tomasz „Aztzenty” Barański

BAUHAUS – BEZPOŚREDNI KONTAKT Z MISTERIUM



Cóż wiemy o Bauhausie (niem. Staatliches Bauhaus, Hochschule fuer Gestaltung) w pierwszej połowie XXI wieku? Aż trudno uwierzyć, że jest to dziś rodzaj zabytku, który liczy sobie ponad sto lat! Ta „wieczysta” awangarda, genialny przebłysk (a raczej „przed – błysk”) nowoczesności, dla niektórych może być już ramotą. Ja nie podzielam tego zdania i gdy tylko dowiedziałem się o zorganizowanej w Pawilonie Wystawowym SARP w Warszawie wystawie pt. „Cały świat to Bauhaus” – wiedziałem, że muszę tam być, gdyż modernizm, którego właśnie Bauhaus jest symbolem, stanowi dla mnie rodzaj osobistej świętości. Mam także cichą nadzieję, iż kilka przeze mnie stworzonych prac literackich może być uznanych za wywodzących się z tego nurtu, a nawet za jego kontynuację!

Nim przejdę do konkretów – to już na wstępie parę słów o ogólnej atmosferze, unoszącej się wokół całego tego, powiedzielibyśmy dzisiaj, happeningu. Targały mną emocje już w momencie wyłapywania informacji o wystawie w TVP Kultura, a gdy znalazłem się na miejscu, od razu przemówiły do mnie, już z daleka, wszelakie dziwne barwy, kształty, kompozycje, przedmioty i zdjęcia. Jeśli znało się ten nurt tylko i wyłącznie z książek, czasem z telewizji lub innych mediów – to trudno było uwierzyć, że to istnieje naprawdę albo że nie jest zapomniane w toku innych wydarzeń, jak wojny, kryzysy, a nawet współczesna rewolucja informatyczna oraz natłok różnych nowinek w sztuce. Dla mnie Bauhaus zawsze będzie pierwszy i jedyny, szokujący do dziś, nieodkryty do końca, ciągle intrygujący i inspirujący i chyba „niepobity” przez nikogo i przez nic. Dodam jeszcze, iż chwala tym, którzy tę wystawę przywieźli do Polski oraz to, że udało mi się ją zobaczyć w dobie szalejącej pandemii (co również przysporzyło wielu kłopotów).

Na początek krótka retrospektywa – Bauhaus, mimo że został zamknięty przez hitlerowców w roku 1933 po czternastu zaledwie latach istnienia, był n a j w a ż n i e j s z y m eksperymentem XX wieku w dziedzinie projektowania, a ukształtowane tam ideologie, przekonania i metody nauczania do dziś nie straciły na aktualności. Ta artystyczna uczelnia została założona w roku 1919 w Weimarze (Niemcy) w wyniku połączenia Akademii Sztuk Pięknych i Szkoły Rzemiosł Artystycznych. Inicjatorem i pierwszym dyrektorem Bauhausu był Walter Gropius. W 1925 roku instytucja została przeniesiona do Dessau,

gdzie Gropius wznosił zespół nowoczesnych gmachów szkolnych (z warsztatami i pomieszczeniami dla studentów), a także osiedle domków dla wykładowców (ze swej strony przyznam, że przypomina mi to swą strukturą klasztor, w dodatku mistyczny). Niektóre obiekty nie dotrwały do naszych czasów, jak np. słynna Wieża Einsteina – gdyż zostały zburzone przez nazistów. Powstanie tej szkoły było uwieńczeniem wszystkich wysiłków reformatorskich XIX i początków XX wieku, mających na celu propagowanie wartości artystycznych w produkcji przemysłowej.

Założyciel szkoły wierzył w „podstawową jedność wszystkich gałęzi projektowania” i aby to udowodnić, otoczył się najbardziej utalentowanymi ludźmi swojego pokolenia, takimi jak: Klee, Kandinsky i Moholy-Nagy. W programie uczelni Bauhaus w Weimarze w 1921 roku Walter Gropius wysunął postulat sztuki totalnej (*Gesamtkunstwerk*), czyli że „Bauhaus dąży do połączenia całej twórczości artystycznej w jedność, do ponownego zjednoczenia wszystkich dyscyplin sztuki użytkowej – rzeźbiarstwa, malarstwa, rzemiosła i rzemiosła artystycznego – w jedną nową architekturę, której te dyscypliny będą stanowić nieodłączne części”. I dalej: ostateczny, choć odległy cel Bauhausu – to jednolite dzieło sztuki – wielkie budownictwo – w którym nie będzie już granic między sztuką monumentalną a ozdobną. Wynika z tego, iż celem nadrzędnym Bauhausu jest kształcenie architektów, malarzy, rzeźbiarzy, zależnie od ich umiejętności, na solidnych rzemieślników lub samodzielnych artystów. Stworzenie miejsca umożliwiającego wspólną pracę wybitnym artystom i tym początkującym, tworzącym sztukę użytkową – tak żeby razem potrafili zaprojektować całość budynku – konstrukcję, wykończenie, dekorację i wyposażenie – wszystko w jednym duchu!

Podstawowym celem, który zresztą osiągnięto, było wypracowanie prostych, rzeczowych i funkcjonalnych form architektonicznych, opartych na znajomości współczesnych materiałów budowlanych i rozwiązań konstrukcyjnych, gwarantujących organiczną jedność estetyczną i techniczną dzieła. Bauhaus obejmował, obok dyscyplin ściśle technicznych, wszechstronne wykształcenie plastyczne i praktyczne zaznajomienie się z rzemiosłem artystycznym, zastąpienie ornamentu funkcjonalnością, co do dziś stanowi istotę nowoczesności.

W niektórych swoich projektach Bauhaus zbliżał się do idei sztuki totalnej – w 1921 roku studenci uczestniczyli w projektowaniu znajdującego się w Berlinie „domu Sommerfelda” autorstwa Waltera Gropiusa i Adolfa Meyera. W 1923 roku liczni członkowie różnych pracowni wspólnie działali przy zaprojektowanym przez malarza i mistrza Bauhausu – Georga Muchego eksperymentalnego domu Haus am Horn. Otworzone w 1926 roku przez W. Gropiusa budynek Bauhausu i domy mistrzów w Dessau również są dziełami sztuki totalnej, powstałymi w oparciu o zasadę kooperacji między pracownikami. W ten sposób powstały meble z metalu i drewna, lampy (właśnie w przypadku choćby i tych zwykłych dla nas dzisiaj lampek na biurko możemy się przekonać, jak wiele wniósł Bauhaus do naszej obecnej współczesności – do dziś są oryginalne i gdyby nie wiekowa już warstwa kurzu, czasem rdzy bądź rozszczepień przy kablach, śmiało można by o nich powiedzieć, iż mają nowoczesny *design*) – oraz kolorystyczne koncepcje pomieszczeń.

Ale jeszcze i inne elementy sztuki wykreowane przez instytucję Bauhausu są szokujące, np. obecne na wystawie projekty bądź fotografie, przedstawiające różne konstrukcje (najczęściej architektoniczne), są nam, współczesnym, dziwnie znajome – na przykład te przeszkłone wieżowce... Nie zdajemy sobie nawet sprawy, ile zawdzięczamy Bauhausowi!

Dodatkowo jeszcze odnotować trzeba, iż ambicja tworzenia sztuki totalnej przejawiała się także w działalności pracowni teatralnej. Ekspresjonistyczne przedstawienia Lothara

Schreyera w uczelni w Weimarze radykalnie łączyły ze sobą język, gesty, kolory i rzeźbę. Także koncepcja teatralna Laszlo Moholy-Nogya, takie jak „Szkic partytury na rzecz mechanicznej ekscentryczności – synteza formy, ruchu, dźwięku, światła (koloru) i zapachu”, mają charakter sztuki totalnej czy też dzieła całościowego – jak formułował to Moholy-Nagy.

Teraz o samej wystawie. Według Borisa Friedewalda, kuratora wystawy, jest ona podzielona na osiem stref tematycznych, pokazuje różnorodne i frapujące aspekty twórczości i życia Bauhausu – jednej z najważniejszych uczelni XX wieku (działalność swą zakończyła całkowicie po rocznym pobycie w Berlinie w roku 1933 za sprawą nazistów, aby już nigdy się nie odrodzić). Ekspozycja zawiera fotografie i właśnie one, oprócz tego, że przedstawiają wielce oryginalne i ciekawe przedmioty lub obiekty, pokazują także ówczesnych ludzi – ludzi niezwykłych, ogarniętych pasją i entuzjazmem, po których widać, że czują się prorokami nowych idei. Dodam, że miałem wrażenie, iż wychodzą ku nam wprost zza szklanych obramowań. Nie mogę się też oprzeć wrażeniu, że niektóre szczegóły ekspozycji przerastają nawet nasze czasy, jakbyśmy mimo upływu stu lat wciąż nie dorośli do tamtej epoki! Oprócz zdjęć pokazywane były prace na papierze, modele, dokumenty, filmy, teksty oraz obiekty, które zapraszają do odkrywania proponowanych przez Bauhaus wielu szczegółowych koncepcji i rozwiązań na rzecz nowoczesnego podejścia do architektury, przedmiotów codziennego użytku, malarstwa i sztuk scenicznych, a nawet określonych modeli pedagogiki. Celem tych działań było zawsze zapewnienie odpowiednich warunków życia dla człowieka i jego otoczenia. W każdej strefie tematycznej wystawy, w oparciu o jeden obiekt ukazane są biografie przedstawicieli słynnej uczelni, pokazujące, co łączyło, a co dzieliło ich drogi życiowe.

Podczas czternastu lat swojego istnienia Bauhaus był instytucją, która wciąż definiowała się na nowo. Kierunek działalności był tematem nieustannych dyskusji, polemik i sporów w gronie jego dyrektorów oraz mistrzów prowadzących zajęcia w pracowniach studentów. Różne opinie prezentowane w Bauhausie, w tym ówczesna jego krytyka, zostały na tę wystawę przygotowane w formie dźwiękowej. Zresztą dyskusje na temat kontrowersji związanych z misją i znaczeniem Bauhausu toczyły się nie tylko na samej uczelni, ale i poza nią i trwają do dziś. Przypominają o tym plakaty z fragmentami wypowiedzi różnych osób publicznych, pochodzącymi zazwyczaj z artykułów prasowych z okresu od roku 1945 do dziś. Pokazują historię recepcji Bauhausu i zmianę jego znaczenia na przestrzeni czasu.

Nic nie odda klimatu, który został zamrożony w wystawie „Cały świat to Bauhaus” (określenie to stworzył w 1928 roku student Fritz Kuhr). Zobaczenie kompozycji plastycznych, na których się wychowałem, wciąż mnie obezwładnia, są w mojej głowie jak swego rodzaju słupy milowe i naprawdę cieszyłem się jak dziecko, widząc te szokujące kształty, kompozycje, eksperymentalne zestawienia różnych elementów, pozornie do siebie niepasujących. Klimat tamtej pionierskiej epoki może się tylko przyśnić lub też niespodziewanie ujawnić podczas krótkich błysków pamięci tego, co się zapamiętało albo co się zapomniało w życiu, które mogą umilić codzienne życie. Wystawę po prostu zapamiętam.

Wykorzystano:

– Magazyn *Parwilon Wystawowy SARP*, Warszawa 2020, nr 6.

– G. Naylor, *Bauhaus*, przeł. E. Biegańska, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977.

Roman Wyborski

„ROZMYŚLANIA...”



Rozmyślnie niekrytyczne

Pustka „krytycznej oceny” na pustyni „wydarzeń kulturalnych”... Wedle *Przepowiadania* Bogdana Knopa czemuś takiemu „poddawałby” jeden z autorów G53, RW, zanim prawie wszyscy poddali Się rozporządzeniom (sic!) stanu wiruso-wojennego. Niewinnie typowe zdanko nabierało (pan/epi/en) demicznie zwielokrotnionych znaczeń. Akurat wtedy – i teraz – Się przydał Steinbecka cytat z kolejnego, reportażowo smakowitego dzieła Gerta Maka w tłumaczeniu holenderskiej częstochowianki, Małgorzaty Woźniak-Diederer (wypadałoby dodać: kolejnego „wydarzenia kulturalnego” z Jej cennym wkładem, do czego nawiążę poniżej): „Moim wielkim przestępstwem wobec literatury jest to, że za długo żyję i za dużo napisałem, wiele prac na nie najwyższym poziomie – pisał w 58 roku do przyjaciela Elii Kazana – Ale ja kocham pisać... Uważam się za pisarza. Nie wiem, co robi autor”. Przypomina Się pisarz Herling-Grudziński, który nie chciał być „literatem” (1994) i pisarz Nowakowski (1989), niepozwalający księdzu w stanie wojennym lat 80. na „katolicki” przy podziemnie kościelnym przedstawieniu pisarza. Rzecz o tym właśnie.

Za długo..., za dużo... – orzekł był... wirus i domniemane „wszystko” zastygło, skamieniało. Ale prawdziwe życie trwało i czekało, aby „połaciński” *auctor* sprawiał. Przede wszystkim i po prostu. Darem sprawiania ob-darzał. Dzięki *auctorowi* Się darzy, zdarza, wydarza i co tam jeszcze. Więc potoczne „wydarzenie” należałoby objąć cudysłowem właśnie, tym bardziej wobec dobrobytem nadymanej skłonności do... *ewentów* wszelakiej próżności. Z kolei przymiotnik „kulturalne” (katolickie, etc.) podpadałby pod niegdysiejsze (sprzed pół wieku...) prawo Fedorowicza znoszenia desygnatu przez *adiectivum*. Zasadność takiego prawa, oryginalnie odniesiona do – na wszelki wypadek – nadużywanego wówczas przymiotnika „socjalistyczne”, sprawdza Się w dowolnych tekstach i kontekstach. Im dalej od życia, tym głośniejsze „kulturalne”. Tu należałoby przypomnieć, *primo*, przyczynę użycia niefortunnej syntagmy, tj. dar autora Dudy Gracza dla Jasnej Góry, więc narodu, czyli ludzkości, *secundo*, przyczynę wtórą, wykrzyczane marzenie RW, aby „naród” wreszcie (!) TO zauważył, uznał, celebr(yt)ował, innymi słowy – brak tamże „wydarzania kulturalnego”.

Coś podobnego dałoby Się orzec o miesiącach pandemii, które pozornie pozbawiły domniemaną ludzkość rzeczonych „wydarzeń”. Czy Kultura (wielką literą!) na tym ucierpiała? Bynajmniej, a nawet przeciwnie. Ze swej natury oddolnie korzenna i korzeniowa miała swój Czas (koniecznie wielką literą!) i szanse, aby powszechnie – w każdym z osobna, w całodobowym byciu z sobą najbliższymi – nabierać mocy, wzrastać, z wiosną kwitnąć, latem owocować.

W końcu wypada Się zająć osobno i razem „krytyczną oceną”. Upraszczając pozytywnie, dla wszelkiego (f)aktu o „cenie” mówi porównawcza – najprościej liczbowa – skala tzw. wartości z ambicjami ich obiektywności. „Pogrecka” krytyczność – od *krisis* przez francuski *cri* – krzyk, co kilka wieków wносиła nowe znaczenia do dialektów europejskich, wiele dziedzin obdarzając pojęciami na tyle rozbieżnymi, iż zdecydowanie tego, co je łączy, byłoby wdzięcznym ćwiczeniem filozofii języka. Mimo takich pozytywności wydzźwięk obu słów byłby subiektywnie negatywny. Może to wina szkoły, może kościoła, może „komuny”, wszystko jedno, nie tą *genesis* Się tu-i-teraz zajmuję. Nie ma jednego bez drugiego, a typowa ich redundancja służyłaby trywialnemu (d)efektowi wzmożonej uważności, zaś przyłożona do „wydarzenia” (f)aktem uzurpacyjnej przemocy.

A jest to przemoc pośrednika i pasożyta w jednej osobie. Nie ma Się o co obrażać; *homo* ze swej natury jest pasożytem najbardziej szkodliwym dla tejże natury. W takiejż to osobie nie do pogodzenia byłby autor i krytyk. Albo-albo..., mówiąc Kierkegaardem. Albo: dotąd krytyk, odtąd autor.

Ta rozłączność konkretnie opisywałaby rolę tłumacza: krytyczny – choćby zafascynowany... – czytelnik autora w jednym języku w jakimś momencie dopiero staje Się autorem samoistnego przekładu na wybrany przezeń język, rodzimy czy wtóry. Długa jest lista tłumaczek i tłumaczy, często znakomitych. Coraz dłuższa byłaby lista dzieł pani Diederer, Małgosi Woźniakówny, licealistki Włodzimierza Kolmana (dodajmy: najpierw (1980) lidera nauczycielskiej „Solidarności”, potem (1990) kuratora oświaty), w którego domowej bibliotece znajdują się kolejne przez Nią sygnowane tomiska – „wydarzenia kulturalne” w przestrzeni nie tylko holendersko-polskiej. Wypada zatem doń powrócić głębiej i szerzej. Wszak interpretator *buduje wspólnotę ekklesii* – Koryntian nauczał Paweł z Tarsu w *Listach* autorsko fundamentalnych i dla Literatury, i dla Kościoła.

Się rymuje (9 sierpnia) Rym(kiewicz)em do Rejtana

Osobno rymem, osobno Rymkiewiczem. Rymowanego współbrzmienia na próżno wypatrujesz i nasłuchujesz we wzniosłościach ducha poezji z przymiotnikiem współczesna. Częściej semantycznie i przenośnie Się rymuje coś z czymś, przykładowo 9 sierpnia z... Rejtanem, tego dnia samobójcą. Ale najpierw Rymkiewiczem, jeszcze nie wiszącym. Nie, nie jak Traugutt (5 sierpnia), a na honorowej, oczywiście, ścianie zasług niepospolitych dla Pospolitej Trzeciej.

Na prawie trzystu stronach prawie wiekowy profesor literatury agonię rozbieranej *Pierwszej* zrymował tytułowym *Upadkiem* z (przedrozbiorową?) *Trzecią*, dodając doń społeczną potrzebę też tytułowego *Wieszania*. Zatem nekropatriotyzm – Sierpień, jak *noblesse oblige* – rymowałby tysiące samobójców z powieszonymi, a nawet z *wieszatielami*, bo i ten wzorzec zaśmieszył był jakiś fragment dziejów naszego skrawka Europy, czego dowodem nieszczęsny, być może beatyfikowany, przywódca roku 1864.

Rejtan zabił Się, tj. Go zabił – podobno – bzik, czyli obłąd. Pod podmiotowym Się rok ów 1772/3, wedle Rzewuskiego i Matejki, upchnął prawie nieograniczoną liczbę sprawców upadku – na oczach posłów pod drzwiami Izby rozbiorowej – pana na nowogródzkiej Hru-



szówce – oraz upadku – na oczach Europy – Państwa wiek wcześniej zajmującego na Wschodzie milion kilometrów kwadratowych Jej terytorium. Nie; nieżonaty, posażny trzydziestolatek nie wtedy w stolicy pchnął Się byle nożem. Kilka lat później, u siebie, tak po cichu, że do dziś o tym głośno.

Domniemanemu obłąkaniu przypisano powyżej dwa miana, powiedzmy, literackie, a nawet tytuły: teatralnym „Bzikiem...” Jarzyna obciążył Witkacego, a „Obłądem...” Zychiewicz mickiewiczowskie 44, sierpniowe, dodajmy.

Czułe ucho i śpiewne struny Jacka Kaczmarskiego zrymowały obu samobójców porozbiorowych: Rejtana po pierwszym, z Witkacym po czwartym, 18 września. Nawet *Rymowaną* nazwał był śp. Jacek pośmiertne *qui pro quo* z odkopaniem i zakopaniem zakopiańskiego „wariata”. Ta nośna syntagma puentuje, *pardon*, pointuje udatnie – i europejsko! – końcówkę Jackowego tekstu piosenki „Rejtan, czyli raport ambasadora” do *wieliczestwa*, gdzie prawie każda zwrotka rymuje polskie sylaby z francuskimi, niestety, pustymi dźwiękami dla rodzimego podśpiewującego(?) naśladowcy niedosłego Nobla (przed Dylanem).

Więc nasza pointa zamierza zrymować ów (obłądny?) Sierpień z... październikiem, dzień pierwszy godziny „W” z dniem po-ostatnim, sześćdziesiątym czwartym, gdy wygnańcy warszawscy i akowscy odnaleźli Się m.in. pod Jasną Górą, gdzie w setkach domów zwykła chrześcijańska i okupacyjna solidarność wyprzedzała o kilkadziesiąt lat tę w cudzysłowie. „Pokój wam!” – pierwsze słowa Zmartwychwstałego rymowały wtedy i oby nadal rymowały Się w każdym znaczeniu z dzisiejszą pamięcią i rzeczywistością, także bezalkoholową. Uczcijmy ten dzień, wybierając godzinę „S”, kto wie, może bardziej nośną – i niepokojąco byłą znaczeniowo – niż „W”.

Ewiny żar(t) sierpniowy

Najpierw przymiotnik, pierwotnie dawno usłyszany – choć z czasem dopiero zrozumiały – w Godzinkach: „zmaży ewinej”, rajski grzech Ewy, odtąd rozpowszechniany jako uniwersalnie pierworodny. Zmaza Ewy Demarczyk, już anioła *pleno titulo*, byłby rakowicki pogrzeb, bezceremonialnie świecki? Nie te czasy... Przed laty tamże potężny głos czarnej, *skjuzmi*, Elli, żegnał swoją nadwiślańską Wisławę, a pierwsze urzędy Rzplitej niemo sterczały w zimowej zadymce.

A jednak... Spośród sześciu dziesiątek arcydzieł Ewinych (nb. których, poza dwoma komplektami, nie ma jak i gdzie odsłuchać) niejedno brzmiałoby jak... modlitwa, więcej, całość czy pełnia światła mgnienia Chwili w ciemnej (czarnej...) przestrzeni Ewinyj kreacji działa Się jak liturgia, niejedną duszę pobudzającą do nieznanego sobie istnienia tu-i-teraz. Wyśpiewując „panny madonny legendy...” Czarny Anioł zagadkową czernią konkurował, może komunikował (?) z takąż nieopodal Madonną, a w gruncie rzeczy coraz dramatyczniej – w czasie poza liturgicznym i po krakowsku manifestacyjnie katolicko podobnym – stawał Się... czarną owcą w świecie, ściślej piwnicy, *pardon*, baranów.

Długosz, Konieczny, Radwan, Wodecki, Zarycki; alfabetycznie wymienia Się, bez nasłuchiwania anegdot i plotek, na chybił trafił samych muzycznych, po części alkoholicznych... Nie było tego Jednego, który byłby godnym zamienić zalotnie (?) zapracowaną Ewiną osobność, a nawet samotność w trwałą miłość i szczęśliwe macierzyństwo. Nieczynny(?) wulkan scena doprowadzałaby do wrzenia głębią kolejnego zawodu wrażliwej, nadwrażliwej prako-biety? Tak też TO interpretują ci, którzy z Nią wówczas współdziałali. I tak dobrze, iż nie powtarzali za Jezusem „wybrała lepszą część”, choćby w stosunku do „swoich” Mart.

Taką ewangeliczną Martą Trzeciej Najjaśniejszej byłby Heniu Wujec. Paradoks Czasu jednej doby odwołał ze świata jakby dwie różne, w istocie jedną nadzwyczajną wrażliwość, czułość, mówiąc Franciszkiem. Przedtem pracuś, Heniu nieraz miał „czuć się odwołany” (Wąłęsa do sekretarza swojego „komitetu...”). Niezapomniany ks. Zieja (o którym film właśnie wchodzi na wybrane ekrany) o mało – a nawet, w niektórych osobach anty... – religijnym KORowskim otoczeniu pobożnego niegdyś chłopca biłgorajskiego mawiał, iż jest bardziej ewangeliczne od niejednej... świątyni.

Głos, boski dar Ewiny, stawał Się brzmieniową jednością z instrumentem, genialnie ze skrzypcami (śp. Wodecki *dixit*), a kongenialnie w *Cygance*. Ewina *sym-fonia* od ciszy do ciszy (jak u Szopena) wypełniała ciemność na godzinę, dwie, a oczy wbite w światło sceny, skąd boskie struny głosowe (*a propos*: na ile był ubezpieczony ten skarb narodowy?) konkurowały z chórami anielskimi. Wspominanie pośmiertne powtarza „do dziś jestem na spektaklu sprzed pół wieku” i więcej. Nieodparcie narzuca Się ostatni kadr Formanowego „Amadeusza” z błogosławieństwem niedoszłego samobójcy Salieriego dla nas, miernot, wszech miernot: niepo-godzone z boskim darem dla Ewy dopadły (?) Ją, jak Geniusza jego wiedeński zazdrośnik.

roman_wyborski@op.pl





Gabriela Polaczek, „Tryptyk jurajski 2”



Małgorzata Domańska, „Tryptyk jurajski 3”

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

POECI

I

„poezja jest to nerwów drzenie
w takt namiętnościom”.
(Cyprian Kamil Norwid)

Liryzm chwili, wzruszenie, niepokój, potrzeba wyrażenia subtelnych uczuć...

„A potem – słowo. Pierwsze z słów
Zwykle jak myśl przechodzi
I w samo sedno stylu godzi,
I każe duszy: dalej mów!” –

– pisał Julian Tuwim, zdradzając, jak rodzi się wiersz. Tuwim, perfekcjonista, nadzwyczajnie dbał o warsztat poetycki, wiecznie niekontent z frazy, ogarnięty „bzikiem lingwistycznym”, gromadził wszystko, co mogłoby ubogacić jego utwory, przyznawał, że ma:

„(...) wrodzony nałóg,
Szperanie po foliach grubych,
By dwuwersową złowić wzmiankę”.

Łatwo zrozumieć „łowcę słów”, jak zwykł był się Julian określać, gdy przeczytamy, ile trudu wymagało opisanie rzeczy zdawałoby się prostej, ot, choćby zapachu rezedy:

„A pachnie... Właśnie? Jak opiszę
Woń, którą kwiat swobodnie dysze?
(...)
Jak mózg utrudzę i wysuszę,
Zanim wykrętnie i wymyślnie
Pióro tę woń w wyrazy wciśnie”.

Sława przyszła szybko, Tuwim stał się czołowym piórem Skamandra, ale szczęśliwy nie był. Skomplikowana, zmienna natura, różne fobie i lęki, które go prześladowały, depresje, w które popadał:

„Jestem chory
Na jakąś rozpacz przemijania,
Na każdą chwilę, która znika” –

– stały temu na przeszkodzie. I jeszcze owa słynna myszka, ogromne znanie, które szpeciło policzek, a Julian pedant, nieco próżny, zawsze przywiązywał wielką wagę do swego wyglądu, stroju. I wreszcie dramat żywota! „Kto żyw, ten błotem mnie smarował” – wspominał

tych, którzy nazywali go „Jojne Tuwim z Gęsiej ulicy” czy twierdzili, że sławę „wyszachrował po gudłajsku”.

„Z innego ja świata (...). Ja z świata duchów” – pisał o sobie w listach Zygmunt Krasiński, wyznając, jak obco czuje się wśród tych, którym milsze doczesne rozkosze, bogactwa, zaszczyty, brylowanie w salonach, wykwintne potrawy. I on także z wielu powodów nie czuł się szczęśliwy, choć starał się dźwigać. Marne zdrowie, które różnymi sposobami bezskutecznie ratował, sprawiało, iż „Nieraz czarna myśl rada by opajęczyła mózgu całe sklepienie – ale trzeba rozerwać te nici – trzeba żyć!”. Ojciec czynił mu życie nieznośnym, choćby naciskając na ożenek z Elizą Branicką, a gdy w końcu Zygmunt uległ, mógł tylko stwierdzić: „poszedłem i wróciłem z kościoła jak pies przez hylów prowadzony” i odtąd jego życie uczuciowe (wieloletnia miłość do Delfiny Potockiej) stało się jeszcze bardziej powikłane. Nade wszystko zaś gorzka była dla dążącego zawsze do ideału Zygmunta świadomość (mocno przesadna chyba) niedostatków własnego talentu:

„Bóg mi odmówił tej anielskiej miary,
Bez której ludziom nie zda się poeta,
Gdybym ją posiadał, świat ubrałbym w czary,
A że jej nie mam, jestem wierszokleta”.

Twórcze zmagania, szukanie własnej drogi, towarzyszyły wielu – Jarosławowi Iwaszkiewiczowi choćby – poetom:

„I jakie dobrać słowa, jakie dobrać nuty,
Aby nie brzmiały gorzko, niby śmiech na grobie?
I poprzez wszystkie skargi i wszystkie zarzuty,
Pozostać wiernym – wiernym, wiernym sobie”.

Najtrudniej było chyba tym, którzy podobnie jak Cyprian Kamil Norwid, wyrastali ponad epokę. Norwid właściwie nigdy nie był szczęśliwy, choć (zodiakalna Waga) obdarzony był wieloma talentami, pisał, rzeźbił, malował. Ciekawą opinię o młodym Cyprianie pozostawił w jednym z listów do Delfiny Potockiej Zygmunt Krasiński: „Nerwowa natura, zagmatwana, siebie sama niedokładnie pojmująca, ale prześliczna. (...) Ogień w alabastrowym naczyniu. (...) Choroba, nędza, a wszystko to w tęczy”.

Norwid pisał w zgodzie z własnymi odczuciami:

„Utwory moje – Jam nie śpiewak ludu,
Którego piosnkę kiedyś kmieć powtórzy”.

Nie przyjmowano jego nowatorskiej twórczości, zarzucano zawiłość, dziwaczną manierę. Do udręk wygnańca stęsknionego za rodzinnym krajem, cierpienia bezwzajemnej miłości do Marii Kalergis, doszła nędza, choroby (głuchota, gruźlica). Czuł się przeklętym, unikał ludzi, ale wierny pozostał swojej sztuce, pewny, że zdąży właściwą drogą:

„Samotny wszedłem i sam błędzę dalej
(...)
To zaś mi mniejsza, czy bywam omylon
Albo nie?... piszę pamiętnik artysty –

Ogryzmołony i w siebie pochylon –
 Obłądny!... ależ – wielce rzeczywisty.
 Syn – minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku”.

Zdawałoby się, że uprawianie poezji jest dość bezpiecznym zajęciem, jednak dzieje wielu twórców, Owidiusza choćby, temu przeczą. Nieprzeciętnie inteligentny, bystry obserwator obdarzony wspaniałym poczuciem humoru, został wygnany z Rzymu. Powody zesłania na zawsze pozostały niejasne, ale pewne wersy, pojawiające się w pisanych u schyłku życia elegiach, (*Do Perilli* na przykład) świadczą, że to wiersze naraziły go na gniew cesarza Oktawiana:

„Powiesz, że żyję, ale że przykre me życie,
 Że nie ulżyły długie lata mej żałobie,
 Że do Muz wracam, chociaż sprawiły wygnanie
 I że w elegie wkładam poprawne wyrazy”.

Wyrok dostarczono poecie na piśmie, gdy przebywał na Elbie, żadnych oskarżeń, żadnych uzasadnień i możliwości odwołania. Oktawian nie pozbawił go majątku, dlatego żona pozostała w Rzymie, ani praw obywatelskich. Owidiusz liczył, że zmiękczy serce władcy, że zostanie ulaskawiony. Nadzieje zawiodły, dawni przyjaciele też: „Bo przyjaciół masz wielu, gdy ci szczęście sprzyja...”. Ostatnich 10 lat życia spędził na wygnaniu.

Voltaire (właściwie Francois Marie Arouet) miał trudny charakter, pono wpływ miała na to jego niepoślednia cielesna brzydota. Od młodości uwielbiał drażnić, prowokować, nie poddawał się zakazom, nie zaniedbywał swoich przyjemności. W paryskim światku chętnie cytowano opinię jakiegoś niechętnego mu rywala po piórze: „otwarty bez szczerości, (...) lubieżny bez namiętności (...), umie też moralizować, samemu nie będąc obyczajnym. Do przesady próżny, a w jeszcze większym stopniu interesowny, pracuje nie tyle dla sławy, ile dla pieniędzy, których pragnie i łaknie”.

Młodość Voltaire’a przypadła na czas regencji Filipa Orleańskiego, rozwiązłego liberała, kiedy to zapanowała wprawdzie wielka swoboda obyczajowa i literacka, ale satyryczne wierszyki na temat kazirodczych związków księcia z własną córką rozwścieczyły go i Voltaire na blisko rok trafił do Bastylii. Zamykano tam tych, którym zdarzyło się popełnić jakąś nieostrożność wobec władzy, by zechcieli przemyśleć swoje postępowanie. Osadzonych traktowano dobrze, ale dla Voltaire’a tak długi czas odosobnienia był ciężką próbą, rozkwitał wśród ludzi, łaknął dobrego towarzystwa. Wielokrotnie i potem narażał się rządzącym, bywało, iż w obawie przed aresztowaniem ukrywał się na prowincji albo zgoła poza Francją. *Listy filozoficzne* na przykład z nakazu sądu zostały podarte i spalone, jako książka „skandaliczna, sprzeczna z religią, dobrymi obyczajami, a także respektem należnym władzy”. Voltaire potrzebował, jak wszyscy, uznania, akceptacji innych, ale człowiekowi z jego mieszczańskim pochodzeniem łatwo nie było. Przekonał się o tym boleśnie (dosłownie!) choćby w czasie konfliktu z kawalerem de Rohan, kiedy to wygarbowano mu skórę. W światku, w którym obmowa była jedną z najbardziej ulubionych rozrywek, Voltaire nieraz był przedmiotem kpin. Komentowano jego powikłane związki z kobietami, panie z paryskiego towarzystwa wyrażały przypuszczenie, że z Gabrielle Emilie du Chatelet, kobietą nieprzeciętnej jak na owe czasy erudycji, połączyła go jedynie obopólna brzydota. Tematem salonowych złośliwości był też jego związek z siostrzenicą, madame Denis. Króla Ludwika XV Voltaire do siebie nie przekonał, ale fotel w Akademii Francuskiej, o czym marzył, po długich zabie-

gach otrzymał. Umierał jako jeden z najbogatszych mieszczan w Europie, ów „uczuciowy realista” miał niesłychany spryt do przynoszących zyski interesów.

Przytoczę w tym miejscu jeszcze wartą przemyślenia opinię Voltaire’a o Polsce, którą uważał za „przykład złego rządzenia: bo przy tych wszystkich pięknych przywilejach jest to kraj, gdzie szlachta nie ma dyscypliny, król jest niczym (...) i gdzie jedyne pieniądze zarabia się na sprzedawaniu głosów”.

Zakazem bywania na obiadach czwartkowych, bojkotem towarzyskim i utratą posady zapłacił Tomasz Kajetan Węgierski, słynący z ciętego języka autor głośnych paszkwilów politycznych i obyczajowych. Naturę miał buntowniczą, kochał prawdę, więc nic nie mogło go powstrzymać od jej głoszenia, wszak satyrycznemu pióru Węgierskiego patronował Voltaire. Uszczypliwe uwagi o Stanisławie Augustie:

„Gdybym był kiedy królem, nie byłbym tak słaby,
Nie rządziłby mną Moskał, faworyt, ni baby” –

– przychylności pocie nie przyniosły. Nie było też tajemnicą, choć wypierał się autorstwa, że krytyczne wizerunki pięciu najznakomitszych arystokratek noszących imię Elżbieta, wyszły spod jego pióra. Gorzko komentował swój los, chciał przecież przyczynić się do poprawy obyczajów, ale pióro potem nieco wyciszył:

„Za to miasto poklasku, to trzymam w korzyści,
Zem się stał u dusz podłych celem nienawiści”.

Kłopoty finansowe popchnęły Węgierskiego do hazardu, któremu zapamiętale i z dużym podobno szczęściem się oddawał. Z dużą ulgą przyjęto jego wyjazd z kraju, niestety, w podróżach zdrowie zrujnował i zmarł w Marsylii, niewiele trzydziesty rok życia przekroczywszy.

Z podobnych doświadczeń brały się może odwieczne dylematy twórców, czy wydać swoje utwory. Pisał o tym Jan Andrzej Morsztyn, który może bardziej karierze dworskiej niż literackiej poświęcił się, ale przecież, jak każdy autor, przywiązany był do swego dzieła. Może miłsze byłyby księgom „słodkie kabinetu wczasy” niż, kto wie jakie, przyjęcie w świecie:

„(...) Różne w ludziach smaki,
I ciebie potka wilkum pewnie niejednaki.
(...)
Jeden, co lepiej pisze, znajdzie w tobie siła,
Co by cierplivsza głowa jeszcze przekreśliła;
Drugi z zazdrości, która średnie mózgi żywi,
W oczy pochwali, ale z tyłu gębę skrzywi;
Inszy, choć z hipokreńskiej nigdy nie pił bani,
Żeby się na coś zdał, czego nie umie, pogani”.

Dylematów takich nie miewali pewnie wszelkiego rodzaju panegirysty. Ironiczną pochwałę tego typu „twórczości”, która i niebezpieczeństw na autorów nie ściągała, i korzyści wymierne przynosiła, napisał Ignacy Krasicki:

„Bodaj to panegiryk (...)
 Wierszem, prozą, po polsku, łże i po łacinie
 (...)
 A mecenas, co czyta wspaniałe przykłady (...)
 Za monarchy, z którymi łgarz go koligaci,
 I mile podziękuje, i dobrze zapłaci”.

II

„A kto marzenie ukochał i sen,
 Niechaj je w śpiewną splata słów perlistość”.
 (Julian Tuwim)

Talent jest szczególnym rodzajem bogactwa. Pozwala – w świecie, w którym w każdej chwili byle przypadek może pozbawić życia – wykupić choć namiastkę nieśmiertelności, ocalić ślad swojego istnienia. Ulotności ludzkiego losu doświadczył choćby Horacy, który w swym sielskim Sabinum „drzewem przywalał – zaledwie uniknął zguby”. Pisanie pozwalało wlec się ponad przyziemne sprawy, pozwalało doznawać wyjątkowych uniesień, talent zdobył trwalej niż wszelkie bogactwa:

„Ja, gdy czoło uczone w święte przystroję bluszcze,
 Bogom czuję się bratni, nie dbam o ludzi tłuszcze.
 W chłodnym gaju (...)
 (...) sobie i Muzom pieśń tę eołą kształcę”.

Twórczość stała się duchowym schronieniem dla Owidiusza. Talentu nawet potężny cesarz Oktawian pozbawić nie mógł, zesłanie nie było jednoznaczne ze śmiercią artysty. Elegie pozwalały kozić tęsknotę za bliskimi, Rzymem, zapomnieć o samotności, nieszczęściach, smutnej doli wygnańca. Wiara w siłę poezji nie zawiodła:

„(...) Przecież wszystko w nas umiera,
 Oprócz dóbr, które rodzi nasza myśl i dusza.
 Mnie na przykład ojczyzny, domu pozbawiono,
 Co można było zabrać, wyrwano mi siłą.
 Lecz zatrzymałem sobie talent, myśl natchnioną –
 (...)
 I chociaż mnie ktoś mieczem żywota pozbędzie,
 Po śmierci mi zostanie sława i zaszczyty”.

Pragnienie pozostawienia jakiegoś śladu własnego istnienia bliskie było i Puszkiniowi, którego życie było równie jak Owidiusza dramatyczne. Pokłasku nie żądał, a krytyków własnej twórczości wśród siebie współczesnych miał wielu, pisanie było wielką wewnętrzną potrzebą. Wyznanie takie znalazło się na kartach *Eugeniusza Oniegina*:

„Chcę żyć i pisać bez pochwały,
 Korci mnie tylko, by zostawić
 Ledwie uchwytny jakiś ślad,

Nim trzeba będzie żegnać świat,
 By (...)
 Choć jeden dźwięk poświadczył o mnie,
 I sprawi los, że dźwięk nie skona”.

Zbigniew Morsztyn wiele lat ojczyźnie służył, „różne szwanki postrzały i ciężkie więzienie ponosząc”, choćby kiedy w starciu ze Szwedami pod Tyńcem trafił do niewoli. W powikłanym życiu wiele razy musiał dokonywać trudnych dla sumienia wyborów, jak wówczas, gdy jako arianin rozstrzygnąć musiał, czy zostać konwertytą, czy udać się na wygnanie:

„Widziałeś, o nasz Boże, jako nam z ojczyzną
 Ciężko się było żegnać, z oną ziemią żyzną,
 Z krewnymi, przyjaciół, z sąsiady dobrymi,
 (...)”
 Których nas okrucieństwo ludzkie pozbawiło”.

Poszukiwano przyczyn długotrwałej wojny, klęsk i to innowierców uznano za działających na rzecz Szwedów. Morsztyn nie wyrzekł się wiary, zmuszony był osiedlić się w Prusach Książęcych, o takich jak on pisał Wacław Potocki, przymusowy konwertyta:

„Temu nieborakowi wsi wzięły kaduki.
 Czemu to! Bo źle wierzył”.

Poezja pozwoliła Morsztynowi „Być sobie wolnym, nie służyć nikomu”. Nazbyt skromnie twierdził: „Moja Muza jest domowa”, własne wiersze przy cudzych zdawały mu się jak „karazyja przy szkarłacie”, a był tymczasem jednym z bardziej oryginalnych twórców swojej epoki.

Juliusz Słowacki należał do licznych w dziejach twórców, których współcześni nie potrafili należycie docenić, długi czas miał „słuchaczów głuchych”. Nutka leciutkiej autoironii, gdy uznanie, mimo sporego już dorobku nie nadchodziło, pojawiła się w poemacie *Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu*:

„Ciągłe mam czarny palec od pisania
 I w oczach ciągle coś na kształt płomyka
 Poetycznego... stąd mię częściej wita
 Poetą – ten, co widzi, niż co czyta”.

Do druku swoich książek dopłacał z własnej kieszeni, stąd w listach do matki zwierzał się: „co do moich brzęczących interesów, przyznam (...), że mi dosyć źle idzie”. Czuł się bardzo samotny, „pusto koło mnie” wyznawał i dodawał „co wieczór (...) ciągnę pasjans”, traktując go jak wróżbę, dotyczącą swojej przyszłości. Strofom utworów zwierzał się ze swoich myśli, niepokojów, rozpaczy czasem:

„Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
 Do tego życia, co mi dał przywyknąć
 I nie przeklinać... i drogą bezludną
 Iść po tym świecie szalonym i niknąć”.

W listach do matki opowiadał o kolejnych dziełach: „Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła, ta jest najlepszą” – pisał po powstaniu *Balladyny*. Krytycy nie podzielili wówczas tej opinii, pomieszczając (Ropelewski choćby) uszczypliwe recenzje w emigracyjnej prasie. Poeta sięgnął po swoją broń – słowo. Sukces *Beniowskiego* – który był świetną odpowiedzią na całą atmosferę, jaką stworzono wokół Juliusza – stał się powszechny, „celu swojego dopiął – donosił mamie – i więcej jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się teraz strażą”. Dobrym komentarzem do niełatwych dziejów Słowackiego i jako człowieka, i jako twórcy mogą być te słowa z jego wiersza:

„Los mię już żaden nie może zatrwożyć
Jasną do końca mam wybitą drogę,
Ta droga moja – żyć – cierpieć i tworzyć,
To wszystko czynię – a więcej nie mogę”.

„Poezji ratowniczy prom” pozwalał Julianowi Tuwimowi, jak przyznawał w *Kwiatach polskich*, jakoś przetrwać lata wymuszonej po wybuchu wojny emigracji. Źle czuł się poza Polską, wszystkie jego fobie, nerwowe przypadłości nasiliły się, chciał wracać jak najprędzej. Szwagier, Julian Stawiński, gdy zobaczył go po paru latach, zauważył, że bardzo schudł, postarzał się gwałtownie i „tylko stalowe oczy płonęły (...) żarem, wyglądał, jakby go coś od wewnątrz spalało”. Pisał, słowami mógł wyczarować przeszłość, która w miarę upływu lat i oddalenia zdawała się być coraz piękniejsza:

„Pod słów zaklęciem czarodziejskim,
Spod podwójnego dna pamięci
(...)
Dobrywam pasma dni kwieciste”.

Lewicujący nieco zawsze, radykalizował swoje poglądy, a to sprawiło, że dawni przyjaciele, niepodzielający tych przekonań, odwrócili się od niego. „Wszystko między mną a Tuwimem – pisał Jan Lechoń – zerwane na zawsze oprócz poezji. W niej będzie jego ułaskawienie”. Powrót do kraju rozczarował, do czego niełatwo było się przyznać, drugiej młodości Julian nie odnalazł, nadal spotykał się z pogrozkami, a i strumień poezji wysychał. Poeta nagle, przedwcześnie zmarł. Gorzka parafraza myśli Horacego zapisana ongi, stanowiła odniesienie do własnego życia i twórczości:

„Kiedy (...) kształt żywego ciała
W nieład rozpadnie się plugawy,
Ta strofa zwarta, zwięzła, cała
Nieporuszona będzie stała
W zimnym, okrutnym blasku sławy”.

W wiersze włożyć można wszystko, swoje żale, smutki, zachwyty. Twórczość łagodzi cierpienia, pozwala zapomnieć o rozmaitych koszmarach.

Władysław Reymont tak wspominał swoją wizytę u Stanisława Wyspiańskiego, który wycieńczony nieuleczalną wówczas kiłą „Leżał w łóżku, obłożony korektami i książkami (...) wyglądał strasznie (...), miał twarz zapadłą (...) głos obcy (...), a tylko oczy były jeszcze dawne, oczy jasnoniebieskie, władcze, mądre”. Spieszył się, chciał jak najwięcej zostawić

po sobie, tworzenie, jak mówił „jest oszukiwaniem śmierci i najwspanialsza zabawą”.

Wielkich bogactw, służąc muzom, niewielu doczekało, pisał o tym Adam Naruszewicz, który dolę literatów znał dobrze, choć sam, jako biskup tytularny, większych trosk materialnych nie miał:

„Ostatnie to rzemiosło, co prócz sławy kęsa,
Nic nie daje autorom, ni chleba, ni mięsa
I żyć każe sposobem prawdziwie uczonem:
Wodę łykać, a wiatrem żyć z chamaleonem”.

Ale właśnie dla owego „sławy kęsa” warto nie zaprzepaścić talentu – i tu zacytuję fragment *Satyra* Jana Kochanowskiego:

„A to wszystko bogactwo, kto się sławy dobił;
Lepiej się tym niż złotym łańcuchem ozdobił”.

III

„Dzień pisz, a trzy dni poprawiaj. Wszak sława
Godna jest, żebyś dla niej spocił czoła”.
(Wacław Rzewuski)

„Pan rozumu wielkiego, dobra publicznego miłośnik prawdziwy” – napisał w swych *Pamiętnikach...* Jędrzej Kitowicz, charakteryzując Wacława Rzewuskiego. Poglądy hetmana-litera dotyczący twórczości znalazły się między innymi w zbiorze *Zabawki wierszopiskie i krasomowskie...* Twórczość to wszak proces złożony, ważny jest pomysł, dobre wzory, znajomość zasad pisania i wreszcie talent. Rzewuski odwoływał się do wzorów antycznych, Horacego zwłaszcza. W prywatnym teatrze w Podhorcach wystawiał sztuki swego pióra, założył tam też drukarnię i bibliotekę, organizował koncerty muzyki dworskiej, sam grał na skrzypcach i flecie. Niezlomny patriota za swą postawę zapłacił wysoką cenę. Porwany wraz z dwoma innymi senatorami przez ambasadora Repnina, gdy na sejmie skonfederowanym warszawskim sprzeciwił się ingerencji Rosji w sprawy Polski, wywieziony został na lat pięć do Kaługi. Po powrocie do swych dóbr już nie wrócił, znalazły się w zaborze austriackim.

Swoje rady dotyczące poezji i poetów kierowali i inni twórcy, Wacław Potocki choćby:

„(...) kto chce rozumem, kto piórem to wydać,
Co by się do skończenia świata mogło przydać,
Żeby mu nazad jego nie wracano prace,
Niech ją raz, drugi, trzeci młotem przekołace”.

A że często twórcę ogarnia „ślepa miłość do swych pism”, niech innym je da do cenzury, sam Potocki w tym względzie ufał żonie Zofii.

Uwagi Ignacego Krasickiego, przydatne kiedyś, chyba się też nie zestarzały:

„Iż pisać nie jest łatwo, to jest komponować,
Nim zacniem, trzeba pilnie z sobą się rachować,
Czyli co przedsięwzię, wypełnić zdołamy”.

Bez ogromnej, długiej pracy nad doskonaleniem własnego warsztatu, bez mozolnego szukania własnej drogi niewiele się zyska, wiersz „Uszyty tanio zawsze jakiś kicz ma” – pisał Konstanty Ildefons Gałczyński. Własne doświadczenia podpowiadały:

„O, jakże ciężkie są początki sztuki
(...)
Niejedną łzę przeleje człowiek, póki
nie zarzy rzeniem własnym jak Faubuce,
i nieraz rzuci obelżywe słowa
na ołtarz, że tak powiem, rozczarowań!”

By więc czytelnicy nie sarkali, podobnie jak Tomasz Kajetan Węgierski, gdy namnożyło się sporo różnych wierszopisów:

„Gdziekolwiek się obrócę, w które pójde strony,
Wszędzie nudnymi rymy jestem zarzucony”,

warto trudu nie szczędzić, by doczekać, jak ongi Gałczyński z ust Leopolda Staffa, uznania:

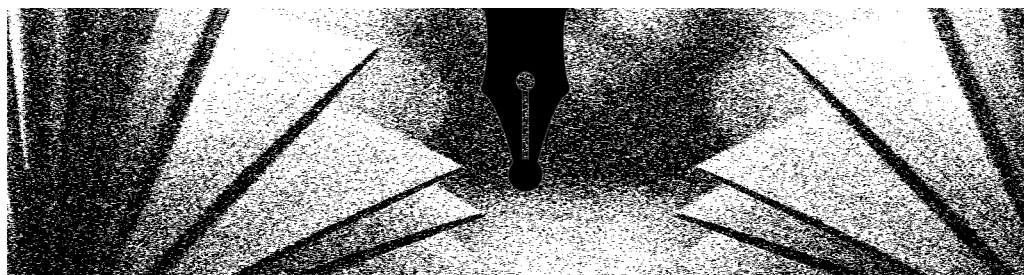
„Pokazałeś w wesołej herezji,
Przez swe fraszki fiołkowe i gęsie,
Ile jest nonsensu w poezji
I ile poezji w nonsense”.

Oczywiście w kwestii twórczości, jak w każdej innej sprawie, wszystkim trudno dogodzić. Warto więc też odwołać się do jednego z wierszy Jana Kasprzowicza:

„Cóż wam to szkodzi, cóż wam to szkodzi,
Że sobie składam te zwrotki?
Największe to dla mnie jest szczęście,
Nie ma rozkoszy tak słodkiej”.

Wybór zawsze pozostaje, tak twórcom, jak i czytelnikom, co doradzał Jan Andrzej Morstyn:

„Obierz-że sobie to, co ku twej myśli,
A co-ć się nie zda, miń albo przekreśli”.



Jarosław Kapsa

TAKIE DŁUGIE POŻEGNANIA...

I tak już przyszło, żegna się człowiek ze swoją walizką, żegna się pismak ze swoją redakcją. To już mój ostatni tekst dla „Galerii”. Nie szukajcie w tym sensu, podtekstu, ukrytych intencji. Proszę, nie obrażajcie redakcji podejrzeniami o winę, bo rzecz leży tylko po jednej stronie: mojej stronie.

Ot, taki banał, coś się wypaliło i zgasło. Było, się zbyło. „Lepiej nie robić nic, niż robić rzeczy bez sensu” – mawiał nestor Familii August Czartoryski. Cóż więc robić, gdy zabrakło poczucia sensu... Gdy człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę z braku sensu tego, co robi, najgorszą rzeczą są długie pożegnania.

I

W sierpniu 1981 r. miałem 23 lata i powagi dodawałem sobie lekkim wąsikiem pod nosem. Wiedziałem, że po zjeździe regionalnym „Solidarności” wybrany do Prezydium Zarządu Regionu Krzysiek Biało ma zamiar budować od nowa redakcję „Biuletynu Informacyjnego”. Wkroczyłem zatem do budynku przy ul. Kościuszki, przynosząc napisany, a może wypocyny, artykuł o Bitwie nad Wisłą, oferując tym samym swoje usługi. I tak wyszło, że mój tekst otwierał nowy numer „Biuletynu”, a sam stałem się zawodowym pismakiem-rewolucjonistą na usługach ZR NSZZ „Solidarność” Regionu Częstochowskiego.

Wzorem Galla Anonima powiem, że jak to się stało, długo by opowiadać. Krzysiek, absolwent UJ, związany na studiach ze Studenckim Komitetem Solidarności, przed Sierpniem pracował w szkole w gminie Mykanów. Potem wspólnie z wychowawcą mojego brata Włodzimierzem Kolmanem współtworzył „Solidarność” nauczycielską. W nowym Prezydium Zarządu Regionu stanowił z Anią Woźnicką (bibliotekarką, która niegdyś wprowadziła mnie w zaczarowany świat książek) „frakcję inteligentką”; zgodnie z regułami marksizmu dominować w związku mieli robotnicy. Nowa redakcja tworzyła mniej lub bardziej przypadkowy zlepek. Redaktorem naczelnym został Marian Magiera, wychowanek warszawskiego liceum PAX-owskiego i tamtejszego katechety ks. Jana Twardowskiego, z doświadczeniem pisania do „Za i Przeciw” oraz innych wydawnictw soc-świeckich-katolików; człowiek-dusza absolutnie niezdolny do zadbania o dobro własne i rodziny (miał trzy piękne córeczki, które żywiła i ubierała praca żony Mariana), za to niezmordowany w pomaganiu innym. Miał przy tym zalety urodzonego dyplomaty, co było przydatne w załatwianiu spraw niezłatwialnych. Z poprzedniej redakcji pozostał z nami Marian Rawinis, bibliotekarz (w redakcji na pół etatu i w bibliotece muzycznej na pół etatu), napiętnowany przez aparat związkowy za złośliwy opis zjazdu regionalnego, tytułowany *Kalosze demokracji*. Był także Marek Minor, nazywany przeze mnie Majorem, o którym nikt nie wiedział, czym się zajmuje poza przynoszeniem i pozostawianiem na wieszaku kolejnych marynarek. Przychodził Witek Siedlaczek, który pracując jako hydraulik, miał ambicje organizatora kultury. Z Prezydium prócz Krzyska i Ani liczyć mogliśmy na pomoc i odwiedziny seniora Okularczyka i rozmodłonego Stasia Cichonia z Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Redakcję techniczną stanowiła Krysia Orzechowska i teleksistka pani Frania.

Redakcja, chcąc, a bardziej nie chcąc, była częścią organizmu zwanego biurem Zarządu Regionu. Mieściliśmy się w dużym pokoju z balkonem na I piętrze budynku przy ul. Koś-

ciuszki. Na tym samym piętrze była drukarnia (dwa powielacze i jeden złomowaty offset), świat Jurka Burtana i Mariana Zembrzuskiego. W teorii drukarnia miała wykonywać nasze zlecenia, w praktyce sama decydowała, co i jak drukować. Obok drukarni był sklepik z wydawnictwami II obiegu, prowadzony przez Greko-Polaka Jorgosa Konstantinidasa i Wojtką Więckowskiego. Drugi duży pokój zajmowało Biuro Interwencyjne z prawnikami i społecznikami. W nieokreślonej przestrzeni kursowała Agata Grzybowska, będąca samoistną i samorządną instytucją kulturalną. Reszta Prezydium: przewodniczący Zbyszek Kokot, główna księgowa Anka Rakocz (dziś Reterska) i inni zajmowali II piętro, licząc, że wszelkie kłopoty tak wysoko nie zajdą.

W tej przestrzeni społecznej byłem najmłodszy, ale też zaliczyłem najszybszy awans. Od 1 grudnia, po zaledwie 4 miesiącach pracy, stałem się kierownikiem Biura Informacji i Propagandy, zyskując od Mariana Magiery przydomek Ali Agca (bo byłem – jego zdaniem – bardziej postrzelony niż ten, co postrzelił Papieża).

II

Rewolucja toczy się, przyspieszając zderzenia różnych przypadków. W końcu kwietnia 1981 r. dopiero wyszedłem z wojska, po dwóch latach odsiadki w kamaszach. Wszyscy bliscy i znajomi byli zaangażowani po uszy w „Solidarność”, wyboru zatem nie miałem. Moje szkolne koleżeństwo z LO Kopernika, grupa, z którą chodziłem na rajdy i na imprezy, przez pośrednictwo studiującego w Łodzi Tomka Mysłka, postanowiła stworzyć środowisko związane z opozycyjnym Ruchem Młodej Polski (RMP). Byli w nim między innymi: Jacek „Mikołaj” Olszewski i jego żona Ewa, Piotrek Głowacki, Jarek Ciura oraz, najbliższe mi, szalone rodzeństwo, Aśka i Krzysiek Garbowiczowie. Aśka przyciągnęła do RMP narzeczonego, stąd dziś nazywa się Sidorowicz. Trzymał z nami także KPN-owiec Jurek „Duduś” Zimny, kolejny kolega z Kopernika. Środowisko się rozszerzało, każdy przyciągał kolejnych; zaznaczaliśmy swoją obecność, organizując wspólnie z KPN obchody 17 września, kolportując młodopolskiego „Bratniaka” i ulotki informujące o RMP. 11 listopada w pochodzie Święta Niepodległości szliśmy dumnie pod własnym transparentem. To oczywiście przyciągało zainteresowanie SB. Po latach mogłem dzięki temu przeczytać swoją charakterystykę (byłem w niej przedstawiony jako człowiek arogancki i bez skrupułów) oraz domniemanie, że stworzyłem to środowisko na zlecenie ekstremistów z Zarządu Regionu „Solidarności”.

Z charakterystyką nie dyskutuję, co do domniemania, to było nieco inaczej. To, że koleżeństwo wybrało mnie na lidera, skutkowało wzrostem możliwości mojej pracy redakcyjnej. Miałem zaplecze gotowe wykonać każde zadanie, angażujące się społecznie w pomoc „Solidarności”. Bez nich nasza skuteczność byłaby nieporównywalnie gorsza. Cenę za to zapłacili moi „młodopolacy” w stanie wojennym – poznałem przez to, jak boli odpowiedzialność. Nie boli, jak sam idziesz siedzieć, bo to rewolucja i twój wolny wybór, ale boli, gdy wsadzają twoich przyjaciół, których ty wciągnąłeś „do roboty”... To mocno czujesz.

RMP cementował swoistą „międzymiastówkę”. W Łodzi był Jacek Bartyzel, w biurze śląskiego Zarządu Regionu „Solidarności” pracował Leszek Jeziorny, w Warszawie Tomek Wołek, Marian Piłka, Mariusz „Nixon” Kobzdej, w Poznaniu Marek Jurek, w Krakowie Pierzchała... Centrum było w Gdańsku, gdzie Ruch powstał i był najsilniejszy. Tak wyszło, że „młodopolacy” od strajku w Sierpniu stali się zapleczem Lecha Wałęsy. Doradcą Lecha był Olek Hall, sekretarką Bożena Rybicka, blisko „wodza” byli Aram Rybicki, Maciek Grzywaczewski, Magda Modzelewska. Dzięki temu Aram zyskał wsparcie dla stworzenia własnej „solidarnościowej” agencji informacyjnej: Biura Informacji Prasowej „Solidarność” (BIPS).

W Warszawie konkurowała z BIPS-em Agencja „Solidarność” (AS), ale to w Gdańsku była stolica Polski i to nam dawało przewagę. Piszę nam, bo moja praca w ZR „S” w naturalnym sposób związała się z BISPS-em.

Jak w rewolucji bywa: nie mamy nic, budujemy fabrykę. Łączność zapewniał obsługiwany przez panią Franię teleks, ustrojstwo, na którym pisało się jak na maszynie do pisania, a potem ten maszynopis w formie mało czytelnej wyskakiwał z teleksu kilkaset kilometrów dalej. Jak się czegoś pragnęło, to i ustrojstwo się sprawdzało. We wrześniu BIPS miał także agencję fotograficzną i Telewizję „Solidarność” (tworzyli ją Marian Terlecki i „Nixon” Kobzdej, dzięki uzyskanym z zagranicy kamerom). A my – dwudziestolatkowie bez doświadczenia i kompleksów – planowaliśmy, jak obsłużyć spodziewaną wizytę Ojca Świętego.

III

Rewolucja wciąga jak rzeczny wir. Jak nie byłem na wyjeździe, dzień od rana do późnego wieczora spędzałem w redakcji. Czasem tam spałem, na stercie gazet. Kawy brakowało (czasy deficytu), za to Marianowi udało się załatwić tonę popularnych, jeszcze nieopiętych i niezapakowanych w paczki. To chyba było moje główne pożywienie. Marian redagował „Biuletyn” wychodzący 2-3 razy w miesiącu. Na mnie i na Mariana Rawinisa spadła redakcja codziennego „Serwisu Informacyjnego” tworzonego w oparciu o materiały z BIPS-u. Od Krajowego Zjazdu „Solidarności” rozszerzyliśmy paletę usług. Tworzyliśmy i przegrywaliśmy na kasety materiały dźwiękowe, przekazując je radiowemułom zakładowym. W czasie Zjazdu i później, gdy zdarzały się ważniejsze sprawy, wystawialiśmy na balkon głośniki i nadawaliśmy (dzięki dramatycznemu głosowi Agaty Grzybowskiej) audycje na żywo.

Zjazd, odbywający się w dwóch turach we wrześniu w gdańskiej Hali Olivia, był dla nas wyzwaniem logistycznym. Wysłano mnie jako korespondenta, na miejscu obowiązków „przekaziciela” przejął Marian Rawinis. Podporą był emerytowany kolejarz Henryk Bednarek. Wsiadał rano w pociąg, jechał 8 godzin do Gdańska, trafiał do mnie, brał materiały i nocnym pociągiem przewoził do Częstochowy. Kursował tak bez przerwy, jak „Błękitny ekspres”, krzepiąc się jajkami na twardo i herbatką z butelki po winie. Relacje przysyłałem teleksem, Heniek przewoził zdjęcia, nagrania wystąpień, broszury programowe i temu podobne materiały. Wieczorem Marian redagował serwis, w nocy powielano go w drukarni; rano informacja szła na zakłady, w południe szły przebrane nagrania dźwiękowe i fotografie.

Telewizja, radio, prasa legalna były własnością PZPR, trzeba było szukać form, jak przebić się z własną informacją, jak w szumie partyjnej propagandy przekazać prawdę. Władza dała nam „wiosnę wolności”, trzeba to było na maksa wykorzystać. Czasem dawano „po łapach”. Aresztowany został drukarz Marian Zembrzusi za kolportowanie satyry prezentującej Breżniewa jako niedźwiadka. Ormowcy próbowali zniszczyć wystawione pod dworcem głośniki kolejarzkiej „Solidarności”. SB zaczęła inwigilować, zastraszać i nachodzić w domach moich „młodopolaków”. Odpowiedzieliśmy atakiem. Była taka akcja ogólnopolska: „zejdziemy ze ściany, gdy wejdziemy na ekrany”, polegająca na malowaniu hasel „TVP kłamie”. Rajcowały mnie rewolucja i terroryzm, więc uzupełniliśmy działania o tzw. „akcję bezpośrednią”. Szła zatem na miasto ekipa kilkudziesięciosobowa, w drodze rozdając ulotki informujące o celu działań. Napisy malowało się ostentacyjnie, najchętniej w sposób niszczący PZPR-owską wizualną propagandę. W taki sposób zaatakowaliśmy także Komitet Wojewódzki PZPR; zostałem z tej okazji zatrzymany, uwolniła mnie interwencja

lidera hutniczej „Solidarności” Alka Przygodzińskiego, grożącego, że jak nie wyjdę w ciągu godziny, huta ogłosi strajk. Potem zmieniliśmy taktykę. W listopadzie ukierunkowaliśmy „akcję bezpośrednią”, w grupach kilkusobowych wdzieraliśmy się do komisariatów milicji, rozdając tam specjalną ulotkę, zachęcającą do tworzenia związków zawodowych. Podobne ataki kierowaliśmy na koszary wojskowe, tam rozdawaliśmy *Apel do Żołnierzy*.

IV

Rewolucja rozpala i spala. Gdy się żyje działaniem i karmi popularnymi, rzeczywistość olatuje na księżyc. Nie czuliśmy, że rewolucja wygasa w kilometrowych kolejkach, w tej szarzyźnie beznadziei, w tym impasie, gdzie „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”. Byliśmy tą rewolucyjną awangardą, która tak szybko poleciała do przodu, że nie zauważyła, że za nami już nikt nie idzie.

Moje pierwsze zderzenie z Wałęsą było niezbyt szczęśliwe. Poszedłem na Zjeździe na konferencję prasową, ktoś spytał o plany związku, by społeczeństwo mogło przetrwać zimę. „Wódz” nie był w formie, zaczął coś bająć, że robotnicy pojadą na wieś do chłopów zbierać gruszki... Wieczorem, na młodopolskim konwentyklu wylewałem żale swojego zawodu gdańszczanami. Uspokajała mnie Bożena Rybicka: „wiesz, może masz rację, on czasem zachowuje się jak buc, my go nawet nazywamy wtedy Bokassą; ale trzeba go było widzieć w chwilach decydujących, ma on dar od Boga, intuicyjnie wie, w którą stronę iść i potrafi za sobą pociągnąć ludzi”. I to była prawda, ale o tym przekonałem się dużo później. Na razie za Wałęsę, za niezbyt pochlebny opis w relacji ze Zjazdu, postawiono mnie na dywaniku przed Zarządkiem Regionu. Powrzeszczałem sobie na klasę robotniczą: o co wam chodzi, o wolność, o wolność słowa czy o to, by mieć komu klaskać?...

Widziałem już, że rewolucja nie mogła być czysta, że władza – także ta nasza – korpuluje, przyzwyczaja do luksusowych hoteli i służbowych samochodów. Widziałem, jak raczkująca demokracja odtwarza model z PRL, w którym I sekretarzy zastępują przewodniczący związkowych Komisji Zakładowych i regionalni baronowie „Solidarności”. Widziałem słabości i brudy, ale nic nie mogło mi przesłonić piękna Wiosny Wolności.

Wieczorem 12 grudnia pojechaliśmy z Piotrkim Głowackim do Gdańska, miałem zrobić korespondencję z kończących się obrad Komisji Krajowej, a przy okazji odebrać nowy numer „Bratniaka”. W pociągu między Zduńską Wolą a Inowrocławiem zastał nas stan wojenny, na co – w tej sytuacji – nie mogliśmy zwrócić uwagi. Dopiero wczesnym rankiem zaczął się nowy etap mojego życia.

V

Tak się zaczęło. Uwierzyłem, że słowem można zmieniać rzeczywistość. I chciałem to robić. Miało to sens, nie dam sobie tego przekonania nikomu odebrać. Wiara w ten sens pozwalała mi być pismakiem przez kolejne, blisko już 40 lat. Nie dane mi było zarabiać dużych pieniędzy, unikałem z musu pokus materialnych. Władza nad innymi nigdy mnie nie pociągała, dość kłopotliwym zajęciem jest urządzanie komuś życia. Zatem jedynie wiara w sens pisania, w sens przekonywania ludzi, dyskutowania z ludźmi, opisywania działań ludzi, była napędem mojego życia zawodowego czy publicznego.

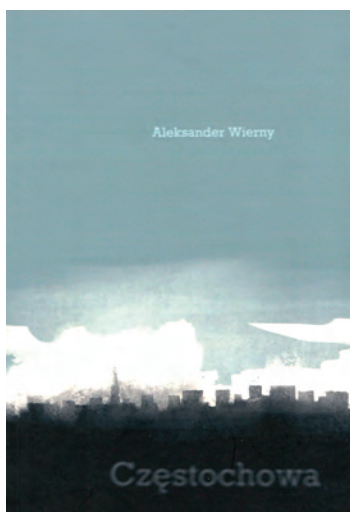
Aż przyszła refleksja, że jestem już obcy w otaczającej rzeczywistości, że mówię innym językiem, że moje słowa nikomu do szczęścia nie są potrzebne. Trzeba mieć odwagę zmierzyć się z gorzką prawdą i odejść, zanim wykiadało w tym pomoże.



„*Wszystkie ptaki, co we mnie...*” – antologia współczesnej poezji łotewskiej, wybór i przekład Olga Wiewióra, wstęp Māris Salējs, posłowie Andrzej Niewiadomski, wyd. Warsztaty Kultury, Lublin 2020, ss.296.

W skład antologii wchodzi wiersze jedenastu wybitnych poetów łotewskich różnych pokoleń. Mariāns Rīzijs (pseudonim: Māris Salējs), autor *Wstępu*: „Czy poezja łotewska może być interesująca dla polskich czytelników? Raczej jako tak zwane »rozpoznawanie obcego«. Rozpoznawalne tu będą ogólnoludzkie tematy tak stare jak świat. Rozpoznawalny jest również wspólny dla Europy Środkowej los – urodzić się na ruinach starożytności, doświadczyć 20 lat niepodległości, następnie ponownie wpaść pomiędzy młyńskie kamienie władzy totalitarnej i wreszcie odzyskać suwerenność”.

Z *Posłowie* Andrzeja Niewiadomskiego: „Można odnieść wrażenie, że poeci łotewscy starszych pokoleń bardzo ostrożnie dotykają materii wiersza, operują też mową ezopową, obracają się w kręgu zwątpień mocno zaznaczających się w całej poezji Europy Wschodniej. Ich słowa zostały »zranione« relatywizmem albo fałszem języka totalitaryzmu i trzeba raz jeszcze sprawdzać ich nośność”. Szerzej o książce i o pracy nad nią opowiada tłumaczka Olga Wiewióra w wywiadzie, który przeprowadził Bogdan Knop i który publikujemy. [BS]



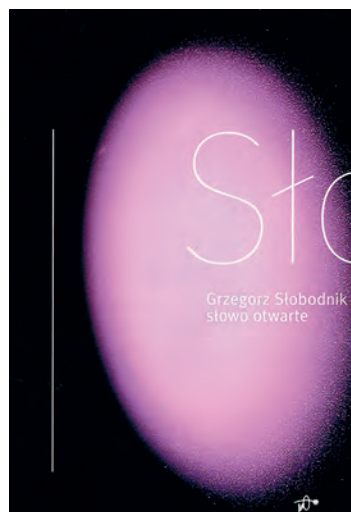
Aleksander Wierny, *Częstochowa*, Wydawnictwo Fundacja Duży Format, Warszawa 2020.

Drugi tom poetycki po *Sygoncie*. Obydwa tytuły, będące nazwami topograficznymi, sugerują spójność poetyki. Na czwartej stronie okładki zostały zamieszczone opinie dwojga częstochowian, którzy z miasta wyemigrowali: Wioletty Grzegorzewskiej i Muńka Staszczuka. W. Grzegorzewska: „Wiersze, które zaszyły mi za skórę. Piękna i wzruszająca książka, dzięki której mogłam zobaczyć na nowo znane mi krajobrazy. Aleksander Wierny zdobywa miasto nie gorzej niż Douglas Dunn, który pisał o Terry Street w Hull czy Michael Longley opowiadający o Lisburn Road, łącząc codzienne obserwacje spacerowicza z metafizyką. Przekonajcie się sami, co chowa Częstochowa”. M.

Staszczuk: „(...) Częstochowa jest ze mną w trasach i salach koncertowych, jest na mojej bluzie, bo częstochowianinem nie jestem tylko z urodzenia, ale i z wyboru. Kiedyś razem z kolegami z Habakuka nagraliśmy kawałek „Miasto” i właśnie w tym tomiku Olka Wiernego poczułem ten specyficzny klimat Częstochowy. Biorę go do ręki i drga mi serducho czułością...”. [BS]

Grzegorz Słobodnik, *słowo otwarte*, Wydawnictwo KONTE, Warszawa 2020.

Dziesiąty tom poezji autora, którego twórczość kilka razy publikowana była na łamach „Galerii”. Motto książki, bardzo starannie wydanej, brzmi: „Od poety można wymagać wiele, ale nie więcej”. Autor wstępu i redaktor tomu, Michał Konopelski, pisze: „Jest rok 2020. Poeta wydaje swój dziesiąty tomik. Myśli już o następnym. SŁOWO OTWARTE będzie zawsze”. Od Autora: „*słowo otwarte* jest próbą ukazania codziennych wrażeń w sprawach i problemach, które nas otaczają i nierzadko boleśnie doświadczają. Stąd nawiązywanie do prawdopodobnych obrazów dawności, które towarzyszą nam przez całe życie. Dawność nie jest abstrakcją, tylko przypominaniem historycznych i osobistych zdarzeń i skutków. Szukanie tematów nowych wierszy staje się nie lada wyzwaniem”. [EJG]



Aleksander Cieślak, *Między nocą a świtem. Opowiadania*, Częstochowa 2020.

Debiutancki, obszerny tom opowiadań, wzbogacony o prace plastyczne pięciu autorek. Oto fragmenty wstępów. Kazimierz Braun: „Aleksander Cieślak prowadzi swego czytelnika w rejony, w światy, w obszary rzeczywistości, których istnienia czytelnik dotąd może nie zauważał, nie myślał o nich, może nawet nie wiedział o ich istnieniu. A rzeczywistość ta – i odkrywana przez autora, i konstruowana przez niego – jest często surrealistyczna, a zawsze wielowarstwowa, oniryczna, złożona, utkana z obserwacji i snów, z tego, co się wydarzyło, i z tego, co mogłoby się wydarzyć, oraz z tego, co wydobyło się z pamięci albo narodziło w wyobraźni, przecuciu, lęku, tęsknocie autora”. Justyna Politowska: „Opowiadania (...) ukazują wieloaspektowe spojrzenie na świat i jego problemy, posiadają głębsze, ukryte sensy. Często są to gatunki synkretyczne, bo zawierają wiersze, listy, wspomnienia, cytaty... Trudno zaliczyć je do jakiegoś nurtu, gdyż poruszają różnorodną tematykę. Jedno jest jednak pewne – zmieniają człowieka i jego patrzenie na świat”. [BS]





Jadwiga Gąsior, „Tryptyk jurajski 3”

Jan Ciesielski

IGŁA

W życiu współczesnym,
i każdy to przyzna,
nadal niezbędna jest
zwyczajna igła.

A zacznę tu dla porządku
dla starca i dziecka:
chodzi tu o igłę,
co zwie się krawiecka.

Na świecie są igieł
różnorodnych tysiące:
drzewa, jeże, jeżyny,
w borach, lasach, na łące
(choć jak twierdzą zające –
niektóre z nich to zwyczajne kolce).

Wróćmy do zajęć igieł
i ich zwykłych postaci:
dziś już im nie wypada
cerować skarpet ni gaci.

A kto jest znawcą igieł –
ten będzie miał rację,
z jej prostej postaci
powstały mutacje.

Są igły bez słuchu –
bo z przerwany uszkiem
i zaokrąglone, jak u pań w ciąży,
też z okrągłym brzuszkiem.

I jak w życiu – różne:
cienkie, krótkie, grubsze,

mieszkające stale w domu
i igły podróżne.

Niezbędne, na przykład,
by przyszyć guziczek,
poprawić, dopasować
zbyt ciasny staniczek

i, jak słyhać przed knajpą,
nic ująć, nic dodać,
można też – wzorem igły –
komuś przyfastrygować!

Dziś jeszcze, jak ćwierkają
w całym kraju szczygły,
w kilku środkach przekazu
robi się z nich widły.

I na tym zarabiają,
i też z tego żyją,
do czasu, gdy ktoś im wbije
w tyłek igłę albo lepiej, szpilę!

A Wam wszystkim powiem –
mam teraz tę chwilę –
każdemu człowiekowi
I GŁA SKANIE jest miłe!

PS W życiu czasem trzeba,
tego się nie wstydzmy,
zamiast prząść cienko –
szyć grubymi nićmi!

Copyright © **TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA**

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Koldej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska,
Alicja Nowak, Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Jano Mielczarek, Marian Panek,
Andrzej Kalinin, Tomasz „Aztzenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław
Kapsa, Anna Jędryka.

Skład:

J.M.K., Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:



Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl

Printed in Poland.

Wydawca:



Towarzystwo Galeria Literacka
ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168
Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Danuta Pęczak, „Tryptyk jurajski 1”



Ida Łubińska, „Tryptyk jurajski 2”